

16904

16904

LASSALLE

PRZYSZŁOŚĆ SOCYALIZMU

NAPISAŁ

Ksiądz Stefan Pawlicki

ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego.

W KRAKOWIE

W KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO.

1874.

WYDZIAŁ
BIBLIOTEKI
KRAKOWSKIEGO
UNIWERSYTETU
IM. J. PIŁSUDSKIEGO

LASSALLE

UNIVERSITY OF CHICAGO

BNP.1 orli.

LASSALLE

i

PRZYSZŁOŚĆ SOCYALIZMU

16904

NAPISAŁ

Ksiądz Stefan Pawlicki

ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego.

2



W KRAKOWIE

W KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO.

1874.

**GDAŃSKI
ANTYKWARIAT NAUKOWY**

<http://rcin.org.pl/ifis>

Gdańsk 6, Marchewskiego 15



16904

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFIS PAN i PIF

U.16904



39016904000000

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFIS PAN i PIF

Oddruk z „Przeglądu Polskiego.” — Nakładem Redakcyi.

H-123169

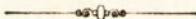
K.
28.5.59
A.3074

W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO

pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

T R E Ś Ć.

	<i>Str.</i>
Lassalle i przyszłość socjalizmu	3
I. Lassalle	11
II. Stowarzyszenia robotnicze w Niemczech	38
III. International	49
IV. Teorya socjalizmu	60
V. Nędza robotników	91
VI. Socjalizm i podatki	102
VII. Niebezpieczeństwo społeczne i giełdy	122
VIII. Liberalizm i socjalizm	141



LASSALLE I PRZYSZŁOŚĆ SOCYALIZMU.

Ład jest siłą i jednością, jest ojcem rozumnych czynów. Ład jest formą i duszą wszystkiego, bo żywe istoty bez niego umierają, martwe rozsypują się w atomy. Ład jest życiem i ciepłem, pięknem i dobrem, zarówno w porządku cielesnym, jak w krainie duchów. On jest miarą i wagą, według której cenimy wszystkie rzeczy. Sprawy doczesne tyle mają w sobie ceny, ile ładu, i tyle mają istotnego znaczenia, o ile przezeń i jemu służą. I w rzeczy samej, jak postępowanie jednostek, doniosłość ich słów i czynów po większej części zawisły od rodzaju życia, który sobie obrały, i od porządku, którego w nim przestrzegają, tak i zbiorowe milionów objawy nie wydadzą plonu pełnego, zdrowego, jeżeli nie zasiano ich na gruncie społecznego ładu. A chociaż na pierwsze wejście ład społeczny daleko mniej świeci i jego rozwój i powodzenie daleko mniej zadawalniają wyobraźnię naszą, aniżeli wielkie polityczne wypadki lub duchowe zdobycze w naukach i sztukach, mimo to zawsze on pozostanie rzeczywistą podstawą i koniecznym warunkiem, a nawet prawdziwą treścią czy politycznej czy naukowej przewagi.

I niechaj nikt nie mówi, że także potargane, nierządem stojące społeczeństwa zdobywały się czasem na świetne wyprawy wojenne, na arcydzieła piękna, na odkrycia naukowe, bo najprzód wyjątki nie znoszą powszechnego prawa, a potem

jednej tylko rzeczy zazwyczaj dowodzą, że pomimo społecznego nieporządku mogą się ludzie czasem zdobyć na szlachetne lub genialne porywy. Ale i cóż ztąd? Niemniej dlatego prawdą będzie, co wyrzekł Sędzia w Panu Tadeuszu:

„Tym łaodem, mawiał, domy i narody słyną,
Z jego upadkiem domy i narody giną.“

Nie na to Pan Bóg stworzył narody, aby w każdym z nich mała liczba wybranych jednostek, jak uczy materyalizm, mogła używać życia, ani na to ludzie połączyli się w społeczeństwa, aby miliony żyły w poniewierce a umierały w nędzy, a kilkaset mężów stanu, myślicieli, artystów i literatów mogło bawić się w komedię „siebiewiedzących bogów“, jak marzy panteizm. Hańba takiej teorii, która sto tysięcy biedaków skazuje na mierzwę pod jednego *Hegla* lub jednego *Göthego*, gwiazdy gieniuszów, choćby na chwilę potrafiły olśnić, tem bardziej uwydatnią później straszliwy bezład społeczny, po nad którym migają, jak ogniki błędne nad błotnistą łąką. Śmiech z takiej oświaty, która w sobie bogata, tłumom nie dać nie chce, prócz najstraszniejszej rzeczy, jaką pomyśleć można — *własnego upodlenia świadome poczucie*. Śmiech z niej! ona nic nie stworzy! nic nie oświeci, nic nie ogrzeje! Marna fosforescencya, połyskująca na ruinach społecznego bezładu, razem z nimi przepadnie.

To wszystko nie jest łaodem i nie takie jest przeznaczenie narodów. Nie dla narodów jednostki stworzone są, jak głosi realizm: nie są to bogi, jak wmawiać w nas usiłują, karmiące się mózgami i sercami swoich czcicieli, lecz każdy naród jest tylko doczesną, życiodajną atmosferą, przeznaczoną na to, aby jednostki nią oddychając i pod jej wpływem zawiennym rozwijając wszystkie swe władze duchowe, łatwiej i skuteczniej odbywały pielgrzymkę doczesną. Starożytne narody, gdzie jednostka niczem nie była a państwo wszystkim, nic o celu jednostki nie wiedziały, a nowoczesne, im bardziej do tamtych stają się podobnymi, tem więcej o nim zapominają. Ale przekonają się, choć zapóźno, że nie można bezkarnie naruszać ładu społecznego, że nie wolno jednej części narodu oddać na łup i wyzyskanie drugiej bez śmierci dla obu. Do-

wiedzą się o tem po niewczasie, chociaż mogły były nauczyć się tego z dziejów starożytnych, które dziś z niepojętem zaślepieniem prawie niewolniczo naśladują.

Wszystkie narody przedchrześcijańskie, mimo wielkich powodzeń politycznych za granicą a nieraz wspaniałego rozwoju kunsztów i nauki w domu, już podczas największej potęgi swojej wpadają w konwulsye, zrazu chwilowe, potem chroniczne, nareszcie zaniemogłszy na dobre, straszliwie konają, a zadziwiająca nibyto ich oświata służy im tylko za nagrobek. Bo każdy z nich już prawie od chwili powstania swego nosił zaród choroby społecznej w swem łonie i z niego w końcu życia utracił: czy niewolę, jak w *Rzymie*, czy zwichnięcie familii, jak w *Greceji*, czy niewiarę i zepsucie, jak w *Palestynie* za dni *Salmanassara* i później jeszcze za *Nebukadnezara*, czy wreszcie eksploatacyę niższych kast przez wyższe, jak w *Egipcie*.

To samo prawo nieubłagane powtarza się w średnich wiekach. Powstania chłopów przeciw właścicielom ziemskim, miast przeciw szlachcie, przyprawiają o zgubę potężne organizmy państwowe i nic na to nie pomogą ani wyprawy wojenne za granicę ani dyplomatyczne powodzenia, nic zgoła — jedna tylko ręka Kościoła może rany zagoić i przywrócić zdrowie.

Czyżby dzisiaj inaczej być miało? Niestety, widzimy, że coraz więcej ofiar pochłania bezład społeczny a coraz mniej widać ratunku, coraz słabsza pomoc, mimo wszechwładnej państwa potęgi.

Największe państwa Europy chorują dzisiaj na kwestyę socyjalną, to jest na bezład społeczny, choć mało kto go widzi, a ci nawet, co go widzą, nic na to poradzić nie umieją, bo i tych nielicznych spostrzegaczy szłał cywilizacyjny pozbawia trzeźwości sądu. Rozkoszujemy w naukach, kunsztach i bogactwach wszelkiego rodzaju z taką pogodą ducha i takim spokojem serca, jak gdyby były złote czasy Saturna, za któremi tęsknią sielankopisarze. Odkrycia i wynalazki, o których nie marzyli najwięksi gieniusze starożytni, miliardy, przy których śmiech budzą skarby starego Pryama i nikną bogactwa Krezusa, Kartaginy i Romy, taką nas napełniły zuchwałością, że zaledwo najtrzeźwiejsi i najrozsądniejsi przyznają czasem

pocichu, że nie wszystko jest tak świetne, a zwłaszcza tak bezpieczne, jak się wydaje, że złota cywilizacya nasza bankietuje nad drzemającym Wezuwiuszem.

A jednak oznaki wybuchu tak są widoczne, tak liczne! Jak niegdyś po wiekopomnych zwycięztwach Rzymu, mimo dzieł Platona i rzeźb Fidiasza, przeniesionych do stolicy świata, mimo greckiej konwersacyi senatorów i purpurą wybitych teatrów, tysiące niewolników, nie troszcząc się wcale o świetność i chwałę przybranej ojczyzny, ile razy ku temu wydarzała się dogodna sposobność, dobywały przeciw niej gladiatorskich mieczów, tak i dzisiaj nieprzejrzane zastępy robotników, nie posiadających nic prócz dwojga ramion nagich, żylastych i ogromnej nienawiści do „używających“, gotowe są każdej chwili rzucić się na biesiadników nowożytnej kultury. Czyż nie widziano podczas ostatniej wojny, że zarówno obojętni na los Francyi jak Niemiec, cieszyli się z śmiertelnego boju, jakoby ze starcia nie narodów, lecz klas majątnych, po nad trupami których uśmiecha im się przyszłość wesoła, bez praey? Wszak do tego stopnia egoizmu i zaślepienia doszli robotnicy francuscy, że wstrzymywali towarzyszy swoich od spieszenia na pomoc ginącej ojczyźnie, a niemieccy zmaiwali się, by przemocą oprzeć się wcieleniu Alzacyi do Niemiec i pogębieniu Francyi. A później, gdy jeszcze połowa francuskich fortów była w ręku Prusaków, czyż tłumy robocze nie porwały do rąk karabinów przeciw powalanej ojczyźnie, których pierwiej przeciw najeźdźcom dźwigać nie chciały?...

Wobec takich wypadków i na widok takich nieprzyjaciół, czyż podobnem jest dłuższe zaślepienie? Jeżeli nieprzyjaciele społecznego porządku jeszcze nie wszędzie dosyć społeczeńieli, aby dokonać wywrotu, któż ręczy, że za lat kilka a najdalej kilkanaście nie dokażą tego, co w r. 1871 o mało nie udało im się nad Sekwaną? Wszak organizacya ich zaledwo w r. 1860 zaczęta, dzisiaj już w każdym kraju dowodzi kar-nemi szykami, które codzien tem szybciej rosna w liczbę, im bardziej wzrost bogactw i kultury nędzę społeczną zwiększają i nowych jej dostarczają rekrutów.

W tej chwili najbardziej nas obchodzi nowe państwo niemieckie, które dziwnym zbiegiem okoliczności a umiejętnem zużytkowaniem od lat wielu nagromadzonych zasobów, pierw-

sze zajmąwszy miejsce wśród mocarstw Europy, wielką także część naszych ziomeków mieści w swoich granicach i bezpośredni nacisk na nich wywiera, a nie tylko polityczny lub religijny, lecz ekonomiczny i finansowy, czego najświeższym przykładem są ostatnie wielkie klęski finansowe w Poznańskim.

Pierwsze wrażenie, które cudzoziemiec z tego państwa wnosi, jest obraz niezłomnej siły i kwitnącej cywilizacji: wszystko tam uczone, rozumne, obliczone, przewidziane. Państwo zdaje się wystarczać sobie najzupełniej. Zagadka dawnych pogan jakoby rozwiązana wynalezieniem bożyszcza, które na pierwsze spojrzenie posiada wszystkie Boga prawdziwego przymioty. Ale nie o tem mówić chcę teraz. Nasi kochani sąsiedzi tyle już napisali pochwał dla siebie i dla kultury swojej, że nowa apoteoza na cześć ich, i to przez usta Polaka, zupełnie jest niepotrzebną. Chcę powiedzieć zamiast tego słów kilka o stronie odwrotnej obrazu, której Niemcy najchętniej wcale nie pokazują, jak gdyby nie istniała; a jednak jest ona również ważna, a może nawet ważniejsza od pierwszej. Jeżeli ona nam odłoni nędzę niezmierną i zwichnięcie równowag majątkowej, cóż wtedy warta będzie owa jaskrawa, nowopogańska kultura?

Że nędza już dawniej tysiące rodzin wypędzała z Niemiec do Ameryki, o tem wiedzą w Europie wszyscy, a i my Polacy z naszą szkodą zaczynamy się o tem dowiadywać. Była już znaczną przed ostatnią wojną a po wojnie przybyło jej w dwójnasób. Olbrzymi wzrost Berlina w ostatnich latach, podrożenie mieszkań i najnieodzowniejszych do życia potrzeb zepchnęły nagle mnóstwo w mierności żyjących rodzin do proletaryatu. Szybkie mnożenie się fabryk przyczyną jest, że setki drobnych rzemieślników rok rocznie idą z torbami. Szalone spekulacje giełdowe i nierzetelne akcyjne przedsiębiorstwa pozbawiły trzeźwych przedtem berlińskich kapitalistów wszelkiej rozwagi, a co gorsza — sumienia. Bezprzykładne bankructwa, o których przed dziesięcioma laty w Berlinie nigdy nie słyszano, stają się teraz niemal codziennem zjawiskiem i niekiedy, jak upadek *Quistorpa*, gubią odrazu tysiące majątków prywatnych. Coraz to świeższe zastępy pomnażają armię „hołoty“. Pod naciskiem nędzy i na widok egoizmu w klasach zamożnych budzi się w tłumach coraz większe rozjąttrze-

nie, coraz większa nienawiść do władzy, która ani umie, ani chce stanowczo nędy społecznej zaradzić. Ztąd emigracja do Ameryki w ostatnich dwóch latach nietylko z niemieckich prowincyj, ale niestety i z polskich przybrała bajeczne rozmiary a rząd nadaremnie usiłuje ją powstrzymać, śnać nie wiedząc, że obok prześladowania religijnego główną emigracji rodzicielką jest nęda i że póty żyć będzie córka, póki rodzicielka. A ci, co nie mogli pójść za morze, lecz musieli pozostać w domu, gdy widzą rosnące cierpienia społeczne, sarkają głośno i nie bez słuszności, że francuskie miliardy wbrew wszelkim oczekiwaniom utonęły bez śladu, że podatków nietylko nie zmniejszono, lecz owszem je podwyższono, że mając tak kolosalne środki pieniężne rząd nie czyni dla polepszenia bytu społecznego klas roboczych, że nawet powracającym z wojny landwerzystom nie dał skutecznych zasiłków, że po tak straszliwych klęskach, jakimi były powódź bałtycka w r. 1872 lub nieurodzaj w Prusiech Wschodnich, wolał oglądać się na dobroczynność prywatną, aniżeli hojną ręką sięgnąć do przepelnionych kufrów.

Doprawdy bardziej urodzajnego pola trudno znaleźć dla socjalizmu; grunt to pszeniczny pod kółko a zaczyna też rozrastać się on na dobre. A można było tak łatwo uwolnić się od niego zaraz w początkach. Bo socjalizm niemiecki wcale stary nie jest. Próbowano go już dawniej zasiać, ale nigdy na prawdę się nie przyjął. Bo socjalizm tam tylko prosperuje, gdzie wielkie tłumy robocze skupione są w bogatych, przemysłowych ogniskach, a skarby całych prowincyj nagromadzone u kilku kapitalistów. Wtedy to jaskrawa antyteza bogatego próżniactwa a krwawej na chleb powszedni pracy, wielkich majątków i nagich biedaków, rozbudza w duszach ową nienawiść do wszelkiej własności, bez której socjalizm żyć nie może. Tego wszystkiego w Niemczech nie było podstatkiem. Miasta fabryczne nie dorównywały wielkim przemysłowym zakładom angielskim, francuskim lub belgijskim; niezliczone zastępy małych rzemieślników, związane w cechy pod dozorem i opieką państwa, współubiegały się żwawo z nielicznymi fabrykami. Rzemieślnik bogatym nie był, ale mógł wyżyć i miał chudobę, o której powiedzieć mógł, że to jego. Taki człowiek o komunizmie nawet słyszeć nie chce.

Dopiero ze zwycięstwem liberalizmu w Prusiech po wstąpieniu na tron króla Wilhelma, otwarto na rozcień wrota chciwie zaglądnącemu socjalizmowi. Zniesiono starodawne cechy, najskuteczniejszą obronę uczciwego rzemiosła; odwołano prawa przeciw lichwiarzom, ową niezbędną opiekę małoletnich i biednych, a gdy wreszcie przez liberalne ustawy handlowe i fortytowanie stowarzyszeń akcyjnych oddano małych rzemieślników na łup wielkim kapitalistom a robotników w niemilosierne ręce fabrykantów, zaraz i w spokojnych, oszczędnych Niemczech fale socjalizmu wzbierać poczęły.

Zrazu zdawało się, że robotnicy pójdą za ruchem liberalnym i spotęgowały go całą nienawiścią swoją, uderzą w konserwatywną monarchię i szlachtę a oszczędzą wolnomyślnie mieszczaństwo. Partya postępowa rzeczywiście na to liczyła, bo gdy za konserwatywnych rządów *Manteuffla* agitując przeciw rządowi, zakładała najrozmaitsze związki turnerów, śpiewaków, uczonych i t. d., nie zapomniała o robotnikach i zaczęła otwierać dla nich kasy oszczędności i składy konsumcyjne, w czem mianowicie znany *Schultze z Delitzsch* wielkie zasługi położył. Jednakże usiłowania te, choć nieraz dosyć pomyślnym skutkiem uwieńczone, nie były szczere, nie schodziły do dna rzeczy. Postępowcy, choć wiele mówili o ludzie, w gruncie uważali go za podścielisko pod miejską inteligencję; nie z miłości ku niemu polepszali jego dobrobyt, lecz żeby im nie przeszkadzał samodzielną agitacją, owszem, by w razie potrzeby mógł być posłusznym żołnierzem. To też póty tylko powodziło się liberalnemu mieszczaństwu w umizgach do klasy roboczej, dopóki się nie znalazł agitator prawdziwy, ludowi oddany i przyrzekający mu więcej, aniżeli przyrzekać mogło mieszczaństwo, bo panowanie nad zgrzybiałą Europą. I znalazł się taki z wiosną r. 1863.

Wtedy to wielka część niemieckich robotników, pracująca nad samodzielnem uorganizowaniem się i wydobyciem się z pod opieki liberalnego mieszczaństwa, postanowiła zwołać wielki zjazd do Lipska. Oprócz kilku innych doświadczonych przyjaciół sprawy roboczej udali się także po radę do młodego *Ferdynanda Lassalla*, a ponieważ odpowiedź jego z 1 marca t. r. zawiera zupełny program niemieckiego socjalizmu i wyowiada porządkowi społecznemu wojnę nieubłaganą, wypada

koniecznie zatrzymać się dłużej przy tym programie i jego autorze, zwłaszcza, że w osobie swojej zamknął nietylko poczęcie, lecz i przyszłość całą niemieckiego ruchu społecznego.

Lassalle nie jestto człowiek zwyczajny, tuzinkowy demagog, jacy co lat kilka wypływają na falach ludowej popularności, aby potem utonąć i nie powrócić więcej. On wyobraża ideę, która w całości swej fałszywa, bo jednostronna, ma jednak w sobie jądro prawdziwe, które prędzej czy później zakiełkuje, przyjmie się, wyrośnie. To jego historyczne znaczenie, to potęgą imienia jego.

Ukochawszy posłannictwo swoje, całą duszę swoją w nie włożył, nie szukając zysku, nie lękając się następstw. W tem jest sława jego i wartość osobista, godna uznania, nawet kiedy sprawę potępiamy. Nic bowiem tak nie ujmuje, jak gorąca miłość, choćby przedmiot miłości był nawet urojony; nic tak nie porywa, jak poświęcenie, choćby nawet jego sprawa była nam nienawistną. Miłość i poświęcenie tak są szlachetnym objawem, tak zdobią duszę, która je wydaje, że im zawsze hołd należny oddać wypada, mniejsza o to, czy w nas samych, czy w przeciwnikach naszych przebywają. Tę zasadę przyjąłem, pisząc o *Lassalle*. Podnosząc wszystkie dodatnie strony bogatego ducha, mówię o nich czasem z widoczną sympatyą, bo choć sprawy można nienawidzić, ale nie tych, co jej bronią. A potem sprawa, którą poruszył i dźwigał *Lassalle*, sama w sobie nie jest ani złą ani godną nienawiści. Staje się złą dopiero przez fałszywy punkt wyjścia, przez niegodziwe środki, przez skrzywienie celu, ale czyż dlatego sprawa sama godną jest potępienia? Czyż i nadal z pogardliwym lekceważeniem lub zaślepioną nienawiścią odpychać ją będziemy, kiedy nietylko do okien zagłada, lecz już prawie przez drzwi się wciska? Czy ta uparta jej wytrwałość, ten wzrost ciągły i zwiększona śmiałość nie dowodzi prawdy jakiej lub części prawdy, spoczywającej w jej głębiach, domagającej się coraz głośniejszego życia i rzeczywistości? Nie zamykajmy więc oczu na jej widok, choćby był straszniejszy, aniżeli jest w istocie, przypatrzmy się jej dobrze i poznajmy zupełnie, bo spotkanie z nią nieuniknione, a wiele zyskał, kto nieprzyjaciela poznał przed spotkaniem.

I. LASSALLE.

Lassalle urodził się z ojca żyda (drobna ta okoliczność wiele tłumaczy, boć wiadomo, że dzisiejszy ruch socjalistyczny jest przeważnie w rękach żydowskich a nawet *Marx*, dusza internationalu, ma w sobie coś krwi żydowskiej) w Wrocławiu r. 1825. W szkołach zadziwiał prawdziwie olbrzymiemi zdolnościami i nadzwyczajną energią charakteru, połączoną z niezwykłą w żydzie odwagą osobistą i honorowością. Ztąd tłumaczy się jego zamiłowanie w pojedynkach, których nigdy nie unikał a nawet szukał, choć w teorii zawsze je potępiał. Już w czternastym roku życia szkolnego kolegę wyzwał i dopiero wtedy zaniechał myśli strzelania się, gdy mu wytłomaczono śmieszność dzieciennego pojedynku. Idąc za wolą ojca, który bogatym był kupcem, przeniósł się do akademii kupieckiej w Lipsku bez najmniejszego powołania. Zamiast głowę suszyć sobie nad buchhalterją lub mozolić się nad rachunkowością, czytywał po nocach klasyków greckich lub niemieckich. To też trudno się dziwić dyrektorowi zakładu, że często z gniewem powtarzał: Słuchaj Lassallu, z ciebie nigdy porządny kupiec nie będzie! Nareszcie ojciec ulitowawszy się męczarniom syna, zostawił mu zupełną wolność wyboru karyery, i wtedy to młodzieniec, przepełniony wdzięcznością dla rodzica a kupiectwo przemierzył czemprowadzając na kołku zawiesiwszy, z wrodzoną sobie namiętnością oddał się nauce prawa i filozofii, zrazu w Wrocławiu, potem w Berlinie. Poznawszy dokładnie system Hegla, pod którego urokiem do śmierci pozostawał, wyrobił sobie wielką rzutkość dyalektyczną, która niestety, jak u mistrza, często przechodziła w błyszczącą sofistykę, a dodawszy do niej bardzo rozległą wiedzę, sąd trafny, rozum bystry i delikatny gust estetyczny, zjednał sobie bez trudności wszystkich, w miarę, jak go poznawali. W Berlinie znalazł odrazu wstęp do najznakomitszych rodzin. W salonie *Mendelsohnów*, gdzie zbierała się śmietanka berlińskiej inteligencji, był częstym i chętnie widzianym gościem. Tam go stary *Humboldt* poznał i bardzo polubił i podobno nawet księciu następcy tronu na towarzysza podróży proponował. Sa-

ma ta pogłoska, która może w sobie była fałszywa, pokazuje wysokie wyobrażenie, jakie podówczas miano o młodzieńcu.—

I tu warto przytoczyć sąd *Heinego*. Już w r. 1845 literat ten innych mało ceniący, napisał o dwudziestoletnim *Lassallu*, że z najgruntowniejszą nauką, najszerszą wiedzą i największą bystrością, jaką spotkać można wśród ludzi, łączył bogatą wymowę, zadziwiającą energię woli i niezwykłą zręczność w działaniu. „Niestety, dodaje poeta, mój młody przyjaciel nie zna ani wyrzeczenia się, ani skromności,“ dwóch zalet, które (nawiasem mówiąc) sam *Heine* nie miał a bez których polityczni agitatorowie zazwyczaj się obchodzą.

W r. 1846 z Paryża powróciwszy do Berlina, młody prawnik-filozof obrał sobie karierę uniwersytecką, która najbardziej jego skłonnościom odpowiadała. Gdyby mu danem było, zamiar ten do skutku przyprowadzić, byłby został świetnym profesorem, znakomitym pisarzem i pierwszorzędnym krytykiem. Wszelako do tego potrzeba było przedewszystkiem ciągłej pracy i swobody ducha, a tych dwóch rzeczy nigdy sobie nie zdobył, może dlatego, że nie dosyć je cenił. Ledwo bowiem rozgościwszy się w Berlinie, na swoje nieszczęście poznał hrabinę *Hatzfeldt*, rozumną, ambitną rozwódkę, żywo zajmującą się socjalno-komunistycznym ruchem w Europie, a że była starszą od niego i wiekiem i doświadczeniem, wplątawszy go w sieć miłosnej intrygi, więcej mu uciec z niej nie dozwoliła. Dodajmy, że jakkolwiek w następnych latach ten stosunek stał się skandalicznym i brudnym, to jednak mniejsza tylko część winy na niedoświadczonego spada młodzieńca; tłumaczy go poniekąd szczerłość, z jaką się oddał, tłumaczy i brak zasad, których mu nigdy nie wpojono a ze studyów nad *Heglem* pewno wynieść ich nie mógł.

Pani *Hatzfeldt* od lat dwudziestu prześladowana przez męża i jego możną rodzinę, pozbawiona nieprawnie przynależnych dochodów i ztąd w nieustających procesach, przedstawiła się młodemu acz biegłemu prawnikowi nieszczęśliwą ofiarą, nawet męczenniczką, bo w jej osobie widział głodzony przez możnych proletaryat. Było w tem wiele romantyzmu, ale trudno nie uznać, że powierzony sobie sprawy bronił z największą energią i zupełnem poświęceniem. Jednakże nie można było w niej kroku naprzód zrobić, a tem mniej myśleć o wy-

granej bez ważnych dokumentów, przechowywanych u nieprzyjaciółki hrabiny, baronowej *Meyendorff*. Pewnego razu odezwał się *Lassalle* w gronie zaufanych przyjaciół, że dopóki się tych papierów w ręku mieć nie będzie, dopóty sprawa nie weźmie końca. Ci od razu postanowili je zdobyć: układają plan rycersko-złodziejskiej wyprawy, wyjeżdżają do Kolonii, gdzie przebywała baronowa i — szkatułka znalazła się w ich ręku.

Kradzież narobiła wrzawy, zwłaszcza, że nie tylko sprawców, lecz samego nawet *Lassalla* oddano do kryminału. Wtedy to rozwinął on całe bogactwo dobrych i ujemnych przymiotów z właściwą sobie śmiałością i zręcznością, które nigdy go nie odstępowały. Ukazał się naraz tem, czem już do śmierci pozostał, *niezrównanym agitatore*m. Przedewszystkiem starał się, żeby mieć publiczność za sobą. Napisał więc czempredzej do *Heinego*, że nie o drobnostkę tu chodzi, lecz o honor heglowskiej filozofii i że dlatego trzeba koniecznie hrabiego *Hatzfeldt*, męża jego klientki, zabić moralnie w opinii publicznej. *Heine* dał się w istocie namówić i w imię Hegla podjął się powierzonej sobie dziennikarskiej wyprawy a tymczasem *Lassalle* kazał przysięgłym, którzy go sądzić mieli, przekładać, że to nie sprawa zwyczajnej kradzieży, lecz społeczna kwestya, los kobiety głodzonej przez okrutnego męża, która wyraża w swojej osobie cały cierpiący proletaryat. Tłumom znowu dowodził, że poprawa ich losu zawisła od wypadku procesu, a konserwatywnym, że koniecznie należy ukrócić swawolę policyi. Tak wszystkich sprężyn naraz się dotknąwszy, wywołał niezmiernie poruszenie umysłów.

Mimo tylu zachodów *Lassalle* większością *dwóch* głosów uznany został winnym *rozmyślnie przygotowanej kradzieży*. Wtedy nie bez pewnej słuszności zapytał się: „A gdyby przyjaciele moi, chcąc mi dopomóc do posiadania dokumentów, podpalili Kolonię, czyby i ta wina na mnie spadła?” Widozna była jego niewinność. To też izba sądowa, jak to nieraz się zdarza, spokojniej i bezstronniej od przysięgłych na sprawę się zapatrując, nie przystąpiła do ich opinii, lecz obżalowanego na wolność wypuściła, boć sama chęć posiadania szkatułki nie była ani przygotowaniem, ani namową do zbrodni.

Zatrzymałem się dłużej nad tym procesem, bo w nim, jakoby w wielobarwnej mozaice, ukazują się razem rozliczne

przymioty bogatej natury *Lassalla*. Rzadko znachodzi się prawnik w tak młodym wieku i z tak niedostatecznym doświadczeniem, któryby z również wysokim poglądem bronił swojej sprawy i z równem bogactwem środków popierał jej zwycięstwo; któryby poszukał sobie sprzymierzeńców w różnych obozach, a potem, co daleko trudniejsza, potrafił ich połączyć do wspólnej akcji. To wszystko umiał *Lassalle*. Ale uchylając czoło przed tylu zdolnościami, zmuszeni jesteśmy z przebiegu powyższej sprawy wyciągnąć surową konkluzję, że nie był on powołany na prawnika. Bo nie miał *Lassalle* surowej bezstronności, nawet z własną szkodą szanującej przeciwnika, gdy tego słuszość wymaga, a nie uciekającej się do dwuznacznych alianów, które najczystsza nawet intencja każe. Nie był *uczciwym prawnikiem*, był zawsze agitatorom w najlepszym tego wyrazu znaczeniu. Nie walczył nigdy za sprawę, która się jemu złą wydawała, i to jego *strona piękna* — ale w nienawiści do wrogów nie cofał się przed żadnym środkiem, choćby trucizną i sztyletem. Takim już do grobu pozostał.

Jakże daleko fale niespokojnego życia odrzuciły młodego uczonego od pierwszego zamiaru rozgoszczenia się przy berlińskiej wszechnicy! Wśród wiru sądowych rozpraw i procesów nie doszedł już do spokoju i systematyczności, bez których życie naukowe nie potrafi wydać dojrzałych owoców. Spróbował wprawdzie raz jeszcze w Düsseldorfie osiąść, pracując przy tamtejszym sądzie, jednakże ani druga ta próba usatkwowania się nie doszła do pomyślnego skutku. Rok 1848 wplątał go w agitację polityczną, potem zaprowadził na barykady a następnie za konserwatywnych rządów Manteuffla do więzienia. Gdy tak niespodziewany obrót wzięły zamiary jego młodości, zbrzydźszy sobie karierę rządową, osiadł w r. 1854 na stałe w Berlinie, nieodstępny towarzysz hrabiny Hatzfeldt, której zawikłany proces szczęśliwie w tymże roku był zakończył zupełną wygraną.

Jeżeli już dawniej, gdy jeszcze był studentem, z łatwością wchodził do pierwszych salonów, teraz otoczony tajemniczą mgłą romantycznych przygód, opromieniony nawet koroną politycznego męczeństwa, będąc w najpełniejszym rozwoju zdumiewających władz umysłowych, gdziekolwiek się ukazywał, czarował ludzi. Wysokiego wzrostu, bladej, delikatnej

cery, z żywym okiem wschodniem, zawsze ubrany starannie, ujmował nie tylko rozmową, lecz samą już postawą, zwłaszcza gdy był wzruszony. Urok ten osobisty często oddawał mu ważne usługi. Gdy za rządów *Manteuffla* wypuszczony z więzienia, zostawał pod ścisłym dozorem policji, zjawił się niespodzianie w Berlinie i poszedł do publicznej biblioteki. Wnet policja puściła się za nim w tropy; kazano mu natychmiast wyjeżdżać. *Lassalle* stawiał się u wszechwładnego *Hinkeldeya* i po długiej a twardej rozmowie biurokratę zupełnie podbił. No! panie doktorze, zawołał udobruchany, jeżeli koniecznie chcesz tydzień pozostać, to zostań a pilnuj twoich interesów; ludzie moi będą cię szukali, ale nie znajdą.

Dowodzi to niepojętej siły, z którą panował nad duszami, i nic mu nie przeszkadzała dwuznaczna sława socjalisty. Ci nawet, których mrowie przechodziło na wzmiankę komunizmu, czuli się po pierwszym spotkaniu rozbrojeni. W salonie *Varnhagena*, gdzie się w latach owych zbierał dobór pruskiej tak rodowej jak naukowej arystokracji i gdzie nikt nie spodziewał się rzecznika socjalizmu, *Lassalle* ile razy przychodził, stawał się niejako ogniskiem wszelkiej ważniejszej rozmowy, co tem powszechniejsze obudzało zadziwienie, że pan domu oburzał się na samą myśl zobaczenia socjalisty u siebie. Gdy więc zapytano o powód tak nagłej zmiany, odrzekł śmiejąc się: Cóż chcecie! oczarował mnie — a potem mam go za uczciwego demokratę. Coś podobnego dawniej już *Heine* zauważył: „Bardzo ciebie kocham, tak pisze, i być inaczej nie może; dopóty ludzi dręczysz, dopóki cię nie kochają.“

Odślania to nam prawdziwie piękną stronę w bohaterze naszej rozprawy; umiał kochać i być godnym kochania. Miał wielu ubóstwiających go przyjaciół, którzy do śmierci pozostali mu wiernymi, a rozmaite do nich wiersze w sztambuchach, jeżeli nie zadawalniają wykończeniem formy, to pod względem uczuć nie zostawiają nic do życzenia. Tak z nich, jak z listów *Lassalla* wynieść można niezłomne przekonanie, że to była dusza gorąca, której zwykły poziom nie wystarczał.

Pierwsze trzy lata pobytu berlińskiego upływały mu błogo i wesoło. Tak przynajmniej z pozoru sądzono. Wszędzie bywał, wszystkim się udzielał, do każdej zabawy należał. Zda-

wać się mogło, że urządził życie swoje podług lekkiej, acz wygodnej zasady Horacego:

*truditur dies die
nova eque pergunt interire lunae.*

A jednak pozory bardzo mylą, bo nigdy może z większą nie pracował wytrwałością ani z większym wyteżeniem. Zajmował go przedmiot trudny i głęboki, a objawszy go całą miłością swojej namiętnej duszy, przez całe trzy lata z nim się pieścił, zanim w świat wyprawił. Trudno wyobrazić sobie zdumienie przyjaciół, gdy pewnego poranku r. 1857 przysłał im dwutomowe dzieło „o filozofii Heraklita“. Dziwiono się, że bieżącymi tylko kwestyami zaprzątnięty uczony, sobie upodobał najbardziej oderwanego z greckich myślicieli a potem nie pojmowano, z kąd niby trwoniący swe dni *Lassalle*, nity wesoło używający życia, znalazł czas i skupienie do tak obrzymiej pracy.

Bo proszę zważyć, co to *Heraklit*? Za młodu mawiał ten grecki filozof, że nic nie umie, i dlatego stroniąc od ludzi, większą część życia na samotnych dumaniach przepędził. Przekonany nareszcie w starości, że już wszystko umie, napisał książkę, której nikt dobrze nie zrozumiał. *Sokrates*, choć delficki *Apollo* najmędrszym z ludzi go ogłosił, przyznał, że tylko połowę pojmuje, o drugiej zaś przypuszczał, że jest znamienita, lecz przechodzi jego rozum. Później napisano wiele komentarzy, które zwykłą rzeczy koleją bardziej ją zaciemniły, aż w końcu i książka i komentarze przepadły, a nam dostały się tylko ułamki, które z tekstu ciemnego wyrwane nie mogły nabrać większej jasności. To też niektóre z nich wyglądają jak prawdziwe łamigłówki. Powie tu czytelnik: a więc zrobmy jak *Cyceron*; nie czytajmy ich wcale! Zgoda! i tak się też robi z niejednym starożytnym pisarzem, bo na cóż mozolić się bez korzyści nad pisarzami ciemnymi, kiedy z korzyścią czytać można tylu jasnych. Ale jakże go nie czytać, kiedy taki sławny! Nic wprawdzie nie wynalazł ani w naukach przyrodzonych, jak *Arystoteles*, ani w matematyce, jak *Pitagorejczycy*, ani żadnem innem odkryciem naukowem wiedzy ludzkiej nie wzbogacił, a nawet w szczegółach często się po-

mylił, a mimo to od czasów Platona aż do naszych dni powtarzano imię jego z nadzwyczajnym szacunkiem, niemal z bojaźnią. Cóż dopiero musiało mu przybyć sławy, gdy Hegel zdumionym słuchaczom oświadczył, że *nie ma ani jednego zdania w Heraklicie, którego do swego systemu nie wcielił*. Można sobie wyobrazić, do jak olbrzymich rozmiarów urosła wnet powaga Heraklita. Sterczał on jak szczyt góry, zdaleka widny pomimo ciemne obłoki, ale wdrapać się nań nikt ochoty nie miał.

Jednakże w oczach chrześcijańskiego rozumu ta prastara postać sfinksowa bardzo maleje i trudno nie zgodzić się na surowy sąd *Arystotelesa*, że wszyscy filozofowie przed *Anaxagorasem* „gadali jak pijani“. Pierwszy dopiero *Anaxagoras* uczył, że jest duch osobisty, który rządzi światem i sprawcą jest wszelkiego porządku. *Heraklit* do tej najważniejszej prawdy wznieść się nie zdołał i dlatego to za wzorem *Arystotelesa* zaliczamy go do tych, co gadali jak pijani. Nie zmniejsza to wcale wartości literackiej *Lassalowego* dzieła; pozostanie ono na długo pomnikiem niemieckiej uczoności, choć niestety i niemieckich błędów ¹⁾.

¹⁾ Ażeby sprawiedliwie ocenić to dzieło, potrzeba w niem koniecznie rozdzielić dwie strony: naukową i moralną. Naukowa zasługuje niewątpliwie na uznanie, bo jej zasługą jest wykazanie genetycznego związku pomiędzy grecką filozofią a grecką religią, wy tłumaczenie lub nawet sprostowanie filologiczne wielu twierdzeń *Heraklita*, nareszcie rzucenie światła na teorię *stoików*, która w głównych rysach swoich pochodzi od efezyjskiego panteisty. Takie są naukowe zasługi *Lassalla*, w części uznane i przyjęte przez historyków filozofii. Zupełnie inaczej rzecz się ma z wartością moralną tej książki. Ta jest błędna zupełnie i do żadnych zasług pretensyi rościć nie może. Panteizm bowiem starą jest bajką, potępioną zarówno przez logikę, jak przez uczucie moralne. Nie on na tem nie zyska, że występuje w coraz nowych edycjach, bo fałsz zawsze fałszem pozostanie, choćby przebierał się tysiąc razy. W istocie *Heraklit* to samo uczył, co w 2400 lat po nim berliński *Hegel*: obaj rozmyślnie tego samego logicznego grzechu się dopuścili. Ta tylko jedna pomiędzy nimi różnica zachodzi, że grzech *Heraklita* łatwiej

Pomijam jego liczne prace belletrystyczne, np. nie przyjętą na deski tragedię „*Franz Sickingen*“ oraz studia krytyczno-literackie, które o tyle chyba w naszej rozprawie zasługują na uwagę, o ile dowodzą świetnej retoryki, wielkiego daru spostrzegania i krytycznej polemiki, trzech wybornych środków ujmowania sobie słuchaczy na mównicach ludowych.

W polityce wyznawał zasady *Fichtego* i za przykładem tego słynnego retora pracował nad zjednoczeniem niemieckiej ojczyzny pod silnym rządem. Można by zapytać, dlaczego wychowaniec heglowskiej filozofii przekładał „*Polityczny testament Fichtego*“ nad państwową teorię *Hegla*? Można dalej zapytać, jakim sposobem stało się, że tak bystry umysł nie dostrzegł odrazu krzyczącej niezgody między metafizyką panteistyczną, którą przyjmował w teorii, a ubóstwionym egoizmem *Fichtego*, którego wymaganiom folgował w praktyce? Odpowiedź daje nam jego misja agitatorska, której zawsze wiernym pozostał. Hegłowska nauka państwowa, oparta na podporządkowaniu jednostek pod ideę państwa, była mu nieprzydatną do celów agitatorskich, bo w niej wszelka inicjatywa od władzy wychodzić powinna, a potem była już wyrocznią pruskiej biurokracji, do której *Lassalle* nie czuł najmniejszej sympatii. *Fichte* przeciwnie, po nad ludzkimi osobami nie uznający za-

się uniewinnia, bo to było w czasach jutrzeńki greckiego myślenia i gorącej młodości, a w *Heglu* brzydka odpycha zgrzybiałość, okryta niezliczonymi zmarszczkami niemieckiej subtelności. *Lassalle* znowu, więcej mający zdrowego rozsądku niż *Hegel* i więcej poezji w sercu, utworzył sobie z panteizmu religię, według której chciał swoje i drugih życie urządzić. A jak często w powieściach się zdarza, że w postać głównego bohatera autor własne swoje wkłada uczucia, własne marzenia i zamiary, tak i żydowski biograf *Heraklita* własny swój pogląd na świat włożył w usta starego myśliciela. Główne wprawdzie twierdzenia do *Heraklita* należą, ale szczegółowe ich następstwa i każdorazowe zastosowanie dopiero w głowie *Lassalla* uzupełniły się. Tym sposobem praca ta nie jest czysto naukową, lecz raczej tendencyjną, bo jest mimowolną panteizmu apologią.

dnej istotnej potęgi a z nich za pomocą dobrowolnej umowy państwo układający, daje im tem samem prawo odmienienia lub zrywania społecznej ugody. Przemawiały także za *Fichtem* rzeczywiste zasługi, położone przeciw *Napoleonowi*, boć jego zapalnym mowom należy w wielkiej części przypisać przebudzenie się niemieckiego patryotyzmu. To też takiego sobie przewodnika obrawszy *Lassalle* postanowił zacząć wielką agitację a jej celem stworzenie silnego państwa niemieckiego, w któremby wpływ klas roboczych mógł być zapewniony ¹⁾.

Nie można jednak było dojść do tego, nie zniszczywszy pierwaj małych państewek i protektorki ich Austrii, do czego znalazła się pożądana sposobność w r. 1859. Wtedy to namiętnie piórem i żywym słowem popierał politykę francuską i zjednoczenie Włoch wbrew niemieckim skrupułom; za włoską jednością musiało pójść według niego zjednoczenie Niemiec ²⁾. A chociaż przewidywał, że się zjednoczą pod niemiłym znakiem krzyżackim, nie odstępował swej myśli, bo nie widział innego sztandaru, do którego mógł przyczepić swe nadzieje. Zresztą *Bismarck*, ledwo został naczelnikiem pruskiego gabinetu, starał się pozyskać możnego podówczas socjalistę, aby z jego pomocą zagłuszyć liberalną opozycję. Powstały ztąd pogłoski, nawet potwarze, na które *Lassalle* nie zasłużył; był on zbyt szlachetny, zbyt niezależny, aby komukolwiek się sprzedać, zbyt kochający sprawę ludu, aby porzucić ideał demokratycznej rzeczypospolitej, w której dla *Hohenzollernów* oczywiście tronu nie było. Z tem nie tał się wcale, nawet przed *Bismarckiem*, a jeżeli ten ostatni pomimo to w serdecznych z nim zostawał stosunkach, dowód w tem, że i konserwatywny w r. 1863 *Bismarck* nie wahał się podawać ręki najskrajniejszej rewolucyjnej partyi.

Mając zatargi z policją w Solingen w r. 1863, która rozpędziła zwołane przez niego zebranie ludowe, telegrafem

¹⁾ Zob. dwie rozprawy *Lassalla*: „Polityczna spuścizna *Fichtego* i najnowsza terażniejszość“ r. 1860 — „Filozofia *Fichtego* i znaczenie niemieckiego ducha narodowego“ r. 1862.

²⁾ *Lassalle*: „Wojna włoska i zadanie Prus. Głos demokracji“ z r. 1859.

wezwał pomocy *Bismarcka*, którego nie znał jeszcze osobiście. Otrzymał pomyślną odpowiedź, musiał za grzeczność wywdzięczyć się grzecznością i dlatego powróciwszy do Berlina w jesieni tegoż roku, złożył *Bismarckowi* wizytę dziękczynną. Ten zrazu udawał niby zdziwionego, posadził go jednak przy sobie i z wyteżoną słuchoł uwagą. Nie przytaczając całej ich rozmowy ¹⁾, poprzestaną na kilku rysach ogólnych. Z dwóch tych ludzi, tak poufale i serdecznie przy cygarze gawędzących, niewątpliwie jeden tylko był uczciwy, bo otwarty, a drugi—obłudnik. I doprawdy trudno dopatrzeć się godności w *prezesie ministrów*, który powołany do rządów przez partję konserwatywną ku obronie zagrożonego przez rewolucję społeczeństwa, przed *socyalistą* wyraża się z największem lekceważeniem o własnej policyi i prokuratoryi, wydobywa wszystkie jego zakazane broszury i artykuły a cytatai stwierdza, że je dokładnie i z upodobaniem czytał. Takie ogólne wrażenie wynosi się z tej rozmowy.

W końcu zapytał *Bismarck*, czy przy nadchodzących wyborach socjaliści nie mają zamiaru popierać konserwatywnych kandydatów przeciw mieszczaństwu. *Lassalle* otwarcie odrzekł, że *nie*, a gdy to *Bismarcka* dziwiło, jakoby wspólny mieli interes w poskromieniu mieszczaństwa, dodał czempędzej:

— W tej chwili tak się zdaje, excellencyo, ale kawałek drogi razem przeszedłszy, musielibyśmy zacząć tem zaciętszą walkę.

Nie można było dać ani rozumniejszej, ani godniejszej odpowiedzi w położeniu *Lassalla*. *Bismarck* na to się zaśmiały, zakończył rozmowę enigmatycznym: *zobaczmy!*

Innego razu spotkali się na ulicy i wzięwszy pod ręce długo przechadzali się razem w żywej rozmowie. W końcu *Bismarck* spostrzegł się, że jednak dla prezesa ministrów tak poufała a publiczna przechadzka z socyalistą, żyjącym od kilku lat z policyą na stopie wojennej, jest więcej niż kompromitująca. Z wesołym śmiechem zawołał:

— Gdyby nas kto z liberalnej opozycyi tak zobaczył, napisanoby zaraz, że jesteśmy w przymierzu. Ale to mi nie zaszkodzi!

¹⁾ Zob. „Wanderer“ z r. 1869 nr. 166.

— Ani mnie! — odparł dyktator roboczy.

I rozeszli się każdy w swoją stronę!

Po wojnie duńskiej pospieszył *Lassalle* do prezesa, żądając bezzwłocznej aneksyi Szlezwigu i Holsztynu. Wspomniałem, że Prus nie lubił. Jednak nie widząc innej potęgi, mogącej zjednoczyć niemieckie państewka, znosił je, nawet popierał. *Bismarck* przedstawiał mu, że aneksya, to wojna z Austrią.

— Mniejsza o to! — zawołał *Lassalle*. — Wojna ta i tak nieunikniona!

— Ale w tej chwili niemożliwa, bo mamy niezgodę we własnym domu.

— Wprowadź, excellencyo, głosowanie powszechne, a zwyciężysz opozycję w parlamencie.

— To być nie może! — protestował niby oburzony *Bismarck*. — Konstytucya na to nie pozwala, a konstytucya zaprzysiężona.

Teraz z kolei oburzył się *Lassalle*. Zdawało mu się wielką hipokryzyą, żeby minister konstytucyjny zaślaniał się przysięgą. *Bismarck* się tłumaczył: Ale król... i długo rozwodził się nad legalną reformą rzeszy niemieckiej za pruską inicjatywą. Agitator o niczem słuchać nie chciał.

— To wszystko półśrodki! To wszystko na nic! Odąd aneksję Szlezwigu i Holsztynu wpiszę do mego programu!

— Może i pański program prędzej lub później ziści się — odparł śmiejąc się *Bismarck*. To było ich ostatnie spotkanie.

Śmierć zaskoczyła *Lassalla*, zanim mógł program swój wykonać. Umarł w samych początkach wielkiej agitacji, która z Hamburga miała rozchodzić się po dwóch zdobytych prowincjach. Wiadomo, jak bezwzględnie *Bismarck* tę część jego programu przeprowadził.

Pozwoliłem sobie wyprzedzić moje opowiadanie, pragnąc *Lassalla* oczyścić z potwarzy, którą za życia często nań miano, że był płatnym agentem pruskim, a potem miałem sobie za obowiązek, nie zataić choćby drobnego rysu do polityki męża stanu, w którego rękach zrządzeniem Opatrzności złożone są dziś losy niemieckie i spokój Europy.

Największem *Lassalla* dziełem, nietylko materyalną objętością, lecz i głębokością pomysłów oraz nowością poglą-

dów, jest niewątpliwie jego dwutomowy „*System nabytych praw*“ (System der erworbenen Rechte) w Lipsku 1861. Przechodzi w niem bardzo obszernie prawo spadkowe rzymskie, a następnie w dodatku także niemieckie, rzucając nowe światło na wiele niezrozumiałych ustępów z Instytucyi lub Pandektów. Oceniona jako praca fachowa, jako uczona monografia, zasługuje na bezwzględne pochwały, bo należy do najlepszych, jakie kiedykolwiek o prawie spadkowym rzymskiem napisano; ale filozoficzne wnioski, których autor każe się domyślać a uczniowie w istocie się domyślili, są zupełnie bezzasadne. Bo tylko to wykazał szczegółowo uczony autor, co zresztą ogólnie już wiedziano, że pewne ustawy prawnicze, n. p. testament rzymski, nie są człowiekowi przyrodzone, lecz dopiero w ciągu dziejów, wolą tego lub owego narodu zostały utworzone; zatem i w przyszłości uleść mogą nowym zmianom. Ale czyż ztąd wynika, że także sam majątek prywatny jest społecznej umowy owocem, jest konwencyonalnym stanem, którego zrazu nie było a kiedyś znowu nie będzie? Tego autor nie dowiódł, a jeżeli uczniowie dochodzą do takiego wniosku, więcej wyczytali z książki, aniżeli autor napisał. Nie przeczę, że panteizm w ostatnich następstwach swoich nie tylko ludzką osobę, lecz także własność osobistą niweczy. Nigdy jednak *Lassalle* nie przyznał się do tych ostatnich wyników swego systemu. Pracując nad wydobyciem niemieckiego robotnika z nędzy i zaopatrzeniem go w jakiś mająteczek, nie zamierzał tego dokonać *przez zabór prywatnej własności*; tak nieuczciwego postępkę zawsze się wypierał.

A teraz czas już powrócić do założenia naszego, do ruchu społecznego niemieckich robotników. Poznawszy życie i przeszłość człowieka, który miał niebawem stanąć na ich czele, zanim porzuci ulubione studia i wygody życia i blask salonów a ukaże się na arenie społecznych zapasów, przypatrzymy się jeszcze usposobieniu samychże robotników. Dzielili się na dwa wielkie obozy. Podczas gdy większość stanowczo od wszelkiej polityki stroniła, zajęta tylko ulepszeniem bytu swego przez umoralnienie i oświatę, ruchliwsza mniejszość popierała a przynajmniej sympatyzowała zrazu z liberalnym stronnictwem pruskiej izby poselskiej, ponieważ spodziewała się skutecznej pomocy od „*Stowarzyszenia narodowego*“ (Na-

tionalverein) i gotajskich liberalów, którzy przez p. *Schultze-Delitzsch* zakładali dla nich banki pożyczkowe. Jednakże czując coraz bardziej brak samodzielnej organizacyi i pracy systematycznej a nie mogąc w sobie stłumić słusznej nieufności do liberalnego mieszczaństwa, część ta robotników postanowiła zwołać wielki zjazd kolegów swoich, aby obmyśleć jaką skuteczną interesów swoich obronę. Udała się, jak już wspomniałem na wstępie, po radę do *Lassalla* a ten odezwał się z gotowym już programem w otwartym liście do komitetu, zajętego zwołaniem zjazdu. ¹⁾

Jak zwykli agitatorowie zaczynają od burzenia tego, co jest, aby potem swoje postawić albo też (co częstsze) nie postawić, *Lassalle* wystąpił także odrazu przeciw dwom partynom stanu roboczego, aby rozproszywszy je pod własnym sztandarem utworzyć partyę nową.

Zwolenników politycznej apatyi surowo karcił za niedołęztwo, pod którem ukrywali niezmierne samolubstwo a nawet zdradę sprawy roboczej, bo robotnika odwozić od polityki jest to samo, co skazywać go na nędzę nieustającą. Zniżkąd (mówił on) nie może spodziewać się polepszenia bytu swego, wyjąwszy walkę przeciw klasom uprzywilejowanym. Ale niemniejsza nagana i tych spotkać powinna, którzy wprawdzie już rzucili się do walki, ale nie jako samodzielni ryccerze, lecz jako ciury i pachołki stowarzyszenia narodowego i liberalnego mieszczaństwa. Bo spór konstytucyjny z *Bismarckiem* dowiódł jawnie, że to są ludzie bez honoru, bez zasad (i w tem *Lassalle* nie mylił się wcale), na których liczyć robotnicy nie mogą, bo reprezentują mieszczaństwo a mieszczaństwo jest to samo, co egoizm. Nie pozostaje przeto robotnikom, jak utworzyć partyę odrębną, która najprzód wywalczy sobie głosowanie powszechne a potem większość w parlamencie. Wtedy nareszcie robotnicy ująwszy ster rządów niemieckiej ojczyzny, potrafią zapewnić sobie rozwój porządny i bezpieczny.

¹⁾ Offenes Sendschreiben an das Centralcomité zur Berufung eines allgemeinen deutschen Arbeitercongresses 1. März 1863. Zürich, 2. Aufl. 1868.

Bo też stan czwarty (tak wykłada *Lassalle* dalej) jest właściwem państwem, skoro państwo nie jest czem innem, jeno wielkiem stowarzyszeniem biednych. Tego paradoksu dowodzi autor namiętnie, świetnie, co chwila sięgając po nowe naboje do statystyki, owej zbrojowni nowożytnego naturalizmu. Gdy się zapytamy statystyki o dochody pruskiego państwa np. z r. 1850 (odległe to już czasy, ale przykład nic nie traci z wartości swojej) daje nam tę ciekawą odpowiedź. Na 1000 mieszkańców

5	miało dochód	<i>większy</i>	od 1000 tal.
32	„	„	roczny „ 400 — 1000 tal.
73	„	„	„ „ 200 — 400 „
167	„	„	„ „ 100 — 200 „
723	„	„	<i>niższy</i> „ 100 tal.

Każdy taki dochód roczny, obliczony według płaconych podatków, *przypada na rodzinę*, składającą się w przecięciu z trzech do pięciu głów. Obraz społeczny, na który liczby powyższe się składają, bardzo jest smutny, bo widać z niego, że dwie najliczniejsze klasy czyli 890 na 1000 mieszkańców, żyły w zupełnej nędzy, boć przeszło pięć siódmych z nich *nie miało* nawet stu talarów na rok, a jakże nawet za 100 talarów utrzyma się cała rodzina. Przybywa dalszych 73 rodzin z dochodem nie przynoszącym 400 talarów, o których także powiedzieć nie można, że żyły świetnie. Zatem prawdą jest, że państwo składa się przeważnie z ludzi biednych, więc i do nich należeć powinno.

Gazety liberalne przyjęły ten wykaz z wielkiem oburzeniem i zarzucały *Lassallowi*, że albo się pomylił, albo umyślnie liczby sfałszował, jednakże nie zdołały dowieść ni pierwszego, ni drugiego. Zresztą ta ich taktyka była zupełnie fałszywa i do żadnego pomyselnego skutku doprowadzić nie mogła, bo i cóż za zysk z odtrącenia kilku odsetków, tak iż zamiast 950 na 1,000 mieszkańców znajdzie się tylko 920 lub nawet 900 ubogich. Jeszcze pozostaje ogromna nieproporcya pomiędzy klasą majątną a klasą biedną, pomiędzy „używającymi,“ panami a sługami, w pocie czoła pracującymi na swoje i panów swoich utrzymanie. To też *Lassalle*, odpowia-

dając na te zarzuty, bez trudu wykazał, że obrazu nędzy nie tylko nie przesadził, lecz nawet nie domalował. Bo najniższe owe dochody w rzeczywistości daleko jeszcze są niższe, gdy odtrącimy wszelkiego rodzaju podatki. W Prusiech np. w r. 1855 ogólne dochody państwa wyniosły 109 mil. tal. Z nich tylko 24 mil. wpłynęło wprost czy to z dóbr rządowych i regaliów, czy to z bezpośrednich podatków, a ogromną sumę 85 mil. zawdzięczyło państwo podatkom pośrednim.

Gdy te liczby zestawimy z powyższą tabliczką dochodów prywatnych, widzimy, że 85 milionów w kształcie podatków pośrednich ciążyło przeważnie na owych 960 mniej wyposażonych mieszkańcach z pomiędzy tysiąca; ciążyło nie tylko ilością, lecz bardziej jeszcze wagą, bo podniesienie ceny mięsa np. z 18 gr. do 30 gr. za funt wskutek akcyzy, jest obojętną rzeczą dla mającego 10,000 tal. na rok a bardzo dotkliwą klęską dla biedaka o 100 talarach rocznie. A gdy dodamy, że nawet z bezpośrednich podatków część mniej zamożna ludności płaciła jakie 70%, pojmiemy, jak *Lassalle* mógł zawołać: *Do was, do niezamożnych i cierpiących należy państwo, nie do nas, do stanów wyższych, bo z was ono się składa! Gdy zapytacie: co to państwo? te kilka liczb dokładniej was objaśni, aniżeli grube książki. Państwem wy jesteście; bo państwo nie jest czem innym, jak wielkiem ludzi ubogich stowarzyszeniem!*

Słowa te i wiele im podobnych sądzić trzeba według okoliczności, wśród których były powiedziane i według przeciwników, do których zmierzały. Dla chrześcijańskiego serca, nie oddzielającego ani ubogich od bogatych, ani prostych od wykształconych, lecz łączącego wszystkich węzłem wspólnej miłości w jeden naród, utwór Opatrzności i Jej odwiecznych zamiarów urzeczywistnienie, słowa powyższe grubym są paradoksem; natomiast ludzie liberalni, którzy państwo uważają za przypadkowe, dowolne stowarzyszenie jednostek a władzę wszelką za tychże jednostek wolę objawioną, którzy ponad państwem nie uznają ni sędziego, ni prawodawcy a za cel najwyższy mu naznaczają doczesny dobrobyt, powinny z całego serca przyklasnąć słowom *Lassalla*, bo wypływają z ich teoryj i prawem są następstwem ich własnych myśli. A jeżeli w praktyce o nich słyszeć nie chcą, dowodzi to albo braku

w nich ścisłego myślenia, albo nieszlachetnej małoduszności, przenoszącej swoje własne malutkie interesa nad zwycięztwo prawdy. Zniósłszy przywileje, chcieliby zachować dla siebie najnieznośniejszy i najniesprawiedliwszy *przywilej mamony*.

W średniowiecznych monarchiach rządziła wprawdzie klasa uprzywilejowana, ale za to najszlachetniejszy ponosiła ciężar, trudy obozowe, nadstawiając życie swoje za całość i bezpieczeństwo kraju. Później jednak zapomniawszy pochodzenia swego i obowiązków swoich, nawet ten ciężar zrzucić zaczęła na mieszczaństwo i chłopów, nie im w nagrodę nie ustępując ze swoich przywilejów. Cóż więc dziwnego, że narazie wzięli sobie przemocą, co im już prawnie się należało. I tak po rządach szlachty nastąpiły rządy mieszczaństwa. Ale liberalne mieszczaństwo daleko mniej mając honoru od szlachty, daleko prędzej zrzuciło się z obowiązków swoich, składając większą część swoich ciężarów na klasy robotcze, ponoszące obecnie najdotkliwsze ciężary a wykluczone pomimo to z wszelkiego udziału w sprawach publicznych. Sami więc go sobie zdobędą i jak niegdyś szlachta przez mieszczaństwo, tak teraz mieszczaństwo przez robotników zostanie pochowanym w grobie politycznej anarchii. *Lassalle* walkę tę, która dzisiaj jest już nieuniknioną w Niemczech, pierwszy na dobre rozpoczął i to bez ambitnych zamiarów, bez osobistych widoków. Mylił się jednak w przypuszczeniu, że ona da się ukończyć bez gwałtownych wywrotów, bo dotąd nie było przykładu, że klasa panująca dobrowolnie zrzekła się swojej władzy.

List *Lassalla* rozszedł się po całych Niemczech, imię jego niebawem było w ustach wszystkich. Kilka mów gorących (w Lipsku 16 kwietnia, w Frankfurcie 17 i 19 maja r. 1863), w których namiętność południa, przenikliwość Wschodu, klasycyzm Hellady i wiedza dziewiętnastego wieku łączyły się w potężną całość, tem potężniejszą, że każde słowo tchnęło głębokiem, prawdziwem przekonaniem, wywoływały entuzjazm nie do uwierzenia. Podróż jego nad Renem, gdzie w wielkich zakładach fabrycznych wszędzie miał zwolenników, podobną była do podróży księcia, przeglądającego wojska swoje. W *Solingen* dziesięć tysięcy robotników powiewało czapkami, gdy blade, wysmukły żyd o błyszczącym wzroku stanął na mównicy, a gdy mówić zaczął, każdy z obecnych z przytrzyma-

nym oddechem, iskrzącymi oczami a ściśniętą pięścią wtórował jego słowom, gotów im nadać życie i ciało, gdy usłyszysz rozkaz. Jednakże ledwo zaczął, burmistrz z liczną żandarmerią uderzył na zgromadzenie. Rozlew krwi zdawał się nieuchronnym, bo tłumy, mową zelektryzowane, na widok siły zbrojnej wpadły we wściekłość niesłychaną. *Lassalle* ani na chwilę nie utracił ni przytomności, ni odwagi swojej. Pewien siebie i sprawy swojej, nie znał, co bojaźń, co zwątpienie. Z wyteżoną ręką tłumom nakazał milczenie i wnet schyliły się głowy, jak zakłęte duchy przed czarownikiem; kilka słów energicznych uciszyło huczące morze głosów ludzkich. Potem ostro wyrzucał policyi bezprawność jej postępowania, a gdy mimo to ustąpić nie chciała, na czele dziesięcioletniego wojska jak tryumfator wyruszył do biura telegraficznego i posłał apelację do *Bismarcka*. Ten i kilka podobnych wypadków, gdzie ani dobyte pałasze, ani krzyki tłumu nie zachwiały ni odwagi ni spokoju jego, zasługują na uwagę, bo w żydowskim trybunie odsłaniają nam przymiot, którego ani żydzi, ani trybunowie najczęściej nie mają — osobistą odwagę.

Im bardziej rosła agitacja *Lassalla*, tem więcej oburzało się liberalne mieszczaństwo, któremu w mowach swoich wymierzał potężne ciosy; tem niespokojniejszą stawała się policja, która już z urzędu swego nie może lubić *mężów ludu*. Szarpano go w gazetach, a co gorsza wytaczano procesa o zbrodnię stanu, o naruszenie publicznego porządku, o szerzenie zasad niebezpiecznych; z tych procesów zwykle w niższych instancjach skazany na więzienie, w najwyższej wychodził całym, ale zabierały mu wiele czasu, pogody ducha, nawet zdrowia. Pojmuję, że ludowe zebranie pod gołym niebem może uchodzić za naruszenie publicznego porządku, ale niekiedy pozywano go nawet za naukowe odczyty, miane w sali zamkniętej, np. gdy mówił o *związku historii bieżącej z ideą stanu roboczego*. Każdy z tych procesów robi nam na pół komiczne, na pół smutne wrażenie. *Liberalna Heglem* wykarmliona biurokracja prześladowała również *liberalnego heglistę* za to, że z nieskłamanem poświęceniem bronił robotników przeciw wyzyskującym ich fabrykantom, za to, że domagał się rzeczy, które taż liberalna biurokracja w dwa lub 3 lata później sama za konieczne uznała, np. *głosowanie po-*

wszechne. „Ścigacie mnie za to, że żądam głosowania powszechnego, a ja wam powiadam, że najdalej za rok p. *Bismarck* je całym Niemcom narzuci“. Tak prorokował przed kratkami, a choć o kilka miesięcy się omylił, zrozumiał jednak doskonale, iż rewolucyjny protestantyzm nie może zatrzymać się na swej drodze pochyłej, lecz niewątpliwie dojdzie do tej ostatniej, a najniebezpieczniejszej konsekwencji.

Przed sądem bronił się zawsze sam i to z takim bogactwem prawniczej wiedzy, logicznej ścisłości i dowcipu, że nieraz sędziów swoich w wielki kłopot wprawiał. I tak np. gdy z powodu wspomnianego odczytu pozwano go *za szerzenie niebezpiecznych zasad*, dowodził, że wolność nauki zabezpieczona jest konstytucją i że on w niczem tej wolności nie nadużył. „Odczyt mój jest w rzeczy samej naukowy, a nie tylko z pozoru, jak p. prokurator sądzi. Aby sądzić o tem, co jest nauką, bardziej jestem powołany od p. prokuratora, bo czas mój, pracę moją i sen mój nauce poświęciłem. P. prokurator nicby nie zarzucił odczytowi, gdybym go był miał w akademii, przed wykształconą publicznością, ale że go miałem przed robotnikami, wielkiej zbrodni się dopuściłem. Czyż więc nauka i lud mają zawsze być rozłączone? A ja wam mówię panowie, przyszłość do nauki i do ludu należy. Gdy się nawzajem uścisną, wtedy swemi spiżowemi ramionami wszystkie przeszkody świata usuną. Zadanie i cel życia mego jest właśnie w sprowadzeniu tego uścisku“.

Słowa te mogą niepodobać się, mogą wydawać błędne i podszyte paradoksami, ale zajmą stanowisko mowcy, trudno ich nie pochwalić, trudno nie uznać słusznymi. Któż bowiem nie widzi, że roztwierają się na rozcież wrota najwyuzdańszej biurokratycznej swawoli, jeżeli policya sądzić ma, co jest nauką, a co jest tylko pozorem nauki. A to przyjsć musiało, gdy protestantyzm wyparłszy się Boga prawdziwego, z nauki utworzył sobie bożyszcze, któremu przyznał niezawisłość, przymiot Boga prawdziwego. W praktyce jednak to nie zawsze jest bezpiecznie, bo lud nie bawi się w oderwane teorye, lecz zaraz w życie je wprowadza; dlatego przyjęto *mądrą* zasadę, pełną obłudy, a nie mającą żadnej logicznej podstawy, że np. wolno pastorowi w grubym tomie napisać najgrubsze obelgi na Chrystusa i szarpać zarówno jego sławę Boską, jak

ludzką, ale nie wolno tego samego uczynić w odcinku gazety lub na ćwiartce papieru, bo zaraz wytaczają proces o szerszenie zasad niebezpiecznych. Tak to protestantyzm, chcąc wyswobodzić stronników swoich z pod cenzury Kościoła, oddał ich w ręce policji lub prokuratury, która *nieomylnie* decyduje, czy artykuł w gazecie jest *naukową pracą czy nienaukową*. Przecież nie państwu przyrzeczona jest nieomyślność, nie policji dana jest władza nauczania.

W maju r. 1863 założono w Lipsku „*ogólne stowarzyszenie niemieckich robotników*“ a jego prezydentem obrano *Lassalla* na lat pięć. Warto zatrzymać się nad tym utworem, który sprawcę swego przetrwał i w tej samej prawie formie się utrzymał. Stowarzyszenie robotnicze daje nam obraz ducha społecznego, którego pochodnią jest panteizm, a zarazem przedsmak roboczej rzeczypospolitej, którą niechybnie, jeżeli Bóg nas nie ochroni, złowroga przyszłość nam zgotuje. Przedewszystkiem w niej uderza bezwzględny absolutyzm. Prezydent wszystko może, a przed nikim nie jest odpowiedzialny; jednoczy w sobie wszelką władzę i wszelką inicjatywę. Ma on wprawdzie dodaną sobie radę z 24 członków, niby dla kontroli, ale ta po całych Niemczech rozproszona, nie może się zebrać, dopóki jej nie zwoła. Prezydent rozkazuje, co mu się podoba, i tylko jeden ma obowiązek postarać się w ciągu trzech miesięcy o potwierdzenie swoich rozkazów przez radę. Gdy ta odmówi, on spokojnie dalej rządzi na własną odpowiedzialność, a rada przeszkodzić temu nie może. Dopiero ogólny zjazd całego stowarzyszenia potrafi, gdy zechce, prezydenta pociągnąć do odpowiedzialności i nawet ukarać niewybraniem na rok następny. Bo urząd ten roczny jest, a krótkość jego trwania jest jedynym hamulcem, włożonym na samorząd monarchy; ale i ten hamulec nie jest dostateczny, bo ten sam prezydent może być ciągle na nowo wybrany.

Nieograniczona, monarchiczna władza prezydenta, wpływa z bezprzykładnej centralizacji Stowarzyszenia, jakiej nawet nie ma w Rosyi lub Turcyi. Żadnych nie masz lokalnych, czy to miejskich, czy prowincjonalnych stowarzyszeń lub komitetów, któreby przeciwwały w decyzjach rady centralnej. Są członkowie po całych Niemczech rozrzucony i prezes w Berlinie. Zdawałoby się, że tak potworny organizm lub raczej

mechaniczne ześrodkowanie atomów dokoła jednego ogniska ani żyć, ani poruszać się nie może, a jednak maszyna ta nie pracuje gorzej od daleko sztuczniej złożonego internationalu Ruch zawsze od prezesa wychodzi i bezpośrednio do periferii tam gdzie się mieszczą atomy, zmierza; atomy nim dotknięte nie mają znikąd ani oparcia, ani zasłony. Absolutyzm zupełny, rzekłbym bajeczny, gdyby nie rzeczywistość dowodziła jego niebajeczności. Najjaśniejszy prezydent może własnoręcznie każdemu z poddanych obliczyć zasłużone lub niezasłużone knuty, niehamowany wcale władzami pośrednimi, któreby mogły swem przedstawieniem pierwszy jego impet złagodzić.

Funkcye administracyjne tego społecznego organizmu odbywają się następującym sposobem. Członkowie, którzy w tem samem mieście przebywają, np. w Dreźnie, choćby wszyscy się znali osobiście, nie mają jednak żadnych ze sobą stosunków urzędowych, ani wpływu na administracyę stowarzyszenia. — Jednego z nich prezydent berliński mianuje swoim pełnomocnikiem, a temu należy się ślepe posłuszeństwo; drugiego kasyerem. Gdy rozporządzenie jakie z Berlina od prezydenta nadchodzi, dajmy na to, rozkaz agitacyi, pełnomocnik członków zaprasza na publiczne zebranie ludowe, gdzie każdemu obcemu i wchodzić wolno i nawet głos zabierać. Wobec takiego zebrania policya jest zupełnie bezsilną, może je rozpuścić, ale nie może nikogo karać, jeżeli wszystko w porządku się odbywa; nie masz korespondencyi, nie masz naczelników miejscowych, trudno więc pojedynczych ludzi karać za to, że się zbierają, uwiadomiwszy należycie policyę, lub za to, że do jakiegoś zagranicznego berlińskiego stowarzyszenia należą, które w obrębie samej Saksonii żadnych oznak życia nie daje i żadnej organizacyi nie posiada. Tak więc prezydent rzeczywistym jest jednowładcą, który nie dzieli się z nikim władzą swoją, bo wszyscy jego pełnomocnicy i kasyerzy mogą w każdej chwili być odwołani i żadnej nie mają samodzielności.

Zapewne, że względ na policyę, z którą tego rodzaju stowarzyszenia mają nieuniknione zatargi, względ także na konstytucyę, któremi podówczas różne państewka rzeszy niemieckiej się rządziły, tłumaczą po części tę dziwną a wcale nie demokratyczną formę rządową, mającą swój pierwowzór

chyba gdzieś w dalekim Wschodzie, w Chinach. Ale prawdziwy jej sekret ukrywa się w metafizyce socjalizmu, który pracując nad rozbięciem w puch chrześcijańskiej społeczności, popotem zmuszony jest z luźnych atomów układać kupę brutalną naokoło jednego środka. I jakże inaczej być może! Gdy z żywego organizmu wypędzimy życie i kształtującą go duszę, pozostanie tylko trup, a ten jednego tylko prawa słucha, prawa ciężkości. Ale ciężkość jest najniższą i najbrutalniejszą z wszystkich sił przyrody, uosobiona w Chinach w bambusie, który wedle skinienia cesarza, spada na pięty poddanych. Taką pono wolność i socjalizm swoim poddanym gotuje.

Poznawszy państwo i jego organizację, przypatrzmy się rządowi *Lassalla*. Były one, rzecz można, nieustającą wojną, bo zewnątrz i wewnątrz mnóstwo nieprzyjaciół na młode państwo godziło. Z zewnątrz najniebezpieczniejszy był *Schulze-Delitzsch*, rywal od dawna bardzo popularny, a rozrządzający znacznymi funduszami, bo popierany od mieszczaństwa. Nazywano go dobroczyńcą ludzkości, ojcem robotników. Zrazu bywszy sędzią w małym pruskim miasteczku, którego nazwę przyczepił do swego imienia, aby odróżnić się od milionowego tłumu innych Schulzów, porzucił służbę rządową i wyłącznie poświęcił się sprawie materialnego bytu klasy robotczej. Nie chcemy zmniejszać jego zasług rzeczywistych, ani w wątpliwość podawać jego dobrych zamiarów; trudno jednak nie widzieć, że jego sposób działania nie potrafi rozwiązać kwestyi socjalnej. Przywykły do skromnych stosunków małego miasteczka, bez wyobrażenia o wielkim ruchu robotczym, który na Zachodzie poczęty, coraz dalsze masy ogarnia, bez zdolności, ale pracowity i chętnie usługujący innym, przynosił pojedynczym grupom robotników, a bardziej jeszcze małym rzemieślnikom chwilową ulgę. Za to wdzięczność się jemu należy wielka i szczerą. Liczne stowarzyszenia konsumcyjne i banki pożyczkowe w księstwie poznańskim urządzono według jego myśli, a czasem pod jego impulsem, i te to zakłady przyczyniły się niemało do wyrwania biednych rzemieślników naszych ze szponów żydowskich.

Zdawałoby się, że tego rodzaju praca nietylko nie poróżni *Schulze-Delitzscha* z *Lassallem*, lecz nawet ich zbliży do siebie. — *Lassalle* przed dopięciem swoich ideałów polity-

cznych i zaprowadzeniem raję roboczego na ziemi potrzebowal kogoś, coby znuędzialę tłumy uczyl oszczęduńci w wydatkach i lepszego gospodarstwa w domu, a tem samem dopomagal do znoszenia twardej rzeczywistości. Mógł p. *Schulze* zostać rachmistrzem i ekonomem *Lassalla*, bo do czegoś wyższego doprawdy powołanym nie był. Jednakże taka podrzędna acz dobroczynna rola Marty nie odpowiadala ani osobistym ambicyjkom p. *Schulzego*, ani zamiarom liberalnych fabrykantów. *Schulzemu* koniecznie chialo się być królem, a fabrykanci nie żalowali ofiar, aby robotnikom narzuciwszy malowanego króla, znienawidzonego *Lassalla* na zawsze usunąć. — Wszystkie liberalne dzienniki, nawet najbardziej demokratyczne, uderzylę hurmem na niego i nazywaly go półglówkiem, człowiekiem *bez gruntownego wykształcenia* (zarzut doprawdy komiczny, gdy pochodzi od postępowego gazeciopisarza), szpiegiem nawet lub agentem *Bismarcka* i nie wiedzieć czem jeszcze. *Lassalle* na te osobiste potwarze, poniewierające nieraz jego najdroższymi sekretami, na to formalne sprzysiężenie liberalnych dzienników, mianowicie berlińskich, odpowiadal namiętnie, bronil się gienialnie, a razy, które na wszystkie strony padaly, przypominaję uderzenia lwa, rozpruwajęcego ogary nań puszczone. Nie mogę odmówić sobie przyjemności przytoczenia choć jednego ustępu z polemicznej broszurki, w której wydaje bardzo sprawiedliwy sąd o niemieckich dziennikach. — Zastanowiwszy się nad duchowem i fizycznym zniedołężnieniem mieszczaństwa, widzi głównę przyczynę tego smutnego zjawiska w braku samodzielnego myślenia.

„Bo nawet myślenie (mówi on) w tej epoce podziału pracy stało się osobnem rzemiosłem i dostało się w udziale głowom najpodlejszym, głowom naszych dziennikarzy... (Pomijam, co mówi o ich sprzedajności). Nigdy, ani koran, ani biblia, nie mialy również wiernych wielbicieli. Proces narodowego myślenia, w mieszczaństwie przynajmniej, odbywa się dzisiaj w gazetach. Kto gazetę czyta, nie potrzebuje myśleć, ani uczyć się, ani badać. Wszystko to ma już za sobą, stojąc ponad wszystkim. Tak jest! gazety staly się organem myślenia dla mieszczaństwa. Mieszczanin nie myśli, nawet gdy ma więcej zdolności niż ci, co mu dostarczaję gotowych myśli.... Nie zwykl udawac się do wielkich kupców myślenia, którzy

są chwałą Niemiec, do wielkich filozofów. Jak ludzie, co dla braku potrzebnej gotówki nie mogą kupować w wielkich sklepach, nabywają gorsze i sfałszowane towary po małych sklepikach, tak i mieszczanin codziennie gotowy wyrób myślny nabywa u najpodlejszych robotników, u liberalnych dziennikarzy!... Ale któż otwarcie zechce się przyznać do takiego kultu dzienników! Byłoby z wielką niesławą dla całego narodu, gdyby musiał wyznać, że w swoim myśleniu i we wierze swojej zawisł zupełnie od garstki nikczemnych bazgraczy, którzy do żadnego innego rzemiosła niezdolni, do żadnego samodzielnego lub samowiednego działania (tak to czasy się zmieniły), na to tylko są dobrzy, żeby całego narodu codzienne myślenie bezimiennem płódcieniem utrzymywać. Żeby uniknąć tak sromotnego wyznania, dla kultu gazet wymyślono boginię, a tą boginią jest opinia publiczna!“

Tego rodzaju ciosy, tem boleśnieszce, im bardziej zasłużone, zamykały od czasu do czasu usta liberalnym dziennikarzom, ale na chwilę tylko; potem napady zaczynały się na nowo. Poniżano *Lassalla* systematycznie, wywyższano z jego krzywdą p. *Schulzego*, a gdy nawet ten mizerny pretendent do berła nad ludem roboczym, choć nie był godny rozwiązać rzemyków *Lassallowi*, w mowach publicznych na niego napadał, postanowił obrażony dyktator roboczy dać odwet za wszystko. W r. 1864 ogłosił dziełko: *Pan Bastiat-Schulze, ekonomiczny Julian* ¹⁾, które należy do najgieniałniejszych pism polemicznych, jakie kiedykolwiek wydano. Kilka lat ustawicznych prześladowań z obozu liberalnego zgromadziło w duszy jego morze jadu i żółci, inaczej trudno byłoby pojąć, z kąd taka potęga, taka wytrwałość w nienawiści. Jest to pocisk tak okropny, że ten, który go odebrał, powinien skryć się pod ziemię, wyjechać gdzieś za granicę, jak przeciwnicy *Demostenesa*, bo tylko gromiące mowy dają się porównać z nowoczesną filipiką przeciw mieszczaństwu.

¹⁾ Herr Bastiat-Schulze von Delitzsch, der ökonomische Julian, oder Kapital und Arbeit. Berlin 1864. Przydomek *ekonomicznego* Juliana pochodzi z dawniejszej pracy: Julian Schmidt, der Literarhistoriker mit Setzerscholien, 1862 r. w której rozprawił się z *literackim* Julianem.

Dowodzi autor, że hasło mieszczańskie, przejęte ze szkoły manchesterskiej a bezmyślnie powtarzane przez p. *Schulzego* robotnikom w gruncie dopomódz nie może. Bo temu, co nie ma, powiedzieć *self-help*, jest to samo, co do rady bezużytecznej dodać jeszcze nieludzką ironię. Biedak dlatego nędzny, że sam sobie poradzić nie umiał; zasada przeto dobra dla kapitalistów, bo otwierająca wrota wolnej konkurencyi, staje się zgubną dla robotników, którzy jako słabsi nie mogą ubiegać się o lepsze z potężnymi przedsiębiorcami. Pierwsza więc zasada p. *Schulzego* zupełnie jest błędna, ale niemniej błędnem jest jego mniemanie, że za pomocą oszczędności i kas pożyczkowych lub składów konsumcyjnych można robotników z czasem zamienić w dostatnich właścicieli. Bo dziwna a nieubłagana zachodzi równowaga między dzienną opłatą a potrzebami życia robotników. W przecięciu zarabiają tyle, ile wydają. Gdy utrzymanie podrożeje, zapłata dzienna nieco się podniesie (choć nie zawsze), ale gdy potrzeby życia stanowią, niewątpliwie spadnie. Pochodzi to ztąd, że więcej jest robotników, aniżeli roboty, przezco zmuszeni są obniżyć swoje żądania a z tego chętnie korzystają przedsiębiorcy. Gdy więc składy konsumcyjne lub tym podobne humanitarne urządzenia gdzieś dole robotników poprawią, niechybnie z prowincyi pod tym względem zaniedbanych tyle ich tam napłynie, że wbrew woli własnej, bo żyć muszą, żądania swoje zniżą i tak, co dla nich miało być zbawienia kotwicą, na własną ich zgubę się obraca.

Prawo to konieczne, znane już dawniejszym ekonomistom a potwierdzone przez nowych tłumaczy, dlaczego usiłowania p. *Schulzego*, acz w sobie chwalebne, nie mogą stanowczo naprawić losu klasy roboczej; tłumaczy także oburzenie *Lassalla* i słusznie się gniewał, że owych humanitarnych zabiegów nie podawano za to, czem są w istocie, za chwilowe pomoce, lecz za ostateczne, szczęśliwe rozwiązanie kwestyi społecznej.

Pobiwszy p. *Schulzego* i jego przyjaciół piórem, co nie było zbyt trudnem zadaniem, zwrócił się przeciw daleko gorszym, bo domowym wrogom. Najbardziej dawał się we znaki upadek ducha, nierozdzielny towarzysz nędzy i braku wykształcenia, który czasem ustępował przed gorącą mową, ale potem z większą jeszcze natarczywością porywał swoje ofiary. Ani też liczba członków nie zwiększała się tak raptownie, jak zrazu

spodziewał się *Lassalle*. Nareszcie brak pieniędzy, brak zapłała, osobiste ambicje krzyżowały bezustannie jego zamiary, tak, iż bez przesady powiedzieć można, że stwórca i rządca tej roboczej rzeczypospolitej nie odpoczywał na różach, a jego błyszcząca korona, pobudzająca innych demagogów do zazdrości, podbita była bolesnymi cierniami. Jak to zwykle teoretykom się wydarza, gdy się z twardą stykają rzeczywistością i z nią oko w oko mierzą, ręce im drętwieją, siły odstępują, sama bliskość celu przeraża. Zanadto *Lassalle* unosił się, zanadto ufał sobie i innym, a ztąd łudził się, że jego zapłał masom się udzieli i że ruch przezeń wszczęty za rok lub dwa tak zolbrzymieje, że ani rządy, ani liberalne mieszczaństwo oprócz się jemu nie potrafią. A tu po roku, jak łatwo można było przewidzieć, stowarzyszenie było dopiero w powijkach.

Niemiecki robotnik lubi z urodzenia pracę, jest oszczędny, przestaje na małym, lubi swój kątek i chudobę swoją i rodzinne uciechy. Trudno człowiekowi takiemu, dopóki nie został obalamucony lub też nędzą zniechęcony do pracy, zapalić się do jakiejś nieznannej, mglistej przyszłości, w której jego zdrowy rozsądek przeczuwał komunizm i zniesienie rodziny, dwie rzeczy niesłychanie wstrętne niemieckiej naturze. Zbywa mu także na odpowiednim wykształceniu, bez którego trudno obudzić w sobie zajęcie do filozoficznego systemu, przeobrażającego wszystkie stosunki społeczne. Widać ztąd, że łatwo było *Lassallowi*, gdyby był chciał, wszczynać rozruchy i ogniścą przemową poprowadzić zwolenników swoich na barykady; do tego byli zawsze gotowi a nawet czasem tego się domagali. Ale gdy ich prosił o powolne, systematyczne działanie, o dobijanie się krzeseł w parlamentach, wtedy ręce im opadły, zapłał stygnął, poprostu nie rozumieli go. Tak po niewczasie *Lassalle* się przekonał, że do akeji parlamentarno-politycznej, jaką zamierzał, potrzeba i gruntownego wykształcenia i zupełnej swobody ducha, dwóch rzeczy, których ludzie w pocie czoła pracujący prawie nigdy nie mają. Wtedy smutnie załamywał ręce apostoł socjalizmu i nieraz w bezsennych nocach dławiony goryczą serca swego, wołał niby drugi *Pankracy*: *Czy choć jeden zrozumiał myśli moje? pojął koniec drogi, u początku której hałasuje?*

Rok spełna nie minął od założenia stowarzyszenia, gdy pod 14 lutym r. 1864 do głównego plenipotenta swego napisał te bolesne słowa: „Nowych pieniędzy więcej dostarczyć nie mogę, ani też dopuścić, żeby stowarzyszenie upadło, dopóki promyk nadziei błyszczy na politycznym niebie. Doszedłem do kresu ofiar pieniężnych, jakie ponosić mogę, a nawet o wiele go przekroczyłem. Jakie ofiary złożyłem aż do przeszłego września, Pan to najlepiej wiesz; nie były to moje dochody, lecz kapitały.“

A kto dowiedzieć się pragnie, co się na samym spodzie duszy dzieje w nowożytnych Pankraczach, owianych oklaskami ludu, posłuchajmy, co pisze na innem miejscu: „Jestem zmęczony na śmierć, a mój potężny organizm zachwiany w samym szpiku. Jestem tak wzburzony, że nigdy w nocy zasnąć nie mogę. Do piątej rano tarzam się na łóżku, potem wstaję z bólem głowy i głęboko wycieńczony. Jestem spracowany, zmęczony, zniszczony w najokropniejszy sposób a waryackie wysilenie: żeby „*Juliana*,“ obok tylu innych zajęć, wykończyć w cztery miesiące, nareszcie głębokie i bolesne rozczarowanie, ukryte zmartwienie, pożerające mnie na widok obojętności i apatii stanu roboczego, wszystko to razem nawet dla mnie było za wiele. Zwodzę się sam i na śmierć się zagryzę, nie mogąc gniewu mego wyrzucić na zewnątrz; muszę go w sobie dławić a zaręczać, że rzeczy idą jak najlepiej. A jednak mimo to nie opuszczę chorągwi, dopóki płomyczek nadziei miga na politycznym widnokręgu. A bardziej jeszcze mnie trapi i męczy przekonanie, że w istocie wszystko stałoby jak najświetniej, gdyby jeno robotnicy byli zrobili, co do nich należało.“

Również wielkie rozczarowanie przebija w innym liście *Lassalla*, w którym wymawia się od zakładania gazety dla robotników: „Niepowinniśmy przed sobą zataić, że wszyscy pomyliliśmy się grubo na duchownem życiu stanu roboczego. Powszechnie stowarzyszenie niemieckich robotników liczy dopiero 3000 członków... oto najlepsza odpowiedź. Któż przypuszczał podobną obojętność i prostracyę. To się dopiero zmieni, gdy przyjdą polityczne wypadki poruszające masami. Takie wypadki rzeczywiście po jakimś czasie nastąpią, chodzi więc o to, aby do nich jakoś dociągnąć!“ —

Gdy wypadki te nastąpiły pod Sadową i Königgrätz i sprowadziły utworzenie północno-niemieckiej rzeszy, *Lassalla* już na ziemi nie było. W tymże r. 1864, kiedy tak już był znudzony swoim niewdzięcznym berłem, na wypoczynek pojechał do Szwajcaryi i tam gdy nikt tego niespodziewał się, *zginął w pojedynku* z ręki młodego bojara rumuńskiego *Rakowicza*. Przyczyną pojedynku była baronówna *Doenninges*, córka bawarskiego ambasadora przy konfederacji szwajcarskiej, która, mimo zaręczyn swoich z bojarem potajemnie ludziła dawniejszego kochanka swego, że otrzyma jej rękę. —

Śmierć *Lassalla* nastąpiła w kilka dni po pojedynku 31 sierpnia 1864 r. wśród okropnych boleści i była dla robotników prawdziwym gromem z jasnego nieba. Długo nie mogli pogodzić się z myślą, że już więcej nie usłyszą swego ubóstwianego trybuna. Urosło nawet podanie, przyjęte przez nich skwapliwie, że dla nich *zginął*, ofiara reakcyjnego spisku. To też rok rocznie obchodzą uroczyste pamiątkę jego śmierci, wierszem i prozą wielbiąc swego „*Zbawiciela*.“ W niego dotąd wierzą, po nim spodziewają się oswobodzenia swego.

Zanim do jego systemu i uczniów przejdziemy, przypatrzmy się jemu raz jeszcze, potem żegnajmy go spojrzeniem pełnym współczucia. Trudno zaiste nie żałować, że umysł tak potężny, charakter tak nieugięty, marnie się styrały w służbie kłamliwych ideałów. Bo to, co jemu prawdą się zdawało, dla chrześcijanina zupełnym jest fałszem. Ale o tem później. W tej chwili wyrażamy współczucie nasze, tem większe, im znakomitszy jego przedmiot. Trudno bo zaprzeczyć, że *Lassalle* był człowiekiem wyjątkowym. Ani plemię, z którego wyszedł, ani obóz, którym dowodził, wielu takich ludzi nie mają. Widziano nieraz potomków *Izraela* walczących za jaką sprawę, zapalających się do jakiej nauki lub sztuki. Nigdy jednak, nawet w chwilach największego niby poświęcenia nie zapominali o sobie, o stanowisku swoim, o majątku. Po latach młodzieńczego zapału wracali znowu do kultu mamony. *Lassalle* przeciwnie ideałom swoim pozostał wierny do końca, bo widocznie z krwi żydowskiej same dodatnie wyniósł przymioty: łatwość do interesów, zmysł praktyczny i coś owego fanatyzmu, którego sekret znają tylko ludzie wschodni. A potem jakie uczucie osobistej godności, jaka odwaga, posuwana często do zuchwalstwa,

jakie zamiłowanie w rycerskich zabawach, szczególnie w strzelaniu. Tego zazwyczaj potomki *Izraela* nie mają. A bardziej jeszcze zadziwia jego patriotyzm szczeroniemiecki. Inni żydzi socjaliści, nie wyjąwszy słynnego *Marxa*, prowadzą tylko kosmopolityczną robotę, *Lassalle* urządził swój socjalizm na podstawie *narodowej*, na silnej organizacyi rodzinnego kraju. Czy on wyniósł patriotyzm ten z klasyków, niemieckich, których od dzieciństwa czytywał, czy rozum praktyczny wskazywał mu narodowość, jako niezbędną i jedynie trwałą fundament wszelkiej socyalnej roboty, tyle pewna, że nie tylko jego rycerskość lecz i patriotyzm tak są szczerze, tak przyrodzone, że już dla dwóch tych przymiotów zasłużył on na wyróżnienie z tłumu żydowskich literatów i na osobne, zaszczytne miejsce wśród przewodców socjalizmu.

II. STOWARZYSZENIA ROBOTNICZE W NIEMCZECH.

Zdawało się, że przedwczesna śmierć *Lassalla* zada cios śmiertelny niedawno zaczętemu dziełu, że założone przezeń a jeszcze nie wypróbowane *stowarzyszenie powszechne niemieckich robotników*, nie mające w sobie żadnego punktu oparcia ani skutecznych środków obrony, wewnątrz nurtowane intrygami, zewnątrz otoczone nieprzyjaciołmi, nie przeżyje swego założyciela. Sama już organizacya stowarzyszenia, bezwzględnie zjednoczona w ręku prezydenta, przy zupełnym braku samodzielnych władz administracyjnych, wiązała jego losy ściśle i nawet niezbędnie z osobistością przewodniczącego. Bo jeżeli nawet w ustalonych monarchiach absolutnych śmierć panującego dotkliwie uczuć się daje w państwowym ustroju, cóż to być musi w nieporządnej robotczej Rzeczypospolitej, nie mającej ani długich podań, ani funduszów, ani prawa sukcesyi, ani wyrobionej administracyi. Zaiste, wielkiego potrzeba gieniuszu, aby w takich warunkach podołać rządzeniu, wielkiego serca, aby jednostki niczem po za osobą prezydenta niezwiązane utrzymać choćby w luźnym spojeniu; wielkiego wreszcie poświęcenia, aby bez żadnych prawie środków, bez pewnych nadziei, skazać się z góry i dobrowolnie na nieprzej-

rzane zatargi z nieprzebraną potęgą państw nowożytnych, a co boleśniejsze jeszcze, na niewdzięczność a może i prześladowanie u swoich.

Mimo tak smutnego położenia rzeczy, mimo piętrzących się niebezpieczeństw, wielu ubiegało się o spadek *Lassallowy*, a choć zmarłemu nie dorównywali nawet zdaleka ani gieniuszem, ani poświęceniem, sięgali śmiało po osierocone berło; każdy bardziej słuchał podszeptów własnej ambicyi, aniżeli wymagań sprawy, której się narzucał na obrońcę. Przed innymi przyjaciółka zmarłego, pani *Hatzfeldt*, mimo lat sześćdziesięciu chciała na starość zostać królową pszczoł roboczych. Nie żałowała więc pieniędzy i żeby tem pewniej przeprowadzić swoje zamiary, założyła, do czego *Lassalle* nie miał nigdy ochoty, w Berlinie gazetę „*Socialdemokrat*“ 1 stycznia r. 1865. Krok ten obiecywał jej odrazu jednowładztwo nad opinią publiczną, która zwykle taka jest, jaką redaktor wyrabia; jednakże niebawem stał się on dla niej samej przyczyną upadku, a dla społecznego ruchu bardzo niebezpiecznym szkopułem. Powierzyła niebaczna redaktorstwo gazety panu *Schweitzer*, zdolnemu ale szerokiego sumienia literatowi, który swojej tylko korzyści szukając wkrótce zmienił się w niebezpiecznego protektora rywala, a tem szkodliwszego, że nie wzdrygnął się wyciągnąć rękę po jurgielt *Bismarcka*. Zasilany pruskiemi pieniędzmi, w miesiąc po założeniu „*Socialdemokrat*“ przybrał czarno-białe kolory, dowodząc zdumionym czytelnikom, że tylko Prusy połączyć mogą niemieckie plemiona i że tylko polityka „*krwi i żelaza*“, niegdyś wstawiona przez wielkiego *Frytza* a teraz z równem powodzeniem na nowo podjęta przez niemieckiego kanclerza, stworzyć może pożądaną demokrację ludów, w której i dla robotników z pewnością ciepły kątek się znajdzie.

Artykuły tej lub podobnej osnowy zrobiły wielkie wrażenie na czytelnikach; jedni oburzali się na redaktora, inni go bronili, ztąd wielkie zamieszanie w obozie, w końcu rozdarcie. Ambitne intrygi pani *Hatzfeldt*, z ręki której rządzili bardzo niedołęzni, szybko zmieniający się prezesowie, zwiększały wzajemne niedowierzanie i z dniem każdym bardziej rozsadały młodą budowę. Ta anarchia i za nią idąca słabość nie były po myśli *Schweitzera*, bo im słabsze było jego stronnictwo, tem mniej on znaczył w oczach rządu pruskiego. Toteż z wrodzoną

sobie energią i bezwzględnością wkrótce tyle dokazał, że partya *hatzfeldtowska* od *Lassallistów* zupełnie się odłączyła. Ta *linia żeńska*, jak ją dowcipnie przewano, istniała jeszcze odrębnie parę lat, potem zniknęła bez śladu. *Schweitzer* pozbywszy się rywalki uczynił krok dalszy; w r. 1867 został prezydentem. Zrazu działanie jego zapowiadało nową świetną przyszłość stowarzyszenia, bo wielką rozwinął czynność w agitacjach, zwłaszcza wyborczych, pomyślnym uwieńczonych skutkiem, zdobywszy w pierwszym parlamencie północno-niemieckim sześć krzeseł dla swego stronnictwa, surowem zaś poskromieniem wszelkiej niesubordynacji umiał nadać ruchowi potrzebną jedność i ścisłość. Jednakże

„nie wszystko złoto, co się świeci z góry
ani ten śmiały, co się zwierchnie sroży“.

Błyszczące pozory wkrótce zniknęły i w miejsce oddanego sprawie prezydenta ujrzano w p. *Schweitzerze* poprostu ajenta *Bismarckowego*. Stłumiwszy opozycję, utworzył sobie w Berlinie karną, bitną gwardyę, której kije pod okiem policji rozpędzały niechętne mu ludowe zebrania a władza nieograniczona prezydenta wszystkim nadużyciom jego dawała sankcję, wszystkie usiłowania podwładnych o zaprowadzenie słusznego zarządu czyniła daremnemi.

Bismarck podówczas w nowozdobitych prowincjach, zwłaszcza w Hanowerskiem, spotkawszy się z opozycją nadspodziewanie silną, użył *Schweitzera*, aby przeraziwszy klasy możne czerwonym widmem społecznego wywrotu, rzucił je w objęcia Prus. Sposób ten i dawniej jeszcze przez Napoleona III używany, wybornie się udał, choć tak był niezgrabny, że nikogo nie był powinien oszukać, bo gdy w całym obrębie dawnej monarchii pruskiej głęboki spokój panował, tylko w nowonabytych krajach robotnicy nawet z pewną ostentacją burzyli się a policya na wszystko patrzyła przez szpary. Co więcej — gdy pod wrzesień 1868 policya saska rozwiązała u siebie *Lassallistów* i nawet *Schweitzera* wypędziła z Lipska, policya pruska wbrew swoim zwyczajom przyjęła go a może i zaprosiła nawet wraz z całym sztabem do Berlina. Mówiono, że *Bismarck* chciał mieć przewodzców socjalizmu pod okiem, aby w razie potrzeby użyć ich przeciw niepewnemu

jeszcze mieszczaństwu, a potem tanim kosztem drugą jeszcze korzyść odnosił, bo przekupiwszy dowódców tak rozdzielił żołnierzy, by się nigdy przeciw rządowi uszykować nie mogli. I tak się stało, że powszechne stowarzyszenie niemieckich robotników wedle słów liberalnej *Neue freie Presse* (29 sierp. 1872) spadło do poziomu sekty policyjnej, której bombastyczne frazesy obliczone były na postrach klas zamożnych.

Tym sposobem ruch roboczy wprowadzony zręcznie w miątkie a wązkie koryta rządowej protekcji byłby niechybnie zginął w piaskach osobistej korzyści, gdyby nie wypadek, którego następstwa dopiero w przyszłości całkowicie się odsłonią, chociaż i dzisiaj już wyraźnie uczuć się dają. W niespełna miesiąc po śmierci *Lassalla* zawiązał się w Londynie głośny *International* (28 września 1864), mało znany, choć wiele o nim piszą, mało tłumiony, choć wszędzie go się boją. Onto wywrócił *Schweitzera* i socjalizm niemiecki wyzwolił z rąk rządu.

Zaraz po pierwszym zjeździe internationalu w *Genewie* r. 1866 zaczęła się w południowych Niemczech na jego korzyść żywa agitacja, która niebawem przeniosła się do samych *Lassalistów*. Wszyscy nieprzyjaciele despotycznych rządów *Schweitzera* i silnej centralizacji, wszyscy dla osobistych lub też plemiennych powodów nienawidzący pruskiej hegemonii, zgromadzali się pod nowym sztandarem. I byłoby zaraz przyszło do zupełnego rozbratu z upartym *Schweitzerem*, nieskłonny do ustępstw, gdyby zbyt czerwona reputacja internationalu nie odstręczała Niemców, mających od urodzenia pewną dozę konserwatyzmu. Program brukselski (1868) wypowiedziany w tych słowach: „nie chcemy rządu, bo rząd nas uciska, nie chcemy wojska, bo wojsko nas morduje, nie chcemy religii, bo religia nas ogłupia“, podobał się, to prawda, niemieckim robotnikom, ale jednak zasady bezwzględnego komunizmu i spólność kobiet, szerzone pokątnie przez zbyt może gorących, lecz konsekwentnych internationalu wyznawców, nie przypadły Niemcom do gustu. Żądali pewnych rękojmi i zdaje się, że je otrzymali na zjeździe bazylejskim w r. 1869. Bo chociaż tam pod naciskiem *Bakunina* uchwalono w zasadzie zniesienie prywatnych majątków *ziemskich* 54 głosami przeciw 4, a te 4 głosy były francuskie, jednak mimo oporu rosyjskiego demagoga, przez wzgląd na Niemców oświadczone się współcześnie znaczną większością za zachowaniem

prawa dziedzicznego. Ztąd widno, że dopóki chodzi o podział gruntów, których nie ma, niemiecki robotnik chętnie nań się pisze, ale nie wolno naruszać tego, co własną pracą zdobył, nie wolno odejmować mu prawa rozrządzenia chudobą swoją wedle woli. „Cheiwy na wszelką, zwłaszcza obcą ziemię“ Niemiec zbyt lubi swoją domową zagrodę i swoją rodzinną „*Gemüthlichkeit*“, by jej się miał wyrzekać choćby dla najwyższych metafizycznych celów. Toteż gdy i cudze zabierać i swoje przytem zatrzymać dozwolono, dopiero wtedy otwarły się na tem zebraniu bazylejskiem szerokie wrota dla internationalu. Komunizm niemiecki, jak widzimy, lubi grać na pewno, w ofiary się nie bawi.

Tymczasem rosła niezgoda w obozie *Lassallistów*: mniejsza część popierała centralizm, uosobiony w *Schweitzerze*, większość oświadczyła się za *Liebknecstem* i *Beblem*, znanymi posłami w niemieckim parlamencie, którzy po kilku gorących przeprawach nareszcie w Eisenach w jesieni r. 1869 utworzyli „*społeczno-demokratyczną partję*“, do której przystąpiło 263 delegowanych w imieniu mniej więcej 150,000 wyborców. Ta nowa partya, różniąca się od *Lassallistów* cokolwiek demokratyczniejszą ustawą, jest rzeczywiście odnogą internationalu, choć dla względów politycznych żadnych urzędowych stosunków z nim nie utrzymuje; zasady są tesame, pragnienia i cel także tesame. Większość członków należy prywatnie do internationalu, a dla uspokojenia tych, którzy tego skuteczniej nie potrafili, oświadczył p. *Marx*, że i oni dla wspólności zasad za członków internationalu uważać się mogą. Tak więc jedynie obawa przed policją wstrzymuje tymczasem zlanie się dwóch wielkich stowarzyszeń roboczych.

Owa społeczno-demokratyczna partya odznacza się wielką nienawiścią do Prus i nadzwyczajną ruchliwością. Nie minął ani rok nawet od założenia, a już zadarła z wszechwładnym kanclerzem związku niemieckiego, w czem przenieśli się pamięci *Lassalla*, który wedle możliwości żadnego rządu wprost nie zaczepił a temsamem stowarzyszeniu swemu zapewnił pewną pobłażliwość u wszystkich. Inaczej postąpili sobie pp. *Liebknecht* i *Bebel*, których program, ogłoszony w czerwcu 1870 r., dowodził potrzeby zburzenia wszystkich państw i założenia nowego, w którym nie będzie już ani sług, ani panów, lecz zupeł-

nie równość społeczna. Do najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół socjalizmu zaliczają oni Prusy, które schlebując liberalnemu mieszczaństwu, podobnie jak *Napoleon*, pod blichтром demokratycznym, nie nad uszczęśliwieniem ludu pracują, lecz nad utrwaleniem cezaryzmu.

Wojna francuska wkrótce potem kazała zapomnieć o programie i wystawiła patryotyzm „partyi“ na ciężką próbę. W wielu członkach zawrzała wprawdzie krew niemiecka, ale nienawiść do Prus czyniła im nieznośnymi zwycięstwa „czarnego orła“, a nie mniejsza odraza do *Napoleona*, *zdrajcy sprawy demokratycznej*, jak go nazywali, studziła ich sympatyje do ludu francuskiego. Dopiero klęska pod Sedanem i rząd „czwartego septembra“ przechyliły „partyę“ na stronę Francji, gdzie spodziewała się rychłego urzeczywistnienia społecznych swoich ideałów. Żywo agitowano przeciw zaborowi Alzacyi, głośno domagano się końca wojny a nawet z jeńcami francuskimi wchodzono w porozumienie, aby wywołać w Niemczech zbrojne powstanie. Rząd pruski we własnym domu i na tyłach armii zagrożony, z surową energią w samych początkach te usiłowania stłumił, wywożąc cały „wydział rządzący“ do Prus Wschodnich. Tam im wytoczono proces o zbrodnię stanu. Jednakże to samowolne wystąpienie rządu, acz zapobiegło powstaniu, nie powstrzymało dalszego rozwoju „partyi“; już w następnej wiosnie roku 1871 brała ona udział w wyborach do parlamentu, głosując karnie i z obmyślonym widocznie planem. Oddała wtedy mniej więcej *stopięćdziesiąt tysięcy* głosów, co daje przybliżoną miarę jej siły. Odtąd rośnie bezustannie, a im liczniejsza, tem śmielsza i tem bardziej nienawidząca społecznego porządku. Dwa razy mianowicie ta jej nienawiść objawiła się wybitnie: raz na zjeździe drezdeńskim (12 sierp. 1871), gdzie pod niebiosą wyniesiono upadłą komunę paryżką, a nikt z obecnych nie odezwał się z naganą; drugi raz na zjeździe mogunckim (8 wrześ. 1872), gdzie zapadła następująca uchwała: „*Ponieważ stowarzyszeni przyjąwszy program naszej partyi wszelkiej już religii się zaparli, zalecamy im, aby także osobiście z kościelnej społeczności wystąpili*“. Zaiste nie można wymowniej oświadczyć, że tegoczesny socjalizm nietylko zrywa z Kościołem, lecz w walce przeciw niemu upatruje niezbędny warunek swego istnienia. I rzecz prosta: *Kto nie zemną, ten przeciw Mnie*,

mówi Zbawiciel. W walce, która dzisiaj toczy się z Kościołem, kto nie stanie po jego stronie, ten w środku się nie utrzyma, lecz musi koniecznie wystąpić naprzeciw. Dlatego i socjalizm wzbrania stronnikom swoim chrześcijańskich ceremonij, dlatego niemowlęta pozbawia chrztu ś. a małżeństwo, gdzie może, zastępuje konkubinatem. Widzimy to nietylko w Stanach Zjednoczonych, gdzie w części przynajmniej na uniewinnienie przytoczyć można nowość stosunków, położenie wyjątkowe i brak wszelkiej tradycyi, ale widzimy w stolicach chrześcijańskiej Europy, w Londynie a bardziej jeszcze w Hamburgu i Berlinie, gdzie rokrocznie tysiące dzieci na świat przychodzi i wzrasta, nieuświęconych znakiem Chrystusa, ludzie umierają jak zwierzęta, bez myśli o Bogu, bez pomocy religijnej, jak gdyby wychowali się wśród pogan, w Chinach lub Japonii.

Niemiecki international, choć z najruchliwszej części robotników złożony i we wszystkich ważniejszych agitacjach przoduje, nie obejmuje jednak całego ruchu roboczego. *Lassalliści*, do których nam teraz wracać wypada, po wspomnianej schizmie nietylko nie upadli, lecz owszem samodzielnie rozwinęli się w imponujące stronnictwo. Poznawszy się nareszcie na farbowanym lisie, przyjęli skwapliwie „dobrowolną“ dymisyę *Schweitzera* i ze swego stowarzyszenia na zawsze go wykluczyli. Następca jego, p. *Hasenclever*, człowiek rozumny i wykształcony, dawniej garbarz, potem redaktor gazety ludowej we Westfalii, nareszcie poseł w parlamencie niemieckim, w rozstrojoną i przez policję wyzyskiwaną organizację wlał nowe życie i zadziwiającą zgodę. Organ jego „*neuer Socialdemokrat*“ zakończył r. 1873 świetną liczbą 13.000 abonentów, w co nie wchodzi znaczna liczba egzemplarzy rozsyłanych zadarmo. Trudno jednak oznaczyć liczebną siłę tego stronnictwa, bo wszystkie ludowe, a zwłaszcza robotnicze organizacje podlegają nieustającym fluktuacyom. W lecie 1872 r. było członków płaących 21,154, a dzisiaj bez wątpienia jest ich daleko więcej; jednakże bardzo wielu jest robotników, którzy choć dla ekonomicznych lub innych względów do stowarzyszenia nie należą, każdej chwili gotowi są do wspólnego z niem działania, a temsamem zapewniają mu w razie potrzeby liczne posiłki. Sądząc podług rezultatów wyborczych, takich dobrowolnych sprzymierzeńców na każdego rzeczywistego członka przypada około dwudziestu, co razem z powyższą liczbą

dałoby jakie cztery kroć sto tysięcy, hufiec wcale potężny. Stanowi on już dzisiaj w północnych Niemczech, zwłaszcza w Berlinie, Hamburgu i niektórych miastach prowincjonalnych rzeczywistą siłę, z którą przeciwne partie polityczne na dobre liczyć się muszą. Ostatnie wybory do pruskiego sejmku, przy niekorzystnym dla socjalistów trzyklasowym systemie, wypadły w Berlinie dla nich bardzo pomyślnie, a p. minister *Falk*, pogromca bezbronnych jezuitów, z ogromną mniejszością przepadł. Lepiej jeszcze udały się wybory do niemieckiego parlamentu w styczniu r. b., do których wszystkie frakcje socjalizmu połączyły się i wspólnych postawiły kandydatów. Przeprowadziły z nich podobno dwunastu czy więcej nawet, bo w chwili, gdy to piszę, nie wszystkie jeszcze wybory są znane; w wielu zaś okręgach, choć nie zwyciężyły, doszły jednak do znacznej mniejszości. W Frankfurcie nad Menem nawet liberalnego żyda *Laskera* pobił socjalista *Sonnemann*. Sama Saksonia dostarczyła mu aż pięciu kolegów. W Holsztyńskim oddali socjaliści około 25000 głosów, w Hamburgu 18000, w Altonie 10000, w Elberfeld, Berlinie i Chemnitz po 10000, w Brunszwiku i Koethen po 5000, w Szczecinie i Wrocławiu po 4000 a w jakich 30 miastach liczba głosów chwieje się między 500 a 1500. Szczegóły te statystyczne, które wcale nie są kompletne, dają wymowny obraz nowego społeczno-politycznego ruchu.

Socjalizm zresztą niemiecki byłby daleko niebezpieczniejszy, gdyby oba główne jego stronnictwa zlały się w jedną całość, a nie rozdawały sił swoich bezużyteczną wojną domową; w ostatnich wprawdzie czasach przywrócono pokój a nawet dzienniki obudwóch obozów mówią o sobie wzajem z pochwały godnym umiarkowaniem — daleko jednak do serdecznej zgody, do wieczystego przymierza. Ale zdaje się, że prędzej czy później ono nastąpi, bo nie trudno o zgodę tam, gdzie panuje wspólność interesów i wspólność zasad. O pierwszych nie ma co mówić, są one zbyt widoczne; o drugich śmiało dzisiaj twierdzić można, że nie różnią się wcale. Bo gdy na zjeździe bazylejskim r. 1869 international uchwalił zniesienie majątków ziemskich, *Lassall* nad nim się litowali, że tak późno uznał tę potrzebę: „dla nas, mówi ich organ, wyznających pełny i bezwzględny socjalizm, potrzeba ta tak jasną jest i zrozumiałą, że nad nią za-trzymać się nie warto“. Wspomniałem już, że te same uchwały

bazylejskie bez zastrzeżenia przez „partye“ przyjęte zostały, nie ma więc między nią a *Lassallistami* żadnej w głównych zasadach różnicy, jest tylko w osobach i pruskiej zarozumiałości. „Partya“ bowiem przeważnie z antipruskich żywiołów się składa i pruskiej hegemonii lękając się, szuka punktu oparcia za granicą Niemiec. *Lassalliści* przeciwnie, mający zastępy swoje głównie w Berlinie i północnych Niemczech, choć nie cierpią pruskiej monarchii, cenią jednak nadzwyczaj pruską potęgę i łatwość do aneksyi i wypróbowaną rutynę rządową. Doskonale wiedzą, że tak wyborna machina oddać im może nieobliczone usługi i dlatego z uczuciem wyższości, którem dzisiaj każdy Prusak przejęty jest, spoglądają na international, a do południowców mają nawet pewną urazę, że zamiast w Berlinie szukają w Londynie swej głowy.

Te w gruncie mało znaczące powody, choć zwiększane przez osobiste ambicjki lub antypatyjki przewodzców, hamujące niekiedy agitację roboczą, nie przeszkadzają ciąglemu, pędkiem szerzeniu się socjalizmu ani nie usuwają niebezpieczeństwa, którem zagraża niemieckiej spóeczności. Zwłaszcza w prowincjach protestanckich, gdzie żywa wiara dawno już wygasła w sercach ludu a płaskie kazania również niewierzących pastorów, zazwyczaj nie wznoszące się nad etykę Cycerona, żadnych dodatnich zasad młodzieży dać nie mogą, system socjalny z przerażającą szybkością nietylko w miastach, lecz i po wsiach zyskuje zwolenników. Rzecz można, że dzisiaj w Niemczech ani miasteczka nie masz, a może nawet wioski, gdzieby nie zjawił się czasem apostoł nowych idei, ubrany w grubą bluzę, z kijem w rękę, bez poloru, bez klasycznego wykształcenia, ale znający dobrze ekonomię polityczną, świetne sofizmy *Lassalla* i *Marxa* umiejący na pamięć, a jędrnym prawdziwie ludowym językiem, z ogniem i przekonaniem, zapowiadający upadek mieszczaństwa i nastanie raju roboczego na ziemi. Słuchają go ciekawie, potem z głębokim przejęciem, a konkluzya jego mowy zostaje długo w umysłach, przykutych do dziennej pracy a temsamem nie wystawionych ani na wielkie roztargnienia, ani na zacierającą się wzajemnie rozmaitość wrażeń. Nędzną strawę codzienną skrapiając potem czoła swego, marzą o nęcących obrazach zapowiedzianej przyszłości, a gdy zasłyszane słowa zacierają się w pamięci, w pomoc im przychodzą pisane.

Zamiłowanie do czytania, wyniesione z przymusowych szkół ludowych i niska cena pisemek otwierają im drogę do najbiedniejszej strzechy a przewodzcy, rozporządzając znacznymi funduszami i wprawniemi piórami, umieją z zadziwienia godną pracowitością bądź zasady socyalnego katechizmu, bądź ważniejsze społeczne zdarzenia zrozumiałym a namiętnym wykładem przelować w masy. Wspomniałem już o wielkim dzienniku *Lassallistów* w Berlinie. „Partya“ ma ich kilka, a wszystkie w Saksonii wychodzą, prawdziwem ognisku literackiem niemieckiego internationalu. Najważniejszy z nich „*Volksstaat*“ w Lipsku, mimo nieustającego więzienia współpracowników a licznych konfiskat, pod umiejętną redakcją żyda *Kepnera* już w r. 1872 doszedł do 6,000 abonentów; trzy pomniejsze organa miały ich w tymże roku około 8,000. Sympatyzują z niemi tu i owdzie gazety małego mieszczaństwa i drobnych rzemieślników a było takich dzienników socyalistom przychylnych pod koniec 1872 r. już około 20, mających 35,000 stałych abonentów.

Niepospolitym dla nich sprzymierzeńcem są także rzemieślnicze korporacye, które w miejsce dawnych, tak nierozważnie przez rządy zniesionych cechów, skupiają w sobie czeladników i drobnych majstrów jednego rzemiosła. W części założone przez *Lassallistów* lub też przez „partye“, zostają niejako pod ich moralną opieką a chociaż starannie od polityki się nсуwają, zajęte jedynie umysłowem i materyalnem dźwiganiem członków swoich, kierując jednak wspólnem zawieszaniem robót, zwiększają społeczne niezadowolenie, wzbudzają nieufność pracowników do chlebobawców a temsamem pomagają socyalistom. Inne znowu korporacye i związki samodzielnie powstały i żadnych nie utrzymują związków ani z „partya“ ani z *Lassallistami*, w zasadach jednak nie bardzo od nich się różnią i w chwili społecznego wyrotu niewątpliwie staną po ich stronie. Takich stronników socyalizmu jest dzisiaj w Niemczech najwięcej, o ile sądzić można z szerzenia się jego pism, a stale płacących członków chyba za szczupłe kadry uważać trzeba, mogące w razie potrzeby rozszerzyć się w nieprzyjazne zastępy.

Taki mniej więcej jest obecny stan socyalizmu w Niemczech. Mówiliśmy o nim szczegółowo, bo jeograficznem położeniem, bogactwem przemysłowem i przewagą polityczną kraj ten wywiera na losy nasze wpływ bezpośredni, głęboki. Lecz z in-

nego jeszcze powodu uważałem za konieczne zwrócić na te stosunki uwagę a nim jest przekonanie, że przyszłość socjalizmu ostatecznie rozstrzygnie się w Niemczech; wrodzona temu plemienu wytrwałość niczem nie zmożona, systematyczność dochodząca do śmieszności, konsekwentność żelazna, która i do zbrodni doprowadzi, zaciętość posunięta do okrucieństwa, słusznie lękać się każą, że w wielkiej części tego kraju zwłaszcza północnej, jak niegdyś protestantyzm naprzód wylągl się w teryi, potem z przerażającą energią wprowadzony został w życie, tak nie zadługo tożsamo się stanie z socjalizmem, prawowitym a koniecznym jego płodem. Ludy romańskie nie przyjęły protestantyzmu; zwyciężywszy mężnie jego pokusy, pozostały przy Kościele a przez to zachowały nietkniętą wiarę w Boga żywego, pierwiastek życiodajny społecznego rozwoju. Ubezpieczyło to ich od fatalnego upadku Niemców, ubóstwiających siebie samych. Przeszły wprawdzie i zapewne przejdą jeszcze przez twarde próby, przez krwawe wstrząśnienia, ale mając Boga w sercu, zawsze ukorzą się przed Nim w końcu, uszanują porządek przez Niego założony. Były u nich i jeszcze będą społeczne jadu wybuchy, ale podobnież jak wulkany odosobnione, które zasypawszy przyległe sobie grunta, większej części kraju osiągnąć nie mogą, tak i wybuchy owe ograniczą się do kilku miejscowości a gdy się uspokoją, dawny znowu porządek niebawem się rozsiądzie na wyrzuconym popiele i na ostygłej lawie. Inaczej będzie w Niemczech. Przez trzy wieki lud ten karmiony dumą, smutnym wynikiem oderwania od Boga, zaszedł już tak daleko w ubóstwianiu siebie, że nie nie uszanuje, nie nie uzna, jeno co od niego pochodzi. Kto tam zaszedł, ten dojrzał dla socjalizmu, bo socjalizm, niszcząc wszystkie istniejące formy społeczno-historyczne, znosząc przeszłość całą i wszystko, co z niej dostało się do nas, wmawia w jednostkę, że wolna od wszelkich zobowiązań dla przeszłości, zacząć powinna od siebie przyszłość nową, a ta już będzie taką, jaką sama urządzi, erą szczęścia i swobody a każda jednostka będzie twórczynią tej ery. I cóż dogadza bardziej dumie ludzkiej, jak od siebie zaczynać i stwarzać, jak gdyby jeszcze nie nie było? Eritis sicut dii . . . Ta pycha obrała sobie dzisiaj protestanckie Niemcy na siedzibę i tam teraz pierwsze swe gody z nauką socjalizmu obchodzi. Zapewne wkrótce doczekają się potomstwa.

III. INTERNATIONAL.

Skreślony powyżej obraz socjalizmu byłby niedokładny, gdybyśmy ograniczyli go do samych Niemiec, bo naprzód żywiły protestanckie sięgają daleko po za granice swej ojczyzny: od wschodu szeroką siecią przykryły Austryę i wielką część Słowiańszczyzny, na południu Szwajcaryę prawie w ich ręku, na północy łąsadowiły się na dobre w Danii, na zachodzie potężną ręką sięgają po przez Belgię do Anglii a w Stanach Zjednoczonych stanowią silnie zorganizowaną potęgę. Romańskie nareszcie ludy, zwłaszcza Francya, choć żywą przejęte antipatyą do Niemców, mają jednak u siebie odnogi internationalu, a dzikie tłumy w wielkich ogniskach fabrycznych, jeżeli nie wszystkie zamiary skrajnych socjalistycznych marzycieli popierają, to w każdym razie czynnie występują w wielkich międzynarodowych roboczych agitaacyach. Dlatego mówiąc o socjalizmie, nie można pominąć internationalu, a wspomnieć international to samo jest, co wymienić *Marxa*, jego założyciela. Jak o pierwszym, tak o drugim, dzięki liberalnym gazetom, istnieją wyobrażenia zupełnie fałszywe; na karb ich kładą zbrodnie najpotworniejsze i ludzie liberalni, mówiąc o nich, nie mogą znaleźć wyrazów dosyć obelżywych. Tylko chrześcijanin brzydząc się występkami, szanuje osoby; toteż katolicycy tylko pisarze jak o *Lassallu*, tak o *Marxie*, mówią bez nienawiści, bez pogardy; uznają ich zasługi, potępiają błędy.

Podobnie jak *Lassalle*, i *Marx* jest żydowskiego pochodzenia, jest heglistą i prawnikiem; głęboki i wszechstronnie wykształcony myśliciel, zawsze jest on gotów poświęcić interes swój osobisty przekonaniom swoim teoretycznym. Chlubnie ukończywszy studia uniwersyteckie, zaślubił baronównę Westfalen, siostrę ministra pruskiego w gabinecie *Manteuffla* a choć słusznie marzyć mógł o świetnej karierze rządowej wolał, obrać sobie niewdzięczne pole uszczęśliwienia robotników, tułać się po różnych krajach, aż nareszcie tropiony, ścigany, znękaný bezpiecznie osiadł w Londynie w r. 1850. Wtedy był już otwartym komunistą, pracującym nad zniesieniem kapitałów i oddaniem władzy politycznej w ręce mas roboczych. (Zob. „*manifest partji komunistycznej*“ wydany po niemiecku w Londynie r. 1847

przez *Marxa* i *Engelsa*). W r. 1859 ogłosił dzieło pod tytułem „*Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej*“ (Zur Kritik der politischen Oekonomie), w którym dowodzi, że kapitał jest wypadkiem historycznym, mogącym znowu zniknąć w dalszym rozwoju historii. Paradoks ten oraz drugi, że towarów wartością jedynie jest praca w nich zawarta, obszernie wyłożył w dziele znakomitem „*kapitał czyli krytyka ekonomii politycznej*“, którego tom pierwszy ukazał się w r. 1867, trzy jednak tomy następne, acz zapowiedziane, dotąd nie wyszły. Mówią, że rozmaite pomysły jego dawniejsze, zwłaszcza teoria powstania kapitału, zapłodniły umysł *Lassalla* lub raczej przez niego przebrane zostały w wygodną zdawkową monetę. Jest w tem coś prawdy, nie tyle jednak, żeby *Lassalla* poniżyć na korzyść tamtego. *Lassalle* nigdy nie tał, że niektóre systemu swego myśli zasadnicze zawdzięcza *Marxowi*, zdaje się jednak, że obaj pożyczili niemało uwag krytycznych od lekceważonego przez obu *Proudhona* lub nawet od dawniejszych tegoż kierunku pisarzy. Za to w pomysłach swoich dodatnich *Lassalle* jest zupełnie samodzielny, bo *Marx* dotąd takich nie ogłosił a *Lassallowych* wyparł się otwarcie. *Marx* znowu jest daleko mniej samodzielnym wobec *Hegla*, aniżeli *Lassalle*, co wyraźnie mówi na korzyść drugiego; bo szczęśliwe przebycie żelaznych pierścieni heglowskiej dyalektyki jest właśnie miarą myślenia samodzielnego i elastycznego. *Lassalle* przedostał się przez nie bez kalectwa, *Marx* biedny jakoby wywichnął wszystkie swe członki, tak, iż nie umie napisać ani jednej stronicy bez *biegunowości* lub *tosamości* lub *zewnątrznego usamodzielnienia wewnętrznej niesamodzielnosci*. Zamiast jak inni śmiertelnicy chodzić krokiem poważnym, bezustannie skacze po klawiszach kontradycyji, które zdają się jemu być *wodotryskiem wszelkiej dyalektyki*.

Trudno nie uznać nareszcie, że *Lassalla* agitacya i stowarzyszenie przezeń założone nie pozostały bez wpływu na zamiary *Marxa*. Organizacya *Lassallowa* liczyła już rok cały istnienia, gdy *Marx* pisał ustawy internationalu, a trzy lata, gdy ustawy te potwierdzone zostały na zjeździe genewskim. Czyż można przypuścić, że *Lassalla* inicjatywa i doświadczenia trzyletnie niemieckich robotników, w gruncie wyznających *tesame*, co *Marx*, zasady i zostających z nim w stosunkach przyjaznych,

nie przyczyniły się w niczem do utworzenia internationalu i nadania mu formy praktycznej?

Nieraz już próbowano razem połączyć robotników Europy ku politycznym agitacyom, jednakże próby te nie miały powodzenia, bo wychodziły od konspiratorów, pracujących nad urzeczywistnieniem marzeń swoich politycznych, a mało dbających o naprawę losu robotników. I tak w. r. 1848 różnych krajów emigranci chcieli za pomocą robotników przeprowadzić powszechną demokrację, w której Polska także miała znaleźć pomieszczenie swoje. Ale stłumienie ruchu rewolucyjnego w Węgrzech, Niemczech, Francyi i Włoszech, nareszcie jarzmo twarde cezaryzmu napoleońskiego przywróciły spokój na czas jakiś. Gdy jednak *Napoleon* przez wojnę włoską otworzył szluz szerokie temuż prądowi, niebawem okryta płaszczem aspiracyj narodowych wszczęła się agitacya tajemna, na pół socyalna, na pół polityczna, która korzystając z powstania polskiego, z wojny duńskiej, z wyprawy meksykańskiej, najbardziej zaś z wojny domowej w Stanach Zjednoczonych i sprawy murzynów, nietylko polityczny, lecz także socyalny porządek Europy szarpać poczęła. Po kilku zjazdach francuskich i angielskich robotników stanęło porozumienie i w wrześniu r. 1864 zwołano wielki mityng do Londynu, gdzie na żądanie *Marxa*, *Mazziniego*, *Tolaina* oraz innych emigrantów wybrano komisję do ułożenia projektu stowarzyszenia robotniczego wszech narodów. W komisyi zrazu wazyły się dwie przeciwne sobie szkoły: dawnych intrygantów politycznych, pragnących jedynie oswobodzenia narodów ciemionych lub co najwięcej wywrócenia niemilej sobie formy rządowej, a nowych przedstawicieli ludu, chcących wedle słów jednego z mowców na wspomnianym mityngu „na czele ogromnych, ciemnych a zgłodniałych tłumów do walki stanąć przeciw tłustym mandarynom“. Tamtych *Mazzini* reprezentował, tych prowadził *Marx*, nareszcie ciężki, ale gruntowny Niemiec odniósł zwycięstwo zupełne nad Włochem marzycielem a przez to nadał zawiązującemu się internationalowi kierunek odrębny, jemu właściwy. Celem jego nie jest oswobodzenie ludu jakiego lub wywrot dynastyi jakiej, lecz przewrót społeczny na korzyść ubogich, bez względu na narodowość i na podania historyczne. Cierpiano zrazu *Mazziniego*, *Bakunina*, kilku Węgrów i Polaków, ale gdy się okazali niepoprawnymi w politycznych zamysłach swoich

zwolna wykluczono jednego po drugim. Bo jedna tylko według internationalu zostaje dla robotników nadzieją wydzwignienia się z nędzy: konsekwentne uzyskanie przewagi w państwach pojedynczych, aby po opanowaniu zasobów publicznych mogli stanowić swemu zapewnić świetną egzystencję. „*A więc razem — proletaryusze wszystkich krajów, łączmy się razem!*“ Tak się kończy manifest *Marxa*, przyjęty przez komisję.

Ustawy także przez niego napisane potwierdził pierwszy zjazd genewski w roku 1866. Według nich podstawą związku i ziarnem, z którego drzewo potężne wyrasta, są tak zwane *sekye* t. j. miejscowe stowarzyszenia robotników jednego rzemiosła lub kunsztu, które wtedy tylko być mogą mieszane, gdy szczupła członków liczba nie dozwala je podzielić według zatrudnień fachowych. Sekyie dlatego na uwagę zasługują, że są cegiełkami przyszłej budowy społecznej, a naśladują lub raczej urzeczywistniają myśl ulubioną *Lassalla*, rozkładającego państwo społeczne przyszłe na niezliczone *assocyacje* robotników. Sekyia każda rządzi się samodzielnie według zasad internationalu, zastosowawszy je do szczególnych warunków politycznych lub ekonomicznych, w których zostaje. Sekyie jednego miasta łączą się w *federację miejscową* z radą na czele, która załatwia stosunek wzajemny jednej sekyci do drugiej, a sprawy przechodzące zakres i kompetencję sekyci, odsyła do władzy wyższej. Federacye znowu lokalne łączą się razem z federacją większą czy powiatową, czy prowincjonalną, a nareszcie z prowincjonalnych powstaje narodowa. Federacye narodowe poddane są *radzie głównej*, stojącej na czele nowej budowy społecznej. Budowa ta głównie odznacza się dwiema zaletami, które także tłumaczą jej rozwój szybki: z zupełną autonomię u dołu a wielką ścisłość u góry, bo rada generalna ma bardzo szeroką władzę wykonawczą a jest odpowiedzialną tylko powszechnemu zjazdowi delegatów, zbierającemu się dotąd corocznie, a na przyszłość co dwa lata. Autonomia zupełna sekyci, tak w powiatach jak prowincjach dozwala internationalowi zwiększać się w nieskończoność, bez ścisnienia narodowości, a ścisłość, z jaką rozkazy rady rządzącej przelatują aż do najniższych sekycy, daje organizmowi jednolitość zamiarów i poruszeń.

Powszechny zjazd delegatów, wybieranych przez sekycie, jest władzą najwyższą prawodawczą, swoją zaś władzę wykona-

wczą powierza radzie głównej, wybieralnej dotąd z wszystkich narodów, o ile to być mogło. Ma ona prezesa, podskarbiego i głównego sekretarza, a przez osobnych narodowych sekretarzy znosi się z federacyami narodowymi. Przebywa tam zawsze, gdzie kongres jej wskaże; do r. 1872 mieszkała w Londynie, potem do Nowego Jorku się przeniosła. Wydatki dość znaczne, zwłaszcza, gdy w czasie wielkich zawiesznień roboty trzeba wspierać robotników chleba pozbawionych, pokrywają się składką roczną 10 cent. od członka, ale oprócz tego wpływają znaczne ofiary od możnych protektorów, najwięcej francuskich i włoskich, schlebających sobie, że kiedyś potrafią pozyskać international dla swoich osobistych celów politycznych. Krótki przegląd zjazdów powszechnych, których dotąd sześć się odbyło, bardzo jest pouczający, bo z niego nabiera się dokładniejsze wyobrażenie o nowym świecie, który jakoby pod nogami naszymi urządzi się po swojemu, a w którym jak w kotle olbrzymim, ścierają się dziko najsprzeczniejsze zamiary, widoki, zasady, dopóki stopione nie wyleją się na powierzchnię wybuchem straszliwym. I trudno nie widzieć, że nowa ta formacja przybiera kształty coraz pewniejsze, oczyszcza się z dodatków obcych, oddziela się od żywiołów spokrewnionych, nareszcie przybiera postawę coraz groźniejszą wobec istniejącego porządku rzeczy. Bo jak inne fałsze, tak i ta organizacja, kierowana ręką umiejętną, zrazu odzywa się bardzo ostrożnie, potem stanowczo wypowiada wojnę wszystkim prawdom, na których opiera się społeczność chrześcijańska. I tak *na pierwszym zjeździe w Genewie* roku 1866 rozbiegano same kwestye praktyczne, zresztą będące niezmiernej wagi: ograniczenie pracy dziennej, zwłaszcza kobiet i dzieci, po fabrykach; położenie tamy wyzyskiwaniu robotników przez nieludzkich przedsiębiorców; obowiązek rodziców i chlebodawców dawania dzieciom wykształcenia gruntownego w zamian za pracę ręczną. W tym celu proponowano przymusowo szkoły robocze o trzech klasach: pierwszej dla kształcenia umysłowego, drugiej dla fizycznego, trzeciej dla fachowego, obejmującej zarówno teorię jak praktykę. Szkoła zatem każda rozpada się na filozofię, gimnastykę i technologię, dawane, rozumie się, w miarę zdolności i czasu skąpo wymierzonego. Rozprawy te były korzystne, roztropne i nie objawiły nienawiści zasadniczej do porządku istniejącego i do religii Chrystusowej.

Niestety już roku następnego (1867) w *Lozannie*, gdy na nowo pod obradę wzięto sprawę wychowania, która słusznie zajmuje wszystkie umysły, dbałe o postęp ludzkości (wszak nawet w krajach najoświecieńszych setki tysięcy dzieci robotników wra- stają w zupełnym zaniedbaniu religijnem i naukowem) delegaci oświadczywszy się *za szkołą bezwyznaniową* postanowili chrze- ścijaństwu odjąć wpływ wszelki cywilizacyjny na ludność robo- czą. Bo wykluczenie religii z wykładu szkolnego równa się ska- zaniu całej generacji młodej na spogańszczenie. Jeżeli familie majętne, wykształcone, gorliwe o moralną przyszłość dzie- tatek, powierzonych sobie od Boga, jużto widokiem cnót domowych, już- to naukami matczynymi, nareszcie lekcjami prywatnymi u ka- płańców lub osób dobrze znających religię, potrafią w części na- prawić spustoszenie, szerzone w duszach młodocianych przez za- rzęć bezwyznaniową, środki te zaradczę nie znajdują się pod strzechą robotnika, który ani sam nie widzi dzieci swoich przez cały dzień Boży, ani nie może tak trudnego obowiązku poruczyć żonie swojej, zazwyczaj jak on w domu nieobecnej. Gdzież więc dzieci biedne dowiedzą się o religii? gdzie nauczą się zasad mo- ralności, jeżeli nie w szkole? Na cóż przyda im się szkoła, jeże- li nie wytłumaczy im obowiązków najważniejszych? Któż nare- szcie, jeżeli nie szkoła, zapozna je z chrześcijańską społecznością, do której przez chrzest św. wcielone mają należeć sposobem żywym i czynnym przez życie całe? Trudno przeto zaprzeczyć, że international, zakładając szkoły swoje po za chrześcijaństwem, faktycznie wydziela z niego całą ludność roboczą, a choć nie wy- stępuje urzędownie z tym zamiarem swoim, jest on zbyt wido- cznym z tego wszystkiego, co robi.

Większe jeszcze usposobienie antychrześcijańskie odezwało się tamże w rozprawach o *sądach przysięgłych*. Winowajcę mają sądzić obywatele, wybierani przez głosowanie powszechne, a ci powinni dobrze go poznać i zbadać przyczynę główną i praw- dziwą jego przewinień, „*bo bardzo często, tak mówią delegaci, nie on, lecz sama społeczność zawiniła*“. „Brak bowiem wy- kształcenia, tak dalej ciągną, prowadzi do nędzy, nędza do zezwie- rzęcenia, zezwierzęcenie do zbrodni, zbrodnia na galery, a galery do hańby, gorszej od samej śmierci“. Teorya ta, sprowadzająca występ-pek każdy do błędu w myśleniu, nie jest nową; zarówno przez pan- teistów wyznawaną, jak przez materyalistów i wszystkich, którzy

odmawiają człowiekowi wolnej woli, prowadzi do zupełnej bezkarności, do zatarcia różnicy pomiędzy złem a dobrem, do zniesienia odpowiedzialności, a temsamem do zburzenia gmachu kościelno-społecznego, zbawczego korabia, do którego lepsza część ludzkości schroniła się przed falami zepsucia pogańskiego.

Zjazd *brukselski* (r. 1868) wyszczególnił i bliżej określił to, co przyjęto już w zasadzie w Genewie i Lozannie. Zgodziwszy się na szkołę bezwyznaniową, koniecznie trzeba było religię czemś zastąpić, boć ani technologia, ani gimnastyka tego nie potrafią. Łatwo przychodzi wytrącenie katechizmu z rąk dziecinnych, ale trudno zagłuszyć potrzebę kultu w duszach. Żeby tej potrzebie wrodzonej uczynić zadość, postanowiono zaprowadzić *część wielkich mężów*, którzy zasłużyli się chlubnie o dobrobyt ludzkości, o republikanizm lub nareszcie o moralność. I otóż gotów nowy panteon ludzkości, a czytelnicy domyślą się z łatwością, jakie w nim figury staną na ołtarzach. Tym sposobem zburzywszy religię, rzucono się zaraz na drugą twierdzę ładu społecznego, na własność. Uczyniono pierwszy krok stanowczy do komunizmu państwowego, oddawszy na własność publiczną wszystkie lasy prywatne, kopalnie, torfiska — a po tak chwalebnych rezolucjach „obywatel“ *Dupont*, członek rady głównej, zakończył posiedzenia temi słowami: „Nie tyranów znieść chcemy, lecz tyranię; nie chcemy przeto rządu, bo rząd uciska nas podatkami; nie chcemy wojska, bo wojsko nas morduje; nie chcemy religii, bo religia nas oślepia“.

Po tym pierwszym zamachu komunistycznym, international nie mógł zatrzymać się na połowie drogi. Już następnego roku (1869) w *Bazylei* ogłosił resztę własności ziemskiej majątkiem publicznym. I w tem postąpił sobie bardzo konsekwentnie. Boć jeżeli państwu wolno zabierać prywatne lasy, kopalnie kruszców, pokłady węgla, torfu lub wapna, ponieważ mogą przydać się społeczności, dla czegoż, proszę, nie mogłoby uczynić taksamo z polami lub łąkami, które zaiste także potrzebne są rodzajowi ludzkiemu? Tylko czterech Francuzów, jak już powyżej wspominałem, idąc za zdrowym rozsądkiem narodu swego, oparło się projektowi, ale po namiętnej mowie *Bakunina*, szalonego Rosyjanina, jak go swoi zowią, i odezwanii się energicznem Niemców, utrzymujących z *Russem*, że prywatny majątek ziemski pochodzi

z gwałtu lub uzurpacyi, ogromna większość delegowanych uchwała następujące dwie rezolucyje:

- 1) Państwo może prawnie znieść prywatne majątki ziemskie i *powrócić* je społeczności.
- 2) Potrzeba koniecznie ogłosić ziemię całą majątkiem wspólnym.

Po takich uchwałach sądzono, że już na tym zjeździe international dojdzie do ostatniej a koniecznej zasad swoich konsekwencji, do zniesienia *wszelkiego majątku prywatnego wraz z prawem dziedziczości*. W istocie stronnictwo *Bakunina* domagało się tego głośnie i nietrudno uznać, że w tym razie logika była po stronie nihilistów, choć świeży jeszcze, drobny przykład samego przewodzczy *Bakunina* był powinien ich przekonać, że bardzo daleko od teorii do praktyki. Bo gdy dwa lata przedtem wyjeżdżał z Lozanny po skończonym kongresie, komunista jakiś egzaltowany chciał mu zabrać torbę podróżną i zacząć podział majątków od niego, na co naturalnie „patryarcha“ komunizmu nie zgodził się. Takto przychodzi łatwo dzielić się własnością obcą, ale bardzo trudno poświęcić swoją, choćby też najmniejszą. Pokazało się to wyraźnie na Niemczech, którzy tak energicznie oparli się, że projekt upadł w końcu, boć ludzie tego rodzaju, dobiwszy się majątku, nie mają żadnej ochoty go odstąpić. Ale opór Niemców był niewłaściwy i nie potrafi ostatecznie przeszkodzić komunizmowi, bo po zaborze prywatnych majątków ziemskich tenże los musi spotkać wszystkie budynki. W takim przypuszczeniu wszyscy będą komornikami państwa, a wtedy zabraknie podstawy słusznej dla majątku ruchomego, żywego czy nieżywego; on także przejdzie na własność państwa. A wtedy testamenta i dziedziczenie same przez się ustaną.

W dwóch latach następnych zjazd żaden nie przyszedł do skutku: w 1870 dla wojny, a w 1871 dla upadku komuny paryskiej i surowych środków rządu francuskiego. Zebrała się tylko konferencya prywatna pod koniec września tegoż roku w Londynie, na której emigranci paryscy znaleźli przyjęcie sympatyczne, a nawet wielu z nich wybrano do rady głównej; pochwalono także federacyę hiszpańską za *gorliwe pełnienie obowiązków* i postanowiono poruszyć ludność wiejską, która dzisiaj w niektórych krajach, mianowicie w południowej Hiszpanii i południowej Francyi zaczyna zarażać się komunizmem.

Przedostatni zjazd w *Hadze* (1872) był może ze wszystkich najważniejszy, bo na nim stowarzyszenie przeżyło walkę wewnętrzną, która o mało go nie rozsadziła, ale w końcu, co zasługuje na uwagę baczną, przydała mu siły. Jakkolwiek nie wszystko powtórzono na posiedzeniach publicznych, co uradzone na tajnych, pewno jednak, że federacye narodowe, zwłaszcza południowe, zostające pod wpływem bezpośrednim *Bakunina*, domagały się decentralizacji zupełnej. Partya znowu centralistyczna dowodziła, że rada główna powinna mieć większą jeszcze niżeli ma władzę, aby naprzeciw silnym mocarstwom Europy postawić organizację roboczą również silną. Starcie było gwałtowne i zakończyło się zwycięstwem centralistów, a *Bakunina*, który oddawna był radzie głównej solą w oku, wraz z towarzyszami wszystkimi wykluczono, za to, że bez wiedzy rady głównej prowadził jakieś tajne stowarzyszenie „*międzynarodowy alians społecznych demokratów*“ a za jego pomocą dezorganizował odnogi romańskie internationalu. Nie trzeba jednak przypuścić, że wykluczenie nastąpiło dla skrajnych wybrańców „*aliansu międzynarodowego*“, żądającego zniesienia religii, małżeństwa, prawa spadkowego, równouprawnienia płci i jednostek, wielu innych rzeczy, bo international doszedłszy już do nienawiści Boga i społeczeństwa, może i te opinie i gorsze jeszcze śmiało tolerować. Prawdziwej wykluczenia przyczyny szukać należy w utopii *Bakunistów* zupełnego bezrządu, z kąd się chętnie *anarchistami* nazywają. Gdyby byli nimi jedynie wobec mocarstw, international nie miałby się o co gniewać, ale chcą nimi także być u siebie. Jasna przeto rzecz, że rada główna, dbająca o utrzymanie porządku i utrwalenie władzy swojej, musiała ich nareszcie wykluczyć. Tenże sam los spotkał kilka sekcji krnąbrnych lub przeniewierzających się zasadom stowarzyszenia przez bratanie się z mieszczaństwem. Odkryto nawet sekcyę n. p. marsylską, o której rada główna nie zgoła nie wiedziała; doszło także do wiadomości powszechnej istnienie ciekawej sekcyi amerykańskiej w Nowym Jorku, z którą rada główna, wstydząc się tak przedwczesnego kwiatu na grzędach swoich, czempredzej zerwała, ale niewątpliwie kwiatów takich będzie coraz więcej. Wspomniana sekcyja, założona przez dwie emancypantki i wbrew ustawom przyjmująca mieszczan, wypuściła już mnóstwo odrośli po Stanach Zjednoczonych, których zada-

niem politycznym jest zaprowadzenie rządu wspólnego i języka wspólnego dla wszystkich narodów, a zadaniem towarzyskiem kręcenie stolików i praktyka wolnej miłości. Delegaci przyjęli tę wiadomość z wielką wesołością, jak gdyby to były rzeczy najmiewinniejsze. W końcu jednak nakazano sekcji tej, używającej wielkiej popularności w Stanach Zjednoczonych, zawiesić wszelkie funkcyje urzędowe, a pełnomocnikom jej odmówiono miejsca w kongresie, bardziej przez wzgląd na ciągłe nieposłuszeństwo Amerykanów, aniżeli z oburzenia przeciw tak cuchnącej zgniliznie moralnej.

Nowej radzie głównej naznaczono Nowy Jork na miejsce pobytu, przyczem ta okoliczność jest godną uwagi, że przy wyborach do rady pominięto zupełnie pierwszych założycieli i głównych dotąd kierowników internationalu: *Marxa, Engelsa, Eccariusza*, i to podobno na ich własne żądanie. Sądzę, że ci mężowie, którym nie można zaprzeczyć nauki głębokiej i doświadczenia wieloletniego, wydają się zbyt konserwatywnymi pokoleniu młodszemu, egzaltowanemu przez powstanie paryżkie i wicherzenia krwawe demagogów hiszpańskich. Prócz tego mojem zdaniem w usunięciu tych poważnych rzeczników socyalizmu przebija nienawiść do Prus, których international coraz bardziej się obawia, choć niesłusznie może. Do tego stopnia Prusacy widać stracili reputacyę, że dosyć jest należeć do nich pochodzeniem, aby nawet wśród socyalistów obudzać nieufność. To pono skłoniło trzech wspomnianych Prusaków do ustąpienia, i mądrze zrobili, że przestawszy drażnić kolegów swoich francuskich i angielskich nieszczęśliwą narodowością swoją, usunęli przez to niejedną powód do niezgody domowej.

Codopiero wzmocnioną władzę centralną ograniczył znowu przeszloroczny zjazd w *Genewie* (8 września) na korzyść federalistów. Odtąd nie będzie ona już obieraną przez kongres z wszystkich narodów, lecz przez jedną zawsze federacyę na to wyznaczoną. Tym sposobem rada główna wprawdzie nabierze większej jednolitości, ale będzie słabszą wobec innych federacyj, które mimo kosmopolitycznych frazesów pełne narodowych antypatij i zazdrości. Za tem pójdzie zaniedbanie interesów wspólnych a przewaga coraz większa federacyj narodowych, które mniej już dbając o wspólny los Europy, a więcej o przewrót krajów własnych, staną się dla nich daleko niebezpieczniejszemi.

Dawniej rada, już ze składu swego usposobiona kosmopolitycznie, zimniej i rozładniej, aniżeli federacye, patrzyła na sprawy pojedynczych narodów, hamowała zapędy zbyt nieostrożne, zapobiegała wybuchom niewczesnym; teraz przeciwnie, mając władzę bardzo uszczuploną, nie potrafi być skutecznym hamulcem, a niecierpliwość miejscowych komitetów sprowadzi wybuchy częstsze i gwałtowniejsze. W minionym roku widzieliśmy liczne tego przykłady w Hiszpanii, gdzie international, chętniej słuchający *Bakunina*, aniżeli rady głównej, dopuścił się przerażających i do żadnego celu nie prowadzących zbrodni. W *Alcoy* n. p. republikanów liberalnych, ale posądzanych o niechęć do socjalizmu, spalono żywcem, pomazawszy ich wprzódy naftą, jak ongi *Neron* zapalał chrześcijan smołą oblanych; a miasta *Sevilla*, *Walencya*, *Kartagena*, z kolei opanowane przez international, zaszły się ruinami, bez żadnej korzyści dla sprawy roboczej. Wypadków podobnych słusznie można obawiać się więcej na przyszłość, jeżeli na nowym zjeździe nie uda się radzie głównej odzyskać przewagi stanowczej nad federacyami.

Na tym ogólnym zarysie rozwoju socjalistycznego, poprzestać muszę, bo do śledzenia go w krajach pojedynczych nie ma w tej chwili potrzebnych materiałów, ani też praca taka nie nauczyłaby nas nic nowego. O siłach i funduszach, którymi international rozrządza, nie można powziąć wyobrażenia dokładnego, bo jedni liczbę członków podają na *pięć*, a nawet *siedm milionów*, inni przeciwnie na kilka tysięcy. Gdzie tak sprzeczne są podania, nie pewnego nie da się powiedzieć. Tak samo rzecz się ma z funduszami: raz się mówi o sumach bajecznych, drugi raz o biedzie zupełnej. A jeżeli sam international posiada statystykę do tego stopnia chwiejną, mimo rocznych kongresów, posiedzeń publicznych i czytywanych sprawozdań rady głównej, cóż powiedzieć o rozlicznych stowarzyszeniach od niego całkowicie niezależnych, które na tychsamy sposób prowadzą wojnę z istniejącym porządkiem społecznym. O nich jedna tylko policya tajna może być informowaną, bo nie z nich nie wychodzi na widownię dzienników. Jednakże i nie bardzo to nam potrzebne. Dostyc wiedzieć, a któż tego nie wie, że wszędzie, nawet u nas, nawet w stronach, gdzieby nikt się nie spodziewał, rozchodzi się nowy ruch społeczny a żadne środki

policyjne jemu nie przeszkodzą. Mogą osłabić go, ale nie uduszą, bo na to trzeba wyrwać same korzenie złego, a tego politycy, najmniej zaś liberalna, nie dokaże. Trzeba więc chrześcijanom samym pomyśleć o środkach zaradczych, skoro nie mogą się ich doczekać od rządów. W tym celu wypadnie poznać zle w całej rozciągłości swojej, jego niebezpieczeństwo i prawdziwe przyczyny. Mówmy naprzód o niebezpieczeństwie.

IV. TEORIA SOCYALIZMU.

Socjalizm uczy wywracać porządek społeczny. Nie wypiera się tego i już dowiódł licznymi próbami, że posiada tę sztukę w stopniu wysokim. Czy umie także budować, później zobaczymy, teraz nam przedewszystkiem chodzi o jego sztukę niszczenia, w której i siła jego i niebezpieczeństwo nasze: siła, bo zawsze wywracać łatwiej, aniżeli stawiać; niebezpieczeństwo, bo w zamierzonym wywrocie niechybnie zginą wszystkie zasoby, bez których ludzkość nie może spełnić zadania swego ani osiągnąć celu przez Opatrzność wytkniętego. Wszakże jest jeszcze inne źródło siły tak socjalizmu, jak wszystkich potęg burzących: niem jest nieszczęśliwa ułomność, „jednostronność“ ludzkich praw, instytucji, wszystkiego, co ludzkie; ta, gdy się zbyt wyteży i zaostrzy, najtrwalsze rozrywa stosunki. Tak bywało zawsze a przyczyny szukać trzeba głęboko — w ludzkim egoizmie. Gdy na powierzchni ziemi zjawyły się po raz pierwszy różnice społeczne, bez których pomyśleć nie można ludzkiego towarzystwa, gdy stanęli naprzeciw sobie pan i niewolnik, zwycięzca i jeniec, bogacz i ubogi, wierzyciel i dłużnik, już wtedy socjalizm był gotowy i biorąc niby pokrzywdzonych w obronę, usiłował przywalić krzywdzicieli gruzami budowy społecznej. Nadużywanie i bezwzględność jednych, niedostatek i zazdrość drugich, rozniecały żar wojny domowej; proletaryat szukał, jakby ugasić nienawiść swoją a nasycić pożądanie, i nie chybiał celu, ile razy okazywa następczała się i należeli się dowódcy. Wojny *Helotów* i częste powstania niewolnictwa greckiego, bunt *Spartakusa* i agitacye *Gracchów* we krwi stłumione, w średnich wiekach rozruchy chłopskie i sekty komunistyczne Manichejczyków, wreszcie wstrząśnienia społeczne za czasów Lutera i tyle innych, aż do ostatnich

knowań podziemnych fenianizmu, są to potworne, szalone nawet usiłowania, żeby przywrócić ład społeczny, choć podobne do burzenia domu dla naprawy dachu. Krwawe, bolesne, ale bezrozumne protestacye nędzy przeciw również bezrozumnej a rozkoszującej pysze.

Wielka jednak różnica zachodzi między buntami starożytnymi a socjalizmem dni naszych. Wówczas walczoneo za klasę ludzi, której chciano zapewnić byt samodzielny, ale nikomu nie przychodziło do głowy przekuć całe narody w nowe formy. *Gracchowie* marzyli o wyposażeniu ubogich obywateli gruntami publicznymi, ale nie mieli ochoty najmniejszej rozciągnąć to dobrodziejstwo do niewolników swoich. *Platon* skreślił obraz idealnej komunistyczno-socjalnej rzeczypospolitej, której rysy nawet w części istniały już po niektórych miastach doryckich; ale i ten najszlachetniejszy gieniusz starożytności uważał barbarzyńców za rodzaj niższy i budował system swój społeczny na niewoli. Dziśniejszy socjalizm, zrodzony w czasach chrześcijańskich, choć pała nienawiścią do chrześcijaństwa, pożyczył od niego pojęcie godności równej wszystkich ludzi i uczynił podstawę systemu swego, a przez to zmuszony rozciągnąć go do wszystkich ludzi i do wszystkich narodów. Już nie chodzi o urządzenie jakiegoś miasteczka, jak niegdyś za *Platona* czasów, ani o obdarzenie proletaryatu gruntami, lecz o związanie ludzkości całej w nową budowę społeczną, w której wszystkie narody i jednostki wszystkie mają wydać wielką, strojną melodyę. Socjalizm nowożytny zatem postawił sobie zadanie to samo, nad którym chrześcijaństwo pracuje już dziewiętnaście wieków. Jest przeto konkurencya, a gdzie konkurencya, tam walka na zabój! Toteż nie dziw, że socjalizm, przywłaszczwszy sobie rolę, która dostała się chrześcijaństwu z nieba, ożywi głuchą, często bezwiedną, ale zawsze trafną nienawiść do Kościoła, nawet w najzacniejszych przedstawicielach swoich, bo jakiś instynkt nieomylny mu powiada, że Kościół tylko jest potęgą, która go strącić może w nicość.

Przy tak szerokich zamiarach socjalizm zwracając się porówno do wszystkich narodów, musiał naprzód uderzyć w to, co wszystkim jest wspólne, *w majątek*. Formą majątkową XIX wieku jest „*pieniądz płodny*“, bo nawet grunta ziemskie, z wyjątkiem majoratów coraz rzadszych, uwolnione od wszelkich służebności realnych a obciążone listami zastawnymi, weszły w mię-

dzynarodowy wir kapitałów i przechodzą z rąk do rąk z tą samą co one łatwością. Kapitał przeto jest głównym przedmiotem spornym pomiędzy socjalizmem a porządkiem rzeczy terażniejszym; jego powstanie zatem, wzrost, znaczenie, uprawnienie, nareszcie jego strefy ujemne i dodatnie, koniecznie powinny być wytłumaczone, jeżeli spór z socjalizmem ma się zakończyć w sposób skuteczny. Zobaczmy więc jego własną teorię kapitału.

Lassalle, najgieniałniejszy szermierz na tym placu, nazywa kapitał *samodzielnem narzędziem, które robotnikowi narzuca rolę narzędzia, zostało, rzecz można, jestestwem żywym i płodnem.* („Pan Bastiat-Schultze“ str. 203). Ażeby zrozumieć definicyę tę i odkryć fałsz w niej ukryty, potrzeba przejść historię kapitału, jak ją *Lassalle*, a w sposób podobny inni wszyscy socjaliści ułożyli.

W początkach rodzaju ludzkiego nie było kapitalistów. Człowiek dziki, z łukiem napiętym wychodzący na polowanie do lasu, oczywiście kapitalistą nie jest i na nim właśnie jasno pokazuje się, tak twierdzi autor, błędność definicyi, biorącej kapitał tylko za narzędzie do pracy lub za pracę nagromadzoną lub wreszcie jako wyrób, za który otrzymać można inne wyroby. Bo każda z tych definicyj przypada do łuku, a jednak jego właściciel nie jest kapitalistą, bo niech tylko wypuści go z ręki, a nie ma już z niego żadnej korzyści, innemi słowy: łuk nie jest hipoteką ze stałym odsetkiem, nie jest akcyą, przynoszącą coroczną dywidendę. I musiało wiele czasu upłynąć, wiele zmienić się stosunków, zanim utworzył się kapitał płodny, jaki panuje dzisiaj powszechnie. Starożytność bowiem, choć miała zaczątki kapitału, nie miała kapitalistów. Majetny obywatel rzymski lub ateński był więcej, niżeli kapitalistą: ten bowiem daje robotnikom tylko utrzymanie i materiał potrzebny do pracy, a robotnik oddaje mu w zamian pracę swoją; tamten zaś posiadał robotników samych na własność a robotnicy nie dlatego oddawali mu pracę swoją, że dostarczał im utrzymania, lecz że prawie należeli do niego. Byli więc w starożytności panowie i niewolnicy, ale nie było kapitalistów i robotników; były wielkie skarby, ale martwe, nie było kapitałów żywych, płodnych, wirujących. Na tem właśnie różnica zasadnicza polega między gospodarstwem starożytnem a terażniejszym. Właściciel starożytny za pomocą niewolników swoich produkował przedewszystkiem to, czego po-

trzebował dla siebie i domu swego; nadwyżkę produkcji zamieniał na inne potrzebne mu towary. Jeżeli zaś pokazał się zysk jaki z tego bilansu własnej i obcej produkcji, mógł obrócić go na pomnożenie inwentarza żywego i martwego, a przez to zwiększyć produkcję przyszłą; ponieważ jednak wszelkie produkowanie ma swoje granice przyrodzone, nie pozostawało w końcu nic innego, jak nadwyżkę z dochodów, do życia niepotrzebną, zamienić w uciechy zbytkowne, sprzęty bogate, niewolników wykwinnych, lub nareszcie złożyć do skarbcza w brzęczącej gotowiznie. Spoczywała tam bez procentów, bez korzyści, dopóki nowa potrzeba nie nadeszła. Kapitału, któryby nieustannie pomnażał się własnymi dochodami, nawet bez udziału właściciela, prawie wcale nie znano. Prawda, że już wtedy pewne spekulacje handlowe lub przemysłowe przypominają dzisiejsze przedsiębiorstwa finansowe; że powstawały towarzystwa kupieckie do dalekich wypraw handlowych, spółki bankierów rzymskich, biorące w dzierżawę podatki całych prowincyj; że nareszcie wypożyczano pieniądze na lichwę, z czego był dochód stały i znaczny, jednakże spekulacje te ani nie były tak rozwinęte jak nasze, ani nie wpływały stanowczo na ustrój stosunków społeczno-ekonomicznych, ani nareszcie nie dokonały tak zupełnego oderwania kapitału od właściciela, jakie dzisiaj skutecznio się w przedsiębiorstwach akcyjnych, a temsamem nie doprowadziły do zupełnego usamowolnienia kapitału.

Jak w starożytności, tak w wiekach średnich kapitały w dzisiejszem słowa znaczeniu powstać nie mogły. Dziedzic feudalny, żyjący wśród wasalów swoich w zamku obronnym, posiadał miasta liczne i włości rozległe, ale nie był kapitalistą, co już ztąd widać, że zazwyczaj nie posiadał gotówki. Dochody prawie wszystkie przybywały mu *in natura*. Chłopi znosili w dziesięcinę zboże, owoce, jarzyny, jaja, szynki, placki, miód, wosk, wiece; rzeźnicy roznosili mu listy, młynarze wozili po stawach i rzekach; z miasteczek rzemieślnicy podobnie w zawody znosili cząstkę swoich wyrobów a nawet adwokaci i lekarze nie byli wyjęci z pod tego prawa, i oni udzielali bezpłatnie rad swoich w uznanie poddaństwa swego. Kupecy składają trybut z wszelkich towarów, tak miejscowych, jak zagranicznych, a nawet były indywiduala, które prawem lenności musiały udawać pijanych lub śpiewać piosneczki dwuznaczne ku rozrywce pana! Słowem, nie

było jestestwa w dobrach pańskich, z którego pan nie pobierał daniny. Zaiste, dochody nie małe. Pan opływał we wszystko i żył wesoło i gwarnie na zamku swoim. Jest jednak różnica wielka między nim a bogaczem dzisiejszym: ten bowiem może każdy grosz zbyteczny zamienić w kapitał nowy rentujący się, tamten musiał najczęściej dochody swoje przejeść i nie mógł nie prawie z nich zamienić na gotówkę, a nawet gdy miał gotówkę, nie przynosiła mu żadnych procentów, bo szlachcie nie bawił się w lichwę, czego i godność osobista i surowe prawa kościelne zarówno mu zabraniały. Nie mógł przeto zamieniać w kapitał płodny i ruchomy ani piosneczek wesołych, śpiewanych przez lenników, ani rad adwokackich, ani tyle innych usług, corocznie odbieranych. Miał majątek znaczny, ale przywiązany do ziemi, obciążony licznymi służebnościami, które nie dozwalały ani sprzedać go korzystnie, ani urządzić wedle upodobania. Majątek podobny oczywiście nie znaczy dla kombinacyj handlowych, bo tylko z nadzwyczajną trudnością przemienia się w gotówkę.

Pomijam stosunki miejskie w owych czasów, które skazywały kupców lub rzemieślników mniej więcej na takąsamą zależność od towarów, materyału, czeladników, uczniów, nareszcie od współtowarzyszy tej samej giełdy lub tegoż cechu. Piekarze n. p. z Frankfurtu nad Menem i siedmiu innych miast zawarli w r. 1352 ugodę, mocą której nie było wolno przyjmować na piekarczyków innych chłopców, prócz synów piekarskich. Albo w mieście Vienne edykt Karola VI w r. 1391 kupcom wina zabronił sprzedawać wino tegoroczne drożej, jak za połowę ceny wina przeszłorocznego, a po św. Marcynie mogli go sprzedawać jedynie oberżystom. Gdzie takie istniały przeszkody, nie mogły zyski być wielkie, a gdy nawet mieszczanin miał sumkę uciulaną, nie mógł z niej mieć dochodów nowych i najczęściej albo ją obracał na uciechy swoje, albo na jakie pożytki publiczne lub religijne. Dopiero pod koniec wieków średnich miasta włoskie przychodzą do kapitałów znacznych, a za ich przykładem, zwłaszcza po odkryciu przyładku Dobrej Nadziei, inne także kraje. Wyprawy handlowe gotują się aż na koniec ziemi. *Fuggerowie* augsburscy na jednej z nich prócz włożonych 100,000 dukatów zarobili jeszcze 175,000. I tak kapitały zawsze formują się, które pożyczane królom, hipotekowane na państwach, przynoszą znaczne odsetki i rozwijają się coraz samodzielniej.

Gdy nareszcie rewolucya francuska podarła przywileje historyczne tak klas całych, jak jednostek i obaliła szranki, dzielące jedne od drugich, usunęła temsamem przeszkody uruchomienia majątków a kapitał, wypuszczony z granic narodowych na morze nieprzejrane stosunków międzynarodowych, stał się potęgą, przedtem zupełnie nieznaną. Jak niegdyś dobra ziemskie dawały przewagę w narodzie i udział prawny w rządach, tak dzisiaj kapitał daje znaczenie społeczne a giełda, sejm kupiecki rozkazuje światu. Za tem pójść musiało zupełne przeobrażenie producyi społecznej i odmiana stosunków towarzyskich. Naprzód producyja została przeobrażoną. W starożytności a bardziej jeszcze w wiekach średnich, z wyjątkiem nielicznych miast handlowych, zazwyczaj każdy produkował to, czego sam potrzebował a nadwyżki producyi odstępował innym; taka jest zasada gospodarstwa wiejskiego. Dzisiaj przeciwnie większość ludzi produkuje to, czego nie potrzebuje, aby za to mieć utrzymanie, producyja bowiem fabryczna, chwała a zarazem klątwa naszego stulecia, polega na tem właśnie, aby nikt nie wyrabiał towaru całego, lecz każdy cząsteczkę, która się jemu samemu na nie przydać nie może. Gdy jednak na targu sprzedają się wyroby całe, przeto robotnik cząstkowy skazany jest na konieczne pośrednictwo kapitalisty, wynagradzającego mu wyrób częściowy a stawającego pomiędzy nim a publicznością, potrzebującą towarów całych. Tenże kapitalista, lękający się konkurencyi, kupuje jak najtaniej, aby sprzedawać taniej od innych, a ztąd robotnik biedny zmuszony głodem, popadł jakoby w niewolę kapitalisty, zmuszony poprzestać na tem, co daje. W skutek tego dokonano się przeobrażenie stosunków towarzyskich, w czem mieści się mojem zdaniem główne źródło nędzy społecznej.

Wyobraźmy sobie dawnego szpilkarza—jakże mało on podobny do dzisiejszych wyrobników fabrycznych! Staroświecki taki rzemieślnik, gdy go cech uznał majstrem a miał fundusik potrzebny, jeżeli był pilny i zręczny, produkował dziennie może 300 szpilek. Wiedział mniej więcej, ile może sprzedać na rok, bo cła protekcyjne zabezpieczały miasto jego lub powiat od dowozu niespodzianego, a cenę naznaczał dowolnie, porozumiewszy się z kolegami tegoż kunsztu i cechu. Były to stosunki prawdziwie patryarchalne, w których ani kupującym nieźle było, bo duch korporacyjny czuwał nad uczciwością producentów, a maj-

strom było jeszcze lepiej, bo znając potrzeby społeczne, które są mniej więcej te same w każdym roku, mieli odbyć zapewniony i mogli z góry zastosować pracę swoją do niego. Opieka bowiem cechu zasłaniała ich od zawodników nieproszonych. A dzisiaj jakże odmienny obraz rozwija się przed nami! W miejsce dziesięciu majstrów, wyrabiających dziennie razem 3000 szpilek, fabryka powstała, zatrudniająca także dziesięciu pracowników, to prawda, ale żaden z nich nie umie zrobić szpilki całej, gdyż jeden wsadza tylko łepki, drugi zaostrza drut itd. Tym sposobem praca została nadzwyczajnie ułatwioną i przyspieszoną, tak, iż dziesięciu pracowników już nie 3000, jak za dawnych czasów, lecz 50,000 szpilek wyrabia. Na pierwsze spojrzenie płyną ztąd same korzyści: szpilki staniały i są lepsze, a więc publiczność zyskała. Ale jest druga także strona ujemna, czarna. Dziesięciu owych majstrów, nie mogąc wytrzymać konkurencyi fabrycznej, zamknęło warsztaty i popadło w nędzę, a pracę ich przejęła liczba ludzi również wielka, ale zależnych, gorzej płatnych i mimo wysiłen rozpaczliwych także skazanych na nędzę nieustającą. Tłumci samodzielnie sprzedawali wyroby swoje konsumentom, nie wystawieni na fluktuacye niebezpieczne w cenach; ci przeciwnie produkują tyle, ile chlebobawca, czyli, co na jedno wychodzi, ile głód nakazuje, nie mają żadnych stosunków z konsumentami a są zależni od przedsiębiorcy, który ich płaci jaknajgorzej, aby mógł sprzedawać ich wyroby taniej od innych współzawodników. A jeżeli taki już był stosunek na początku tego wieku, z którego to czasów przykład powyższy jest wzięty, dzisiaj po udoskonaleniu machin stan rzeczy jeszcze znacznie się pogorszył. Dzisiaj bowiem jedna dziewczynka dozoruje czterema maszynami, z których każda wyrabia 145,000 igieł w 11 godzinach; tym sposobem dziewczynka jedna obok machin wystarcza do wyrabiania 3 milionów na tydzień. Czyż ona ma jednak korzyść jaką z tej zwiększonej, zdumiewającej produkcji? Żalnej, bo pobiera zawsze tęsamą zapłatę lichą, chroniącą ją od śmierci głodowej; przeciwnie właściciele fabryki, których nogi nigdy w niej nie postaną, dzielą się w końcu roku dywidendą obfitą. A przypuściwszy, że z czasem produkcya tygodniowa dojdzie nawet do trzydziestu milionów, żadna ztąd podwyżka nie spadnie na biedną wyrobnicę, prócz pomnożenia roboty.

W ogóle akcyonaryusze są zjawiskiem nieznanem zupełnie w wiekach przeszłych; onito stworzyli siłę kapitałów zbiorowych. Istniały wprawdzie zawsze spółki ludzi majątnych, łączących się w przedsiębiorstwie intratnem na wspólne ryzyko, ale te dawniejsze assocyacye mają się do naszych spółek akcyjnych, jak warsztacik do fabryki, lub pług piastowski do pługu parowego. Na akcyonaryuszach słowo *Lassalla* się sprawdza, nazywającegogo kapitał istotą niezależną, płodną. Gdy dawniej i to nawet w przeszłości nie bardzo odległej, człowiek niższej kondycyi miał jakie 50 talarów, nie wiedział, co z nimi począć: chował je w garnku pod ziemią lub w pończosze za belką. Sumka taka przechodziła czasem nietknięta na wnuki jako kruszec martwy. Dzisiaj nawet mały mieszczanin wie dokładnie, że za kilkadziesiąt talarów może kupić akcyę i że ta akcyę na Nowy Rok i ś. Jan przyniesie mu pewne procenta. To już wszyscy dzisiaj wiedzą i dla tego miliony talarów, które dawniej rozdrobione na małe sumki nie przynosiły, połączyły się w kapitały olbrzymie i wydały owoce bajeczne. Oneto przekopały międzymorze Suez, o co niegdyś kusili się nadaremnie potężni królowie Egiptu; oneto przedziurawiły góry niebotyczne; oneto przykryły Europę i Amerykę północną siecią kolosalną kolei żelaznych. A wszystkie te przedsiębiorstwa opłacają się, bo kapitały w nie włożone przynoszą nieraz odsetki zadziwiające.

Pytają tu złośliwie socjaliści: zkądże płodność ta przychodzi? zkądże biorą się dywidendy? Boć kapitał to tylko kupa nieruchoma pieniędzy—któż więc ją ożywi? kto poruszy? kto zapłodni? Otóż ręce robotnika, tak wołają, dokazują wszystkich tych cudów, a każdy talar dywidendy jest potem zsiadłym z jego czoła. Ten nowy system finansowy, ciągną oni dalej, według którego żadna kropelka potu nie ginie, lecz monetą brzęczącą spada w kasy akcyonaryuszów, jest zdumiewający, to prawda, ale jakże odmienił stosunek robotnika do chlebobawcy. W starożytności byli panowie i niewolnicy — stosunek nieprzyjemny, przeciwny naturze ludzkiej, najczęściej upadający dla pana, okrutny dla niewolnika, ale był to zawsze stosunek człowieka do człowieka, gdzie obok wiele złości można było napotkać wiele miłości. Taksamo pana średniowiecznego stosunek do lenników, do chłopów, do mieszczan był uciążliwy, pełen zuchwałości i kapryśków, czasem doprawdy nieznośny, ale było tam także wiele

uczucia, wiele opieki patryarchalnej, wiele ofiarności obustronnej. Za to wiek XIX przedstawia inne widowisko przerażające. Robotnik po jednej stronie, akcyonaryusze po drugiej; pierwszy nie widzi drugich i są dla niego temsamem, co akcyje, co kawałek papieru. Mamy więc stosunek człowieka do papieru, do rzeczy martwej, która jak upiór wyciąga z niego wszystkie soki żywotne, aby jego kosztem żywą się stawszy rodziła płatne kupony. Zaiste, stokroć fortunniejszy był nietylko chłop średniowieczny, o którego ucisku powtarzano wiele bajek, ale nawet niewolnik starożytny, bo miał utrzymanie zabezpieczone a potem miał apellacyę do serca pańskiego — a dzisiejszy robotnik? Kapryśna konjunktura kupiecka może go pozbawić chleba, a w razie choroby lub innego nieszczęścia daremnie do akcyi wyciągnie ręce o pomoc. Taki według socyjalistów był rozwój stosunków ekonomicznych i powstanie kapitału; pozostaje teraz usłyszeć konkluzye, do których dochodzą na mocy tej argumentacyi historycznej:

- 1) *Kapitał, więc i majątek jest zjawiskiem historycznym, wywołanem przez zbieg rozmaitych stosunków społecznych, które gdy się skończą, on także ustanie;*
- 2) *kapitał będąc nagromadzoną a nie zapłaconą pracą robotników, właściwie do nich należy, a nie do kapitalisty; do nich przeto mówić powinien;*
- 3) *co gdy się stanie, robotnik odbierze wartość całą pracy swojej i zostawszy nareszcie sam przedsiębiorcą nikomu już nie będzie odstępował lepszej części zarobku swego.*

Na te trzy punkta odpowiadamy z kolei. A nasamprzód *jestże kapitał wypadkiem historycznym?* Bez wątpienia nim jest, bo jakkolwiek socyaliści opowiadają dzieje kapitału umyślnie nieco jaskrawo, nie znajdując n. p. żadnych kapitałów w starożytności, choć tam kilkakrotnie się zjawily, w głównych jednak rysach obraz przez nich nakreślony jest wiarogodny. Nie można zaprzeczyć, że narzędziem głównem producyi nowożytnej i dopiero jej właściwem jest kapitał i że nadaje wiekowi XIX cechę odrębną, szczególną, tak jak wieki średnie brały swój charakter od lenności, a starożytność od niewolników. Ale przyznawszy to wszystko, doprawdy nie rozumiem, jakiej korzyści socyaliści ztąd

się spodziewają, i dziwią się, że głowy tak bystre, jak *Lassalle* lub *Marx* nie spostrzegły się do razu, że wywody te historyczne są bez pożytku wszelakiego dla ich sprawy. Nie tego bowiem mają dowieść, że kapitał zjawił się w ciągu dziejów — temu nikt nie zaprzeczył — lecz że *majątek wszelki prywatny jest wyrobem dziejów*, a tego nie dowiedli. I grubo zaiste się mylą, mniemając, że wszystko, co prawda o kapitale, także prawdą być musi o majątku. Pierwszy bowiem ma się do drugiego, ak rodzaj szczegółowy do ogólnego, a ztąd wynika, że nie wszystkie przymioty pierwszego także przypadają drugiemu. Tęto pomyłkę podnieśliśmy już w pierwszej części rozprawy naszej, gdzie była mowa o *Lassallowem* dziele „*System praw nabytych*.“ Autor wprawdzie w nim wykazał, że rozmaite formy posiadania lub dziedziczenia są „*prawniczymi*“ a więc „*historycznymi*“ kategoriami, o czem wątpić nie można, skoro prawo pisane dopiero zjawia się w historii; ale ztąd nie wynika bynajmniej, że same prawo posiadania jest przywilejem historycznym, udzielonym człowiekowi przez państwo, bo raczej jest prawem przyrodzonym, dawniejszem od dziejów i od powstania państw. Państwo może, gdy okaże się tego potrzeba, zamienić majątki prywatne w majoraty lub przyznać je wszystkim synom z wykluczeniem córek lub wreszcie przypuścić wszystkie dzieci bez różnicy płci do działów równych, może także włożyć różne ciężary na posiadaczy lub dziedziców; jednakże sama istota własności lub dziedziczości nie bywa dotkniętą temi przepisami, bo ona leży za obrębem państwa, w rodzinie, a rodzina dawniejszą jest od państwa. Nie potrzebuje przeto ani rodzina, ani majątek rodzinny przywileju państwowego do istnienia swego. Socjaliści nie zrozumieli tego lub zrozumieć nie chcieli, a zatem poszło wielkie niezrozumienie konserwatywnej ekonomii politycznej. I tak *Lassalle* niesłusznie gniewa się, że ona broni kapitału, kiedy tylko broni majątku. Nie kapitał, lecz majątek uważa ona za logiczną, konieczną formę ludzkiego istnienia. Gdy więc *Lassalle* dowodzi ze swej strony, że formy ekonomiczne powstały w czasie i znowu po jakimś czasie znikną, mówi wyraźnie o czemś zupełnie innem, aniżeli ekonomiści; ci bowiem twierdzą, że prawo posiadania zostaje tosame, a jedynie kształty jego zewnętrzne zmieniają się w ciągu wieków. „*Płodność kapitału*, mówi *Lassalle*, nie jest prawem przyrodzonym, lecz stosunków dziejowych

wynikiem, które po nastaniu innych stosunków może i musi znowu zniknąć.“ („Pan Bastiat-Schultze“ str. 201). Zgoda, ale któż kiedy temu zaprzeczył? Kapitał nie może istnieć ani wydawać procentów bez licznych społeczno-historycznych warunków, bez kolei żelaznych, telegrafów, fabryk, giełd, bez zawikłanych przedsiębiorstw akcyjnych, a to wszystko może i być i nie być; jeżeli będzie, powstanie kapitał, jeżeli nie będzie, kapitał do skutku nie dojdzie. W takim więc znaczeniu można powiedzieć: płodność kapitału nie jest prawem przyrodzonym. Ale zupełnie rzecz inna, gdy chodzi o prawo do majątku i do jego owoców. To prawo nigdy zniesionem być nie może. Boć stosunek właściciela do własności swojej nie zmienia się przez to, że raz ma trzodę bydła a drugi raz dom lub obligacyę. Zmienia się sposób administracyi, ale prawo do niej i do owoców przez nią zbieranych któżby śmiał podać w wątpliwość? Czy właściciel nazywa się handlarzem bydła, czy gospodarzem wiejskiem, czy kapitalistą, zawsze jest *właścicielem* i żaden socjalista nie dowiedzie, że nim być przestał. Powiemy przeto o pierwszej konkluzji socjalizmu, że jest prawdziwa i błędna: *prawdziwa*, dopóki mowa o kapitalizmie nowożytnym, bo go dawniej nie było i kiedyś znowu nie będzie, innemi słowy jest *wyrobem dziejów*; ale *błędna* jest, gdy mowa o majątku, bo majątek i prawo do majątku są dawniejsze od dziejów, są *wyrobem rodziny* i póty trwać będą, dopóki rodzina.

Druga konkluzja historyozofii *Lassalowskiej* daleko jest gorsza i daleko fałszywsza, bo odmawia właścicielom dzisiejszym prawa do posiadanych kapitałów. Socjaliści bowiem, i tego proszą nie tracić z uwagi, nie chcą zniszczyć kapitału, znając jego wyższość nad dawniejszemi formami ekonomicznymi; chcą go zatrzymać na korzyść swojej nowej rzeczypospolitej, a tylko osoby posiadające zmienić się mają. Pałace i kufry dzisiejszych bogaczy mają przejść na robotników, skoro tych praca skryształowała się w kapitałach nowożytnych. Zachodzi jedynie pewna zdań różnica w sposobach, któremi ma się dokonać wywłaszczenie jednych a uwłaszczenie drugich; umiarkowańsi jak n. p. *Lassalle*, zalecają środki łagodne, a niecierpliwi wolą środki gwałtowne. W zasadzie zaś wszyscy na jedno się zgadzają, że kapitał nie należy do właścicieli terażniejszych. *Proudhon* niegdyś wypowiedział paradoks osławiony: *la propriété c'est le vol*.

Lassalliści dzisiaj i stronnicy *Marxa* głoszą inny paradoks, nieco odmienny we formie, ale bardzo podobny w treści: *własność stała się obczyzną* (*das Eigenthum ist Fremdthum geworden*), chcą przez to powiedzieć, że w obecnym stanie społecznym „każdy nazywa swoim, co nie jest owocem jego pracy“ („Pan Bastiat-Schultze“ str. 207)). Te słowa *Lassalla* bardzo niebezpieczne, bo dające pole do tłumaczeń najfałszywszych — niebezpieczne, bo poparte dyalektyką zgrabną — ujmujące nawet przewrotnością swoją (na masach małomysłących, paradoks im śmielszy, tem większe wrażenie sprawia) są hasłem socjalizmu nowożytnego i zamykają w sobie treść całą jego nauki i wszystkie nadzieje jego przyszłości.

Własność stała się obczyzną! Przebóg! czy to prawda? i jakimto sposobem? bo nie o rzeźmieszkach giełdowych *Lassalle* mówi, którzy wyludziwszy miliony, potem bankrutują *honorowo*; ci oczywiście nigdy nie mieli własności, jeno skradli własność obcą. Są to smutne postacie, ale wyjątki, z których nie można sądzić o powszechności. Dlaczegoż więc wszyscy właściciele, nawet najzacniejsi, mają utracić prawo do majątków swoich? Dla prostej przyczyny. Wszelkie mienie, nawet ziemskie, przybrało dzisiaj formę kapitału, a kapitał to nie więcej prócz pracy ludzkiej, którą zamieniono w pieniądze. Ta zaś praca nie pochodzi od kapitalisty, bo ten najczęściej nietylko nie robi, ale nawet nie robić nie może dla utworzenia lub powiększenia kapitału swego. Przypuśćmy, że ktoś posiada domeczek w lichej mieścinie i sprzedał go za 1000 talarów; po 20 latach mieścina stała się miastem wielkiem a domek sprzedaje się za 100,000 tal. dla korzystnego położenia swego. Socjalizm twierdzi, że nadwyżka 99,000 tal. jest równoważnikiem pracy jakiejś, dokonanej może przed wiekami, może na drugiej półkuli, ale zawsze to praca i nie prócz pracy. Niesłuszna więc, powiada, aby właściciel, który przez lat dwadzieścia nie wkładał żadnej pracy w domek, za sam akt sprzedaży dostał *obcej pracy* aż 99,000 talarów. Przypuśćmy dalej, że nowemu nabywcy C., jakto często teraz zdarza się w Berlinie, ktoś ofiaruje 20,000 tal. odstępnego, przewidując dla placu, na którym stoi domek, wielką przyszłość przemysłową. Pan C. zgadza się na to i w ciągu jednego dnia, nie wiedzieć za co, zarabia 20,000. To już krzywda oczywista. A gdy pan C. zechce za owe 20,000 tal.

kupić sobie akcje kolei żelaznej z dywidendą roczną 13^o/_o lub 25^o/_o, doszedł bez najmniejszej pracy, jedynie wskutek zbiegu szczęśliwych okoliczności do nowego kapitału, który bez wszelkiego trudu z jego strony, gdyż nawet kuponów nie potrzebuje sam odcinać, rokrocznie zwiększa się przez coraz nowe odsetki. Jednakże w ten nowy kapitał i w odsetki jego p. C. nie włożył ani pracy swojej żadnej, ani nawet myśli swojej, a jednak musi w nich być praca jakaś; będzie to więc praca obca a mniemana własność pana C. będzie w gruncie *własnością obcą*. Przeto p. C. jest przywłaścicielem, uzurpatorem. Tak mówią socjaliści.

Lassalle wpada w oburzenie niesłychane na widok takich przywłaszczycieli. „Gdyby kto zabrał słońce, tak mówi, i przywłaszczył sobie, wzięłby tylko rzecz, która według prawników rzymskich jest niczyją rzeczą, *res nullius*; słońce do nikogo nie należy, nikt go nie zrobił. Ale kapitalista zabiera na własność pracę obcą, siłę roboczą człowieka a jej płodność rosnącą obraca w majątek swój prywatny“. Jeżeli tak *Lassalle* mówi, łatwo da się odgadnąć, co mówią umysły niższe a dla niższości swojej skłonne do mniemań skrajnych. Jaskrawo malują krzywdę, która się wyrządza bezustannie robotnikom, gdy praca ich przypada akcyonaryuszom jako dywidenda lub kupcom jako zysk czysty.

Atoli filar tych peror wymownych, jakie dzisiaj słyszeć się dają zbyt często, jest bardzo kruchy a rozumowanie *Lassalla* jest pasmem nieustającym błędów. Bo nasamprzód nieprawda, że kapitał jest tylko pracą nagromadzoną robotników; jednak połowa jego, a bodaj czy nie większa, jest owocem stosunków społecznych, a chociaż i te stosunki są rodzajem pracy, nie jest to jednak praca dzienna robotników. *Lassalle* tłumacząc powstanie kapitału, zupełnie pominął ten czynnik społeczny, co tem bardziej zadziwia, że w przykładach przezeń przytoczonych odgrywa rolę główną, np. w podskoczeniu ceny gruntów w pobliżu budującej się kolei. Daremnie szukalibyśmy robotników, którzy stworzyli tę cenę wytężeniem muszkułów swoich lub umysłu swego. Jeżeli ta cena ma koniecznie być owocem pracy, będzie to praca bezwiedna, konieczna, za którą nikt nie domaga się zapłaty; ułatwione komunikacje a przez to ruch większy podróźnych, tańsze sprowadzenie robotników, maszyn, zapasów,

wygód wszelkiego rodzaju, wszystko to razem z niezliczonymi innymi życia społecznego wypadkami stanowi nową wartość dodatkową gruntów i kamienic, położonych nad koleją. Wartość ta nowa jest niewątpliwie kapitałem, powstał jednak bez niczyjej krzywdy, bez zabrania pracy obcej. Społeczność cała nań się złożyła, ale bezwiednie, prawie bez zamiaru. Dlatego prócz właściciela nikt nie może rościć prawa do tej nowej wartości. Bo co socjaliści mówią, że właściciel nie włożył tam nic swego, jest wierutnym fałszem. Właściciel żyjąc w społeczeństwie i pełniąc obowiązki społeczne, nań przypadające, temsamem pomnaża bogactwo społeczne o całą osobę swoją a przez to bezwiednie nadaje wartość wyższą wszystkim majątkom, tak prywatnym, jak publicznym. Inni to samo czynią, a ztąd i jego majątkowi dostaje się cena wyższa. Prawda, że ten, co nic nie ma, przy wspólnem wzrastaniu w cenę majątków prywatnych, wychodzi źle na pozór, bo zostaje niby tym, czym był, chudym pachołkiem. Ale to pozór tylko, bo w istocie rzecz ma się przeciwnie. Rozumie się, że jego prywatne mienie, skoro żadnego nie posiada, nie może nabrać ceny wyższej, ale cóż w tem dla niego za krzywda? Za to jego wartość osobista wzrasta niewątpliwie pod względem społecznym, ekonomicznym i politycznym, bo któż nie widzi, że robotnik znaczy więcej w mieście wielkiem, aniżeli na wsi, pod tym względem troistym. Pytać więc można socjalistów, *jakiem prawem* robotnik przez sam akt przeniesienia się do stolicy znaczy więcej od kolegi, zostawionego na wsi, i wyobraża zasób roboczy większy? Czyż w tem jaka zasługa jego? lub praca jego? Jest on w położeniu temsamem, co właściciel; społeczeństwo bogaci obu w przynależnej mierze, pierwszemu dając większą wartość osobistą, bo nic nie posiada prócz osoby swojej, a drugiemu pomnażając nietylko wartość osoby, lecz i to wszystko, co do niej należy tytułem własności.

Kapitał to praca nagromadzona! Po uwagach zrobionych wypada przypisać zdaniu temu sens podwójny: prawdziwy i fałszywy. *Prawdziwy*, jeżeli wyraz „praca“ równa się sumie wszystkich czynności i nawet funkcij żywotnych, nietylko jednostek, lecz całej powszechności; *fałszywy*, jeżeli oznacza pracę dzienną robotników. Ta praca w znaczeniu właściwem, i o nią tylko spór się toczy, nie jest kapitałem lecz jednym tylko z trzech jego składników, i to najgrubszym nawet, niejako ma-

teryą bezkształtną. Drugim czynnikiem wyższym daleko, jest cała suma życia społecznego; onto jak wspomniałem, nadaje pierwszemu wartość prawdziwą i znaczenie odpowiednie. Dziki człowiek może wykonać taką samą pracę muszkularną, co robotnik londyński, ale pierwszego praca ma bardzo niską wartość i chyba dla niego tylko, bo błąka się po lesie odwiecznym, a drugiego dobrze płacą, bo pracuje w Londynie. Do dwóch tych składników przybywa jeszcze trzeci, o którym zazwyczaj socjaliści wcale nie mówią lub wyznaczają mu miejsce bardzo podrzędne, choć bez niego nie może być kapitałów, czynnik osobisty *przedsiębiorcy*. Wyrobnik mimo siły muszkularnej i mimo pobytu w Londynie nie stworzy kapitału, jeśli go nie użyje przedsiębiorca i nie pośredniczy pomiędzy nim a powszechnością, potrzebującą jego pracy. Na to prawdziwie twórcze działanie przedsiębiorcy nie można zbyt często zwracać uwagi.

Socjaliści stronnikiem ugrupowaniem jednych prawd a pomijaniem innych wyrażają w czytelnikach swoich przekonanie, że kapitał nowożytny powstaje i mnoży się prawie bez udziału kapitalistów. Może to być czasem prawda w razach wyjątkowych, ale jest fałszem zupełnym, gdy się odnosi do wszystkich. A nawet owe wyjątki, owi rentierzy, o których socjaliści powiadają z goryczą, że nie nie robią przez cały dzień Boży, chyba, że odcinają kupony, ci właśnie dają kapitałom potrzebną jedność i trwałość, gdy są oszczędni i rządni. Gdy ich nie ma, nawet wielkie kapitały, rozbite na cząsteczki, muszą krążyć wirem szalonym póty, dopóki znowu nie skupią się naokoło osoby jakiej, mającej powołanie na rentiera. Wiem, że socjaliści śmieją się z oszczędności, mówiąc, że wcale nie jest czynnikiem ekonomicznym, bo choć czasem dopomóż jednostce do majątku, nie tworzy jednak nigdy nowego kapitału. *Lassalle* nawet dowodzi tego niby gruntownie w książce, którą napisał przeciw *Schulzemu*. Ale przykłady jego, np. że ktoś sprzedał akcje ze znacznym zyskiem i tak posiadał kapitał nowy, nic nie dowodzą, chyba tylko jednego, co wszyscy wiedzą, że nie tylko oszczędność, lecz inne jeszcze drogi, np. powszechny wzrost majątku społecznego, prowadzą do kapitału. Ale czyż drogi te wykluczają oszczędność? Przec! mógł wiedzieć *Lassalle*, że całe miliardy papierów publicznych, np. we Francji, pochodzą po większej części ze samych małych oszczędności. I niech się *Lassalle* tem

nie broni, że oszczędność nie mnoży majątku społecznego, tylko inaczej go rozdziela, że zatem liczba kapitałów zawsze jest to samo. Sofizmat to łatwy do pokonania, bo dopóki kapitał jest tylko rozproszoną a szybko z rąk do rąk przechodzącą sumą pieniędzy, nie jest kapitałem i nie wydaje kapitałów nowych. Dostyc jest przypatrzeć się którejkolwiek instytucji finansowej, np. kasom pożyczkowym u nas w Poznańskim, z których niektóre np. średzka, obracają kilkakroćstoma tysięcy talarów corocznie. Czy sumy te spadły z nieba? Bynajmniej. Istniały już przedtem w kieszeniach rzemieślników drobnych jako złotówki, spieszące do szynku, a z szynku do gorzelni, a z gorzelni na powrót do rzemieślników za suknie lub obuwia, a z rąk majstrów przechodziły do czeladników i tam wirowały w kółku kartowem. Ogólna suma złotówek była może tasama, ale nie było kapitału; któż więc stworzył ten kapitał? *oszczędność prywatna.*

Oszczędność jest przymiotem osobistym i tu wracamy do zdania wyż wypowiedzianego, że kapitału twórcą najprzedniejszym jest *osoba, jest duch ludzki*; śmiałą inicjatywą w przedsiębiorstwach, rozumnem ich prowadzeniem, wytrwałością niezrażoną, energią niezłomną, duch ludzki, wkładając w interes każdy niejako siebie samego, usuwa trudności, naprawia szkody, zyskuje sprzymierzeńców, zbiera korzyści najdrobniejsze, dopóki nie postawi na swoim. Tak więc kapitał jest *dziełem ducha ludzkiego* i bez niego nawet nie da się pomyśleć. Socjaliści wprawdzie, nie znając ducha ludzkiego, bo są albo materyalistami albo panteistami, jak przez zbiegowisko przypadkowe atomów tłumaczą powstanie świata i jego najwznioślejszych tworców, taksamo sposobem również mechanicznym tłumaczą powstanie i zwiększenie się kapitałów. Zdawałoby się według nich, że pot rzesisty robotników, spływając na ziemię, zamienia się w złote potoki, które z krzywdą pierwszych jedynie prawych właścicieli (bo któż nie jest właścicielem prawym potu swego) przepadają w paszczy kapitalizmu. Deklamacya taka może zrobić ogromne wrażenie na chwilę, ale pamiętajmy, że wrażenie wywołane za pomocą przesady lub nawet kłamstwa, nie wyda nigdy nic pięknego ani trwałego, prócz gangreny ducha, za którą idzie śmierć wolna, ale niechybna.

I cóż jest prawdziwego w obrazie powyższym? To, że robotnicy pracują i krwawo pracują, a *wszystko inne jest fał-*

szem. Każdy bowiem wie, nawet nie znając ekonomii, że praca cząstkowa jednostek nie tworzy kapitału, że nawet nie postawi kamionki lichej, jeżeli wśród nich nie będzie ducha przewodniego, który skupiwszy bezwiedne atomy robocze dokoła siebie, nada cel jednolity każdemu z osobna i wszystkim razem a nareszcie połączy owoce ich pracy w jedną całość i wystawi na targ narodów, gdzie towar zamienia się w kapitał. To tylko może jedna myśl ludzka i zaiste nie bez wielkiego mozołu. Nie chcieć uznać tego mozołu, nie chcieć go uszanować, jak czynią socjaliści, jest dopuścić się wielkiej niesprawiedliwości, jest nawet jakoby zbrodnią. Bo i cóżby powiedziano, gdyby zwycięstwo pod Austerlitz i następstwa jego, lub odsiecz Wiednia nie dowódcom wiekopomnym przyznawano, lecz żołnierzem prostym? Czyżby choć jeden z nich bez wodza był się ruszył z domu, połączył z kolegami w całość wojskową, zaszedł nareszcie do Austrii i nadał obrót nowy sprawom Europy ostrzem miecza swego? Otóż czem gieniusz wojskowy lub polityczny dla wojska lub państwa, tem umysł przemysłowy lub handlowy dla kapitału; jak bez pierwszego ani wojsko ani państwo powstać nie mogą, tak bez drugiego nie powstanie kapitał, nie przyjdzie do skutku żadne krajowe lub zagraniczne przedsiębiorstwo. Powiedzą może socjaliści, że robotnicy mogą się obejść bez kapitałów, przejmując ich działanie na siebie. Może być — ale wtedy nie chodzi wam o zniesienie kapitału, jeno o zastąpienie dawnych kapitalistów nowymi! A wtedy na co te wszystkie deklamacye przeciw kapitałowi? Wszak żądaniem, aby robotnik był zarazem kapitalistą, przyznajecie, że co innego jest robotnik, a co innego kapitalista, i że inną jest praca pierwszego i znowu inną praca drugiego. Połączyć obie w osobie jednej jest albo utopią, albo powrotem do niedokładnych form społecznych, średniowiecznych lub starożytnych, z którymi przecież socjalizm nie chce mieć nic wspólnego.

Socjaliści nie dają tak łatwo za przegrane. Wytoczą jeszcze swoją *teoryę wartości*, bez której zgoła istnieć nie mogą. Nie jestto teoria nowa i mniejsza o to, kto pierwszy ją wymyślił; tyle pewna, że podniesiona przez *Smitha* do godności nieomylnego pewnika, potem w szczegółach jeszcze niby uzasadniona przez *Ricarda*, ucznia jego konsekwentnego, stała się głównym, jeżeli nie jedynym filarem socjalizmu; ją to bezustan-

nie tak *Proudhon* jak *Lassalliści* przypominają ludowi w najrozmaitsze a zawsze drastyczne sposoby, aby nigdy jej nie stracił z pamięci. Zamyka się teoria ta w krótkim zdaniu: *praca tylko ma wartość* czyli: rzecz każda tyle warta, ile mieści w sobie pracy. *Marx* w książce swojej o kapitale powtarza to zdanie w najodmienniejszych zwrotach. Ale czy zdanie to prawdziwe? Każdy, kto dzieli mniemanie nasze o powstaniu kapitałów, nie może przyjąć tego zdania, boć kapitał jest pewną wartością, wszystko więc, co się tyczy pierwszego, odnosi się także do drugiego.

Ponieważ kwestya ta jest bardzo ważna i zawiera w sobie, jak w jajku, wszystkie żale socjalizmu do porządku istniejącego, zasługuje ona na rozbiór gruntowniejszy, tembardziej, że ekonomiści przez jednostronne widzenie rzeczy raczej zaciemnili tę sprawę, aniżeli wyjaśnili a przez to niechęć dopomogli socyalistom. Nic w tem dziwnego, skoro im wszystkim zbywa na podstawie chrześcijańskiej, bez której tajemnice życia ludzkiego są doprawdy księgą zamkniętą.

Co to jest wartość? Wyraz tak utarty, będący codziennie w ustach wszystkich, powinien mieć znaczenie stałe, przyjęte od wszystkich. Zapewne w praktyce tak być musi, skoro każdy, czy kupuje czy sprzedaje, mówi o wartości towaru i wie doskonale, co chce przez to powiedzieć. Za to w teorii, jak to zwykle zdarza się z pojęciami najprostszymi, panuje niepewność wielka i nikomu nie udało się dać definicyi zadawalniającej. Mówimy, że para bucików warta 10 zlr. Ale w czemże ich wartość i za co płacimy właściwie? Jedni odpowiadają na to, że obliczywszy, coby nas samych kosztowało zrobienie rzeczy, wartość każdego towaru mierzymy kosztami jego reprodukcji. Nie jestto ani bardzo głęboka, ani bardzo praktyczna definicya: *praktyczną* nie jest, bo fabrykacya wyrobów najczęściej jest nam zupełnie nieznaną, musielibyśmy przeto naznaczać im ceny bajeczne, bo nie potrafimy ich żadną miarą zrobić; *głęboką* także nie jest, bo cena rzeczy, która już istnieje, nie może zależeć od naszej subiektywnej reprodukcji, lecz od wartości obiektywnej, którą ma rzecz sama w sobie. Nie o wiele lepszą jest definicya inna, mierząca wartość towarów wielkością usługi nam oddanej, boć zadowolenie subiektywne, płynące z takiej usługi, nie może być miarą wartości podmiotowej. Zresztą usługę wyświadcza się przyjaciółom lub znajomym, ale nie kupującym, bo sprzedający chce

i musi zarobić, ztąd, jeżeli prawdziwą jest ta definicya, im więcej zarobił na nas, tem większą usługę wyświadczył.

Pozostaje nareszcie definicya socyalistów, pożyczona od *Smitha*, według której wartością towaru jest praca w nim złożona czyli ilość czasu roboczego, jak się *Ricardo* wyraża. Zwolennicy tej definicyi powiedzą o wartości wspomnianych bucików, że to praca wszystkich osób, które przyłożyły się do nich w czemkolwiek, a więc pastuch, garbarz, handlarz skór, tkacz, kowal i wielu innych a wreszcie czeladnik szewski. Przypuścimy, że majster, nie przyłożywszy nawet ręki do bucików sprzedaje je za 10 złr. i że z nich pójdzie 7 złr. na pokrycie wyłożonych kosztów i zapłatę czeladnika a trzy złr. zostaną zysku czystego. Nasuwają się zaraz dwa pytania: 1. co nadaje bucikom wartość 10 złr.? 2. z kąd pochodzi zysk czysty 3 złr.? Odpowiadają socyalisci, że kupujący zapłacił całą sumę pracy, włożonej w buciki przez różnych rękodzielników, a czysty zysk przez to powstaje, że majster skrzywdził czeladnika i podrzędniejszych współpracowników o część zapłaty im przynależnej. Niesłuszna, aby brał jaką część zysku, bo zapłata daje się za pracę, a w tym razie nie pracował wcale. Oto teoria wartości, jaką socyalizm sobie ułożył lub raczej pożyczyl od ekonomistów. Chcąc ją bardziej jeszcze uwydatnić, weźmiemy przykład nie z przemysłu fabrycznego lecz z rolnictwa, ponieważ rolnictwo pozostanie zawsze podstawą bogactwa społecznego a potem pisząc dla społeczności przeważnie rolniczej, musiałem uwzględnić stosunki społeczne kraju naszego. W tym celu przypatrzmy się rozchodom i dochodom gospodarskim z jednego morgu w Galicyi, licząc zawsze koszta największe a zysk najmniejszy:

A. Rozchody.

a) Morg galicyjski wart 150 złr., przeto roczny procent	
$4\frac{1}{2}\%$ z tego kapitału wynosi	6,75 złr.
b) 12 fur nawozu (tj. 4 fury słomy po 4 złr. = 16	
złr.; transport 12 fur nawozu = 3 złr.) razem	19 „
c) Trzykrotna orka po 2 złr.	6 „
d) Wysiew jednego korca pszenicy	8,20 „
e) Koszta żniwa od 18 kóp cz. 9 korców, które mórg	
wydać może	18 „
	<hr/>
	Do przeniesienia 57,95 „

Z przeniesienia 57,95 złr.

Wyszczególnienie: zżęcie 2 kóp mogących wydać 1 korzec = 0,68, zwózka 2 kóp = 0,24, młócka i czyszczenie od korca 0,85, liczymy jednak 2 złr., koszta sprzętu jednego korca, zład 9 korców = 18 złr.

f) Opłata stodoły, reparacye, utrzymanie młockarni w należytym stanie	1	„
g) Podatek gruntowy	1	„
h) Procent po $4\frac{1}{2}\%$ od poniesionych nakładów	2,69	„
Wynoszą przeto koszta produkcyjne na morgu	62,64	„

B. Dochody.

Licząc na móg po 18 kop zżętu a na dwie kopy 1 korzec pszenicy, otrzymamy 9 korców pszenicy po 8 złr.	72	złr.
Prócz tego 30 centnarów słomy czyli 6 fur po 4 złr.	24	„
Nareszcie plewy i poślad	2	„
Cały dochód wynosi razem	98	„

Odciągają się koszta produkcyjne 62,64 „
Zostaje przeto czystego dochodu 35,36 „

Czysty ten dochód nazywa się *rentą gruntową* a powstaje przez nadwyżkę produktów sprzedanych nad koszta produkcji, będąc oczywiście ich nagrodą słuszną, bo nikt nie podejmie się bez niej trudów uprawy. Pomimo prawdy tak jasnej, jak wszystkie inne zyski czyste, tak i renta gruntowa stała się celem wycieczek gwałtownych. Socjaliści mówią, że nadwyżka należy się robotnikom i że rolnik nie tylko bezprawnie posiada kawał ziemi, będącej własnością wszystkich, lecz również bezprawnie zabiera corocznie dochody tej ziemi; bo przypuściwszy nawet, że on także wkłada w tę ziemię pracę swoją, to jednak większa część dochodu czystego powinna przyspaść na wspólników uprawy, którzy więcej od niego w niej się umęczyli.

Nie myślimy tu długo zbijać pierwszego zarzutu o nie-

prawnem posiadaniu ziemi, bo któryż człowiek rozsądny nie wie, że ziemia w stanie dzikim jest zupełnie co innego, aniżeli ziemia uprawna. Robinson przybywający na wyspę samotną, mógł wybrać sobie część na własność wedle upodobania swego, ale ten, co po nim przybędzie, musi tę część jego uszanować, jeżeli rzeczywiście uczynił ją własnością swoją, jeżeli ją wyróżnił od ziemi dzikiej i włożył w nią swoją pracę i osobistość swoją. Od-tąd będzie już własnością prywatną i nazawsze pozostanie i je-dynie za zgodą właściciela lub gdy zabraknie zupełnie, może powrócić do powszechności. Tosamo tyczy się także dochodów; i one z prawa natury należą do właściciela. Jednakże stosunek ten pana do własności, o ile jasnym jest w Robinsonie, o tyle nieraz staje się ciemnym lub zawikłanym w społeczeństwie, gdzie prawie nikt sam nie produkuje, lecz przy pomocy drugih. Rol-nik ma parobków, którzy tyle co on, a może i więcej pracują; mimo to poprzestać muszą na utrzymaniu a gospodarz zabiera cały dochód czysty.

Nie masz w tem jednak żadnej niesprawiedliwości, jak sądzą socjaliści, bo nasamprzód 98 zlr. czyli wartość sprze-da-nej pszenicy i słomy *nie jest tylko zgęszczoną pracą rolniczą*. Widać to ztąd, że przy tychsamyh kosztach produkcyi można na gruncie gorszym albo otrzymać mniej pszenicy, albo nawet tylko 9 koreów żyta; czyż jednak kto powie, że ten drugi plon ma tęsamą wartość, co pierwszy? Tensam więc nakład robo-czy w dwu produktach niekoniecznie im nadaje wartość tęsa-mą. Ztąd powiemy, że praca produkcyjna nie jest miarą wyłą-czną wartości, lecz raczej *granicą, pod którą wartość spaść nie może* (nie mówimy o razach wyjątkowych) a po nad którą usiłuje się podnieść jaknajbardziej. Naprzeciw rozciąga się inna wartości granica, którą socjaliści tracą zupełnie z uwagi, jak słusznie przypomina *Schäffle*, a tą granicą jest *korzyść kupu-jących*. Korzyść ta nie może być niższą od ceny kupna (znowu opuszczamy wyjątki), a powinna podnieść się nad nią wedle mo-żności. Tym sposobem strony obie, kupująca i sprzedająca, przy-kładają różne miary do tejsamej rzeczy; potem nawzajem już to obniżając żądanie, już to podwyższając ofertę, targują się pó-ty, dopóki szale chwiejącej się wagi nie znajdą nareszcie wspól-nego punktu ciężkości i nie staną na równi. Gdyby było tylko wóch targujących się na świecie, ustaliłaby się cena produk-

tów niebawem, ale obaj żyją w społeczeństwie, a ztąd tak kupujący jak sprzedający zostaje pod wpływem nieustającym społecznych stosunków czy krajowych czy zagranicznych. Te zmieniają się ciągle, gdy skutek wojen, nieurodzajów, przedtem nieznanych wynalazków, otwarcia dróg nowych, bądź ilość towaru żadanego, bądź ilość kupujących zwiększa się lub zmniejsza. Tento czynnik społeczny nietylko, że jest niezbędnym, ale bodaj czy nie potężniejszym od czynnika pierwszego, do pracy wyrobniczej. Onto raz sprzyjając kupującym, raz sprzedającym, rozdaje nagrody lub straty według stanu ogólnego interesów społecznych, podczas gdy nakłady produkcyi są właściwie tylko warunkiem przedwstępny do udziału tak w zyskach jak stratach.

Ale nie na tem koniec. Potrzeba, aby przystąpił jeszcze czynnik trzeci, duch ludzi, a wtedy dopiero rzecz każda otrzyma wartość prawdziwą. Zapas wielki igieł n. p. bez wątpienia zawiera w sobie wartość kosztów produkcyjnych, ale wartość ta drzemie i dopiero ocknie się wśród społeczeństwa tak rozwiniętego, że zapas wielki igieł jemu przydać się może. Ale któż dokáže tego? przedsiębiorca, znający potrzeby społeczeństwa, wiedzący, ile przygotować zapasów i kiedy ich dostarczyć. *Przedsiębiorczy więc duch ludzki* jest owym trzecim a głównym czynnikiem, który wydobywa z towarów martwych całą ich wartość pod technieniem ożywcem atmosfery społecznej. Onto, podobny do Janusa dwulicowego, raz kupując, drugi raz sprzedając, stawa się twórcą prawdziwym tak wartości wszelkiej, jak kapitału. Onto, niby ognisko dobroczynne, karmi się drwami bezkształtnemi a za to ogrzewa stosunki społeczne do koła. Wyjm z nich przedsiębiorcę, a ciepło uleci, tętnice bić przestaną, życie się zatrzyma. Dlatego też żaden kraj, wiek żaden nie był bez przedsiębiorców i sami socjaliści nie mogą obywać się bez nich w swoich rzeczachpospolitych utopicznych. Ta tylko różnica zachodzi między dawnym ustrojem ekonomicznym świata, a nowożytnym, że dawniej przedsiębiorca był najczęściej i *producentem* i *kupcem* a dzisiaj przez rozszczególnienie dokładniejsze czynności ludzkich producent i przedsiębiorca rozchodzą się coraz bardziej, a pierwszy stawa się coraz zależniejszym od drugiego. Ten rozdział dwóch funkcji, dawniej złączonych w jednej osobie sprowadził niedogodności rozliczne, dające się jednak rozłączyć bez nadwężenia podziału w sobie pożytecznego. Bo dwie funkcyje tak sobie prze-

ciwne, jak produkcya towaru w zaciszu domowem, a sprzedaż jego na gwarnym targu społecznym, lepiej będą spełniane przez dwóch ludzi fachowych, aniżeli przez jednego, i niesłuchanie zyskują na podziale pracy. Wtedy jednak słuszość wymaga, aby obaj specjaliści mieli nagrody odpowiednie: mniejszą producent a większą przedsiębiorca. Wielka bowiem jest różnica w położeniu tych dwóch ludzi. Producent (najczęściej wyrobnik lub parobek) znalazłszy robotę ma los swój zabezpieczony, bo przedsiębiorca utrzymuje go, ale przedsiębiorca w czasach zwłaszcza dzisiejszych, nie może nigdy powiedzieć z pewnością, że nakłady jemu się wróca; ztąd lęka się, przewiduje, czy bawełna nie urodzi się w Ameryce, czy za wiele wełny przywiozą z Australii, czy oliwki zmarzną lub winnice, nawet w krajach dalekich, zawsze to ostatnie na nim się odbija, pozbawia go myśli wesolej we dnie a snu spokojnego w nocy, zawiesza między stratą a zyskiem, a ztąd już to rozpaczą napełnia, już to nadzieją.

Socjaliści rozumieją dobrze, przez jakie wrażenia bolesne przechodzi dusza przedsiębiorcy i słusznie *Lassalle* podnosi wielką różnicę między magnatem średniowiecznym, używającym wesoło tego, co mu lennicy znoszą, a bankierem dzisiejszym, nie mogącym w operze nawet wybić sobie z głowy *kurscellów* giełdowych. Wiedzą o tem, a jednak wołają, że nieprawnie zarabia. Jak gdyby cierpienia duchowe, nierozłączne od wielkich przedsiębiorstw handlowych lub przemysłowych, nie zasługiwały na obfitą nagrodę i jak gdyby kto miał ochotę narażać się na nie zadarmo. Cierpienia są nieuniknione, bez nich nawet pomyśleć nie można o wielkich produkcjach międzynarodowych, tak dzisiaj niezbędnych, bo bez nich zabrakłoby chleba dla ludności szybko wzrastającej. Któż więc poniesie te trudy, skoro są nieuniknione? Oczywiście, że albo przedsiębiorca, albo sam robotnik. Ale w takiej alternatywie otwierają się dwie drogi tylko, albo zatrzymanie systemu dzisiejszego, który opiera się na konkurencji bezwzględnej kapitałów, albo powrót do staroświeckiej produkcji lenniczo-cechowej, które wystarczała niegdyś, ale dzisiaj, w dawnej przynajmniej formie, nie wystarczy a nawet więcej już nie jest podobną po szerokich spustoszeniach, które liberalizm sprawił w duszach. Tu też socjaliści lękając się tej alternatywy, chcieliby wymyśleć nowy stan rzeczy, doskonalszy od kapitalizmu i

od feudalizmu, w którymby nareszcie robotnik otrzymał zapłatę za całą wartość swojej roboty.

Jestto *konkluzja trzecia* ich nauki, a z nią przechodzimy do krainy utopii. Bó doprawdy *utopią* jest, że się uda kiedykolwiek wygnać nędzę z powierzchni ziemi i że wszyscy bez wyjątku śmiertelnicy dobiją się egzystencji swobodnej, wolnej od kłopotów. Marzenie to świadczy zapewne o sercu szlachetnem i pragnieniach wzniosłych, ale czyż dlatego przestaje być marzeniem? nic mu nie pomoże, że powstało w głowie *Platona, Morusa, Krasickiego, Fouriera*, a w końcu i *Lassalla*. Pozostanie zawsze marzeniem, któremu nie odpowiada na ziemi żadna rzeczywistość i *Atlantyda* zatopiona na zawsze, *Utopia* nigdy nie odkryta, *Nipon* nieprzystępny, *Raj* wreszcie z bramą wiecznie zawartą, odkąd człowiek utracił prawo do niego przez lekkomyślność własną i przewinienie swoje. Zapadł przed wiekami wyrok nieubłagany: *będziesz jadł chleb twój w pocie czoła twego*; odtąd nic nie odmieni tego wyroku, nic nas nie wybawi z pod niego. Marzeniem jest i to lekkomyślnem, chcieć odmienić wyroki Boże! dlatego też nie opowiadam tych marzeń szczegółowo, bo i jakąż z nich nauka, pożytek jaki? Ten jeden chyba, że można przekonać się o bezskuteczności wyzwalania się z pod warunków przyrodzonych istnienia społecznego. Zresztą wszystkie te marzenia, czy *Platona* czy *Lassalla*, podobne są do siebie, jak dwie krople wody. Wszystkie dają wygody największe ciału a gotują niewolę ohydną duchowi. *Platon* już wypędził sztuki piękne i literaturę z idealnej swej rzeczypospolitej. *Krasicki* zamknął dla nich podobnież swój *Nipon*, a proletaryat internationalu uważa za niepotrzebny proletaryat *umysłowy*. Wszyscy bowiem ci mniemani dobroczyńcy ludzkości cierpiącej zachowali tyle rozsądku zdrowego przy marzeniach swoich, że się spostrzegli, jako równość społeczna i równość w używaniu jest zupełnie niepodobną przy różnicy przymiotów duchowych. Ztąd nie bez racy wymyślali środki najdziwniejsze, aby zatrzeć wszelką dystynkcyę duchów, ztąd w ich państwach panuje niewola przerażająca. Nikt nie może mówić, pisać, śpiewać, grać lub rzeźbić inaczej, jak ząd przepisuje, a każde idealniejsze poruszenie czy serca, czy umysłu musi skamienieć już w zarodku samym. Straszna jest niewola, gdy państwo urządza całe życie fizyczne obywateli, ale prawdziwie niepojętą się staje, gdy pań-

stwo reguluje nawet życie duchowe, dlatego w państwach podobnego zakroju istoty nie myślące mają się najlepiej, w *Fourierowej* rzeczypospolitej nawet wieloryby tak się oswoiły, że wesoło ciągną statki kupieckie po morzach z limonady. Ale niechaj nikt z mieszkańców falansteru nie odważy się dowodzić, że inny porządek rzeczy może być lepszym i rozsądniejszym—biada śmiałkowi! I gdyby ta niewola okropna opłacała się przynajmniej wielką moralnością i nie byłoby co zapisywać w aktach kryminalnych. Socjaliści spodziewają się tego, ale tę nadzieję także trzeba uważać za marzydło, świadczące lepiej o ich sercu, aniżeli głowie. Bo jeżeli nieprawdopodobnem jest, aby niewola jakakolwiek, czy duchowa czy fizyczna wydawała cnoty wielkie, które pozostaną nazawsze kwiatami wonnemi zapału i poświęcenia, a nikt jeszcze nie obudził kijem miłości ku sobie, to zgoła być nie może, aby ludzie, nie znający Boga lub wypełniający czczość serca swego deizmem bladawym, nie mający ni zagrody własnej, ni żony stałej, ni dziatwy, którą na pewno mogą nazwać swoją, aby kochali cokolwiek lub zajmowali się żywo czemkolwiek bądź. A kto nie kocha, nie zajmuje się niczem w głębi duszy, swojej, ten z pewnością nie wydobydzie ani jednej isierki cnotliwej ze swej duszy zastygłej.

Sąd ten ogólny tyczy się zarówno socjalistów dawnych i nowych. Zachodzi jednak różnica wielka między nimi. Dawniejsi z widocznem upodobaniem rozwijają obrazy szczegółowe przyszłej rzeczypospolitej roboczej a *Fourier* nawet ułożył szkic lub bajkę, wyjętą żywcem z Tysiąca i jednej nocy. Za to nowsi, tak *Lassalle*, jak *international*, unikają szczegółów przyszłego ustroju ludzkości, moralnego i ekonomicznego a tylko pomost rzucają od cywilizacji obecnej do cywilizacji przyszłej. To postępowanie daje im pozór wielkiego rozsądku, bo niechcą niby przesądzać, jaką będzie przyszłość i jakie kształty przybierze, tem tylko zajęci, aby pomost przez nich zbudowany odpowiedział zadaniu i wytrzymał pochód ludzkości całej na brzeg drugi, gdzie uśmiecha się nowa Palestyna. Tym pomostem żywym są stowarzyszenia robotnicze, zakładane przez *international* według myśli pierwotnej *Lassalla*, a mające się zamienić zczasem w spółki fabryczne. *Lassallisci* są przekonani, że bez środków gwałtownych, bez krzywdy właścicieli dzisiejszych, byleby państwo dopomogło kredytem, społeczność cała zawiąże się w jedną spółkę olbrzymią, obejmującą

miliony spółek podrzędnych, z których każda wypłacać będzie spółnikom swoim całą wartość ich pracy, a przez to (nie tylko zabezpieczy od nędzy, lecz dopomoże do mienia, do bytu swobodnego, do rodziny, słowem, do szczęśliwości najwyższej, jakiej człowiek może dostąpić na ziemi.

Projekt ten zasługuje istotnie na uwagę, raz dlatego, że obiecuje jeżeli nie zniesienie, to przynajmniej znaczne zmniejszenie nędzy społecznej, a potem, że usiłowania częściowe w tym duchu robione, doprowadziły kilkakrotnie do rezultatów pomyślnych. Nie mam oczywiście na myśli „warsztatów narodowych“ zakładanych r. 1848 w Paryżu, bo naprzód projekt *Lassalla* nie ma nic wspólnego z projektem *Ludwika Blanca*, a potem nieudanie się projektu *Blancowego* nic nie dowodzi przeciw jego trafności, bo dzisiaj wiadomo, że nie *Ludwik Blanc*, lecz nieprzyjaciele jego, zwłaszcza *Marie*, urządzili te warsztaty nie w celu doprowadzenia robotników do majątku, lecz aby ich karmić; dla zabicia czasu kazano im przez dwa lub trzy dni w tygodniu sadzić drzewa, prostować ulice, zasypywać wielkie doły, ale prace te były wszystkie *bezpłodne*, jak mówią ekonomiści. Nie założono ani jednej fabryki, której dochody czyste byłyby stworzyły zwolna majątek prywatny robotników. Oczywiście z nieudania się projektu rząd miał korzyść podwójną; pokazał robotnikom, że warsztaty wspólne rządowe nie prowadzą do niczego, a przez to dyskredytował agitację *Ludwika Blanca*, a potem z takich robotników na chlebie łaskawym utworzył sobie armię przeciw robotnikom czerwonym. Zupełnie przeciwnie ma się rzecz ze spółkami robotników, które po zamknięciu już warsztatów rządowych zawiązały się w Paryżu r. 1849 z zaliczką rządową. Powstało ich trzydzieści a rząd wyznaczył im pomoc jednorazową 890,000 fr., sumkę śmiesznie małą przy setkach milionów, marnowanych później na przebudowanie stolicy. Te spółki, źle widziane u władzy i dozwolone tylko na liczbę lat określoną, istniały w warunkach jak najgorszych, bo płaciły na kapitał pożyczony rządowi 4%, zliczywszy jednak wszystkie podatki i ciężary postronne, płaciły 10% przynajmniej. Dodajmy konkurencyę fabrykantów mieszczańskich, dławiących je kredytem swoim niezmiernym, a nie zdziwimy się wcale, że niektóre z nich wkrótce po założeniu upadły i powiększyły niechęć ogólną do projektów tego rodzaju. Zato inne rozkwitły na dobre a

rozwiązawszy się w kresie przez rząd oznaczonym ucieszyły współwłaściciele swoich zyskiem bardzo znacznym. Przytaczam na dowód spółkę drukarską *Remquet*, założoną w r. 1849 na lat dziesięć. W pierwszym roku nie miała nadwyżki żadnej, w drugim miała 4,494 fr. w trzecim 6,224, nareszcie w dziewiątym aż 14,821 fr. Gdy się rozwiązała, zwróciła rządowi pożyczone 80,000 fr., pokryła bieżące pasywa i wypłaciła wszystkim robotnikom żyjącym po 18,000 fr. dywidendy, wdowom zaś zmarłych po 7000. Niemniejsze interesa zrobiła spółka stolarska *Monsieur Antoine*. Mógłbym jeszcze kilka innych przytoczyć, mógłbym także przywieść liczne spółki robotników angielskich, które prowadzą interesa swoje z powodzeniem zadziwiającem a członkom swoim zabezpieczają na starość utrzymanie bez kłopotów. Ale te szczegóły znużyłyby tylko czytelnika. Dostyc, że *Lassallistom* się zdaje, że po takich próbach znakomitych mogliby wszyscy robotnicy zawiązać podobne spółki bez żadnej perturbacji porządku społecznego i zapewnić sobie całe wynagrodzenie pracy swojej, nie odstępując już najlepszych zysków właścicielom fabryk.

Nie przeczę, że da się pomyśleć stan społeczny, w którym spółki, dzielące się zyskiem, wykonywują rzemiosła, uprawę gruntów i wszelaką pracę społeczną; nie ma w tem nic przeciwnego naturze ludzkiej, owszem, natura człowieka sprzyja wszystkim pracom wspólnym. Ale któż nie widzi, że po wprowadzeniu spółek do wszystkich gałęzi pracy ludzkiej, społeczny stan obecny nie bardzo się odmieni, że osiągnie się może produkcję większą i znaczniejsze środki utrzymania, ale w gruncie pozostanie kapitalizm formą ekonomiczną. Będą i nadal bogaci i ubodzy, przedsiębiorcy i najemnicy, tacy, którzy mało pracując wiele używają, i tacy, którzy wiele pracując mało używają. I byłoby źródło gotowe niezadowolenia nowego, zaród nowego racjonalizmu. Chcąc temu zapobiedz, proponują *Lassalliści*, aby po dokładnem zbadaniu potrzeb społeczeństwa produkowano tyle tylko, ile potrzeba; mniemają, że wtedy nie będzie nigdy zapasów zbytecznych, które dzisiaj sprowadzają nieraz pospieszne obniżenie cen targowych. Jednakże grubo się łudzą tem mniemaniem swoim, bo klęska niespodziana kraju jednego może we wszystkich innych wywołać taką drożyznę, że po wyczerpaniu małych zasobów rezerwowych spółki byłyby po prostu zagrożone śmiercią głodową. A nawet przy warunkach normalnych przypuszczać się godzi,

że jak dzisiaj jednostki, tak wtedy spółki nieraz zbankrutują. Otóż nowy proletaryat gotowy. Kto mu dopomoże? Powtarzają ustawicznie, że państwo. Ale skarby państwa, nawet komunistycznego, przebrać się mogą, a wtedy co? Boć państwo takie będzie szeregiem spółek, a wszystkie wedle myśli *Lassalla* związane są kredytem wzajemnym i bez siebie istnieć nie mogą. Wtedy koniecznie każda kłeska społeczna przybierze rozmiary straszliwe, bo jeżeli dzisiaj podczas jakiego przesilenia przemysłowego bankrutują tylko fabryki jednego lub kilku pokrewnych rzemiosł, w państwie socyalnem natomiast wszystkie spółki prowincyi lub nawet kraju zwaliłyby się sposobem okropnym, raz dla ścisłego powiązania wszystkich, a potem dla braku leżących funduszków. Nastalaby zagłada kraju lub prowincyi, a nie byłoby ratunku, bo nie będzie kapitałów prywatnych, które dałyby się przywabić na miejsce zagrożone zysków wielkich nadzieją.

Dalej iluzją jest, że zwiększałyby się produkcya; przeciwnie spadałyby niezmiernie. Spółki obowiązane jedynie do pewnej ilości towarów, nie zachęcane żadną nadzwyczajną korzyścią opuściwszy ręce, zamieniłyby się w szkoły lenistwa niesłychanego. Jakże robotników leniwych zagrzać do pracy? jakże wymódz na spółce sumienne pełnienie obowiązków? Gdyby składała się jedynie z ludzi zacnych, uczciwych, poświęcających się za sprawę publiczną! Ale któż ręczy, że tak będzie? Wiem, że socyalizm przypuszcza z góry, jako w państwie jego wszyscy poddani będą dobrzy i będą żyli w zgodzie braterskiej. Ale ta utopia najśmieszniejsza! Nie ma socyalizm żadnych środków umoralniających, on, który nawet do pracy codziennej nie ma innych bodźców, prócz głodu. Dzisiaj konkurencya, której *Lassalle* niesłusznie przypisuje złe wszelkie, boć ona obok wiele złego jest także sprawczynią wiele dobrego, tych nawet, których nie potrafi zapalić uczucie honoru lub miłość kraju, rozrusza do pracy, ukazując im w dali zyski znaczne. U *Lassallistów* nie będzie konkurencyi, bo któż zechce współubiegać się, gdy nie widzi przed sobą wieńca u końca drogi? A więc głód tylko napędzi do pracy! Ale głód produkuje mało, tyle tylko, ile potrzeba do nasyceńia. Żeby zrobić coś więcej, trzeba mieć pobudki inne, wyższe. Tych pobudek brak zupełny w państwie *Lassallowem*. A co gorsza, nie będzie tam nawet obawy przed głodem, przynajmniej w początkach. Chce bowiem autor, żeby spółki wszystkie zabez-

pieczały sobie nawzajem dochody swoje. To pociągnie niewątpliwie za sobą ruinę ekonomii wszelkiej i znaczy to samo, co odebrać wszystkim ochotę do pracy. Dajmy na to, aby rzecz wyjaśnić przykładem, że w tem państwie dziwacznem spółka szewców dostanie od bióra statystycznego (bo tam statystyka wtrąca się do wszystkiego) polecenia dostawy miliona par butów na rok bieżący. Dla zbiegu okoliczności niekorzystnych sprzedano tylko 800,000, ztąd spółka szewców nie może wystarczyć na utrzymanie członków swoich. Muszą więc spółki inne przyjść jej w pomoc i z własnych kas pokryć niedobór kasy szewskiej. Wygląda to pięknie, ale ekonomicznem nie jest. Kto bowiem ma dochód zabezpieczony z góry, ten nie bardzo dba o skończenie roboty, a najmniej dba o dobre wykończenie. Trzeba by więc rozciągnąć dozór ścisły, drobiazgowy nad każdą spółką i nad spółnikiem każdym, a tego niemożna zrobić bez biurokracji rozlicznej. To też biurokracya rządzi takim państwem i dobrze jej w niem, jak żydom w Galicyi; ona ze statystyką w ręku oblicza potrzeby całych prowincyj i każdej jednostki, i co trudniejsza, zaspakaja wszystkie; ona czuwa nad jednostajnością pracy, nad jej rozkładem i nad jej zrównoważeniem po spółkach niezliczonych. Jakich potrzeba gieniuszów, aby wydołać temu wszystkiemu! To też gdy się uda praca, staną koszary olbrzymie, w których każdy obywatel pracuje, ile mu każą, jé, ile mu dadzą, a nie nie myśli. Bo tak statystyka jak i biurokracya nienawidzą myślenia.

Gdyby przynajmniej dawano jeść obficie w tych koszarach! Ale i o tem słusznie wątpić się godzi. Mniemam, że porcy tam będą mniejsze od porcy, którą pożywa wyrobnik najnędzniejszy. Istnieje bowiem prawo nieubłagane, że *większość ogromna robotników dostaje ledwo tyle, ile potrzebuje koniecznie na utrzymanie swoje*. Prawo to, przyznane przez wszystkich ekonomistów znakomitych, przez samego *Lassalla* wyłożone wymownie, tak w książce przeciw *Schultzemu* („Pan Bastiat-Schultze“) jak w sławnych *mowach frankfurckich* (wyszły razem pod tytułem „książka do czytania dla robotników“ *arbeiterlesebuch*) nie dopuści odmiany żadnej i sam nawet socjalizm nie nie poradzi przeciw niemu. Jak u nas, tak i w jego państwach ogromna ilość ludzi zarobi tyle tylko, ile wystarcza, żeby z głodu nie pomrzeć. Środki do życia są ograniczone i kraj każdy może

tylko wyżywić liczbę pewną ludzi; przypuściwszy więc że w latach pierwszych panowania *Lassallistów* robotnicy najniżsi mieć będą zarobek hojny, ludność niebawem tak się wzmoże, że każdy, byleby żyć, odda pracę swoją za cenę najniższą, a rząd, mając tylko do rozdania ilość ograniczoną strawy, porobi porceye tem mniejsze, im więcej stołowników przybędzie. Nie wszystkich jednak rząd może skazać na porceye najmniejsze. Im bowiem wyrób jest sztuczniejszy, tem więcej rąk potrzeba na jego wykończenie, a każda z nich przyłoży się do niego w proporcyi odmiennej. Oznaczywszy utrzymanie robotników najgrubszych na miarę najniższą, wystarczającą ledwo do życia, potrzeba koniecznie dawać robotnikom wyższym wynagrodzenie wyższe, inaczej nie zechcą podjąć się roboty wyższej, a potem wyuczenie robotników wyższych wymaga daleko więcej nakładów, słuszna przeto, żeby za te nakłady czasu i zdrowia spadał na nich jakiś zysk odpowiedni. Uznając tę słuszność socjaliści chcą płacić każdego w miarę jego zdolności i wysilen. Któż jednak nie widzi, że wtedy robotnicy wyżsi, mając się lepiej od niższych, uzyskują nad nimi przewagę społeczną. I nastąpi wtedy ten sam rozdział społeczny, który tak właśnie zakrwawia serca socjalistów, jeno w rozmiarach większych, a daleko nieznowniejszy. Bo już dzisiaj słuszną poniekąd skargę słyszeć się dają, że tym robotnikom fabrycznym najgorzej, którzy nie mają do czynienia z „panem“ lecz z jaką spółką bezimienną. Otóż gdyby ziściły się marzenia socjalistów, stosunek ten nieosobisty, oderwany, umysłowy, bezduszny, opanowałby ziemię całą. Robotnicy, mający dzisiaj do czynienia ze spółkami bezimiennymi, są mniejszością ledwo dostrzegalną wobec milionów i milionów posługaczy, wyrobników, czeladników, zostających w stosunku osobistym do panów swoich. Uprawa roli, przynajmniej na lądzie stałym (bo w Anglii niestety, zmysł fabryczny nawet do rolnictwa się wciska) odbywa się przy stosunkach osobistych najczęściej serdecznych, pana do chłopów, włóдаря do parobków. A w miastach nie tylko służba po rodzinach i służba po zakładach publicznych, lecz także przeważająca ilość pracy po warsztatach, sklepach, fabrykach, dzięki Bogu, opiera się jeszcze na osobistem obcowaniu chlebobawcy z podwładnymi.

W państwie socyalnem byłoby przeciwnie. Nie byłoby tam nigdzie ani jednej osobistości; same spółki bezimienne, załatwiające interesa swoje sposobem biurokratycznym. Wszystkie nie-

dogodności i niebezpieczeństwa, towarzyszące wyzyskiwaniu spółek niższych przez wyższe, na które dzisiaj utyskują socjaliści, będą wtedy stanem powszednim, normalnym. A spółki niższe będą w położeniu niekorzystniejszym, aniżeli dzisiaj robotnicy najędźniejsi. Bo ci w razie pokrzywdzenia znajdą wreszcie litośnych ludzi prywatnych, którzy się ujmą za nimi, lub mogą się uciec pod opiekę państwa i dożebrać się choćby ulgi chwilowej. Ale w państwie socyalnem do kogóż się udadzą? czyjeż pomocy zawezwą? Prywatnych przedsiębiorców nie będzie, a państwo będzie w rękę spółek wyższych, przeciw którym szukają opieki. Doprawdy można im napisać na czołach schylonych: „lasciate ogni speranza.“

A teraz wypada streścić rozbiór nauki socyalnej. Mając naznaczone sobie granice dosyć ciasne, musiałem poprzestać na dotknięciu trzech głównych punktów: pierwszym jest powstanie kapitału, drugim teoria wartości, trzecim praca spółek. W dwóch pierwszych socyalizm okazał się jednostronnym, przeto błędnym, przypisując powstanie majątków, zwłaszcza kapitałów, pracy niewynagrodzonej robotników. Widzieliśmy, że takie widzenie rzeczy jest i błędne i niesprawiedliwe, bo czyni ujmę twórczości ducha ludzkiego i przeczy prawom jego najświętszym. Robotnik nigdy nie stworzy kapitału, ani też praca jego nie jest miarą wartości; duch ludzki, korzystając z bogactwa społecznego, stwarza pierwszy, on także układa drugą, innemi słowy, praca robotnika dopiero przez przedsiębiorcę i płodną się stawa, i wartość nabiera. Taka była nasza teza antisocyalna.

Co do trzeciego punktu, co do pracy spółek nasuwa się konkluzya sama po uwagach powyższych, że nie tylko dawniejsze projekta uszczęśliwienia ludzkości okazały się płonnemi, lecz nawet socyalizm najnowszy, niby rozsądny, nie ma środków do przeprowadzenia zamiarów swoich, a gdyby je miał, niewątpliwie stworzyłby coś zupełnie przeciwnego swoim zamiarom. Ztąd wypada wniosek, że on także jest marzeniem niewykonalnem. I mówimy to nie tylko o krzewicielach jego skrajnych, znoszących religię, narodowość, majątek, rodzinę, usiłujących przewrócić naturę ludzką, co jest zarazem i śmiesznem i niedorzecznem przedsięwzięciem, lecz nawet rzecznik jego najrozsądniejszy, *Lassalle* odważny, nie wymyślił w tym względzie nic *prócz utopii*. Ale czyż ruch socyalny ustanie dlatego? Nieraz mu

dowodzono, że ugania się za marzeniami, że nawet istnienie jego wielkim jest paradoksem, a mimo to nie ustał, przeciwnie wzmacniał się z rokiem każdym. Cóż go więc żywi? coź podtrzymuje? coź wlewa przekonania w tłumy ciemne, że od *Lassalla* zaczyna się dla nich era nowa? Dla czegoż obchodzą pamiątkę jego rokrocznie z przejściem wielkim, z nadzieją odnawianą? Odpowiedzieć na to, jest odkryć tajemnicę socjalizmu, wykazać jego przyczyny prawdziwe. Tej pracy poświęcimy część ostatnią rozprawy naszej.

V. Nędza robotników.

Rozważyliśmy dotąd początek i rozwój socjalizmu najnowszego, ilość jego zasobów, cel jego usiłowań. Gwałtownie zaczepiając strony ujemne porządku istniejącego, obiecuje ich usunięcie w gmachu nowym, wspanialszym, ze wszech miar wygodniejszym. Jednakże zanim przystąpi do budowy nowój, chce zburzyć starą, bo nie wydaje się jemu godną naprawy. Chce wprzód rozwalić wszystko, potem budować na nowo. Przekonał się po rozbiórce jego teoryi, że pierwsze przyjdzie mu łatwo, drugiego nie potrafi wcale. Jest przeto w złudzeniu wielkiem co do swoich zamiarów budowniczych; przyrzeka rzeczy niepodobne do spełnienia. Trudno nie widzieć tego. Ale czyż to przekona socjalistów? czyż dla tego porzucą sprawę swoją lub stracą zwolenników? Nie sądzę, bo już dowiedziono im tyle razy, że nauka ich pełna sprzeczności, niezdolna życia, przeciwna naturze ludzkiej, a mimo to, rośli w śmiałość i znaczenie, aż nareszcie stali się potęgą groźną, z którą nawet dumni mężowie stanu zaczynają wchodzić w układy. Przy takiej pomyślności względnej, trudno spodziewać się, że jakkolwiek argumentacya ich nawróci, bo im dobrze żyć w złudzeniu, a więc sam interes osobisty wymaga, aby ono trwało jaknajdłużej. Prześladowanie także ich nie przerazi, tylko utwierdzi w błędach; może chwilowo utrudnić lub nawet przerwać ich działanie, ale niebawem znajdą się oka nowe w sieci konstytucyjnej państw nowożytnych, przez które się socjalizm prześliznie. — A dopóki trwać będą ujemne strony gmachu społecznego, do-

póty znajdować on będzie stronników; człowiek głodny pójdzie zawsze za tym, który mu ukaże kawałek chleba, choćby zdaleka.

Chcąc przeto usunąć niebezpieczeństwo socjalizmu, trzeba wykorzenić złe, którego jest kwiatem naturalnym, trzeba przeciąć źródło, którego jest wytryskiem nieodzownym. A tego nie dokażemy, nie poznawszy przyczyn jego. Z nich jedna jest główna i jakoby podstawa wszystkich innych; od niej wypada zacząć dyagnozę choroby. *Tą przyczyną jest nędza społeczna.*

Nowsi socjaliści, *Marx* zwłaszcza, położyli niemało zasług, podnosząc tę nędzę i stawiając jej obraz przerażający przed oczy klas zamożnych. Nie dziw, że te po większej części zmateryalizowane, lub co na jedno wychodzi, zdechrystianizowane, zasłaniają sobie oczy i wołają z oburzeniem, że to nieprawda, że to przesada, że tak źle być nie może, boby ubodzy wszyscy dawno już wymarli. Jednakże obraz nędzy społecznej powstał z liczb, a liczby te nie są zmyślane, są wszystkie wyjęte ze sprawozdań urzędowych; przypuściwszy nawet, że socjaliści dla wywołania efektu większego, ułożyli je arbitralnie i mocno ukolorowali, sam przecież rysunek zupełnie jest prawdziwy i połysk jaskrawy nie fałszuje jego rysów. Co więcej, gdyby połowa liczb była zmyślona, druga jeszcze połowa pozostanie krzyczącym wyrzutem opuszczenia, w którym pograżona jest większość rodu ludzkiego! A daleko do zmyślenia; owszem zdaje mi się, że urzędowe wykazy nędzy nie są zupełne i nie dochodzą do rzeczywistości; sama metoda ich układania sprawia, że wiele szczegółów mija niepostrzeżonych. Potem statystyka nędzy jest nauką mało uprawianą przez prywatnych dla braku możności, a przez rządy dla braku ochoty; ztąd w krajach niektórych wcale ona nie istnieje, w innych niekompletnie, bo oparta tylko na jednej prowincyi lub na jednej klasie robotniczej, z której tworzy się wyobrażenie niedokładne o nędzy kraju całego lub wszystkich klas niezamożnych.

Anglia zrobiła najwięcej w tym względzie. Mając u siebie taką samą nędzę społeczną, co kraje inne, a może większą, tem właśnie odznacza się korzystnie przed innymi, że ją rozbiiera dokładnie, a rozbiory swoje złożyła w licznych sprawozdaniach urzędowych. Żyje tam człowiek bardzo zasłużony, *Dr. Smith*, który chciał się przekonać dokładnie, ile człowiek koniecznie potrzebuje pokarmu, jeżeli nie ma popaść w chorobę

głodową. Wiadomo, że pokarm utrzymuje w nas dwie główne funkcje żywotne: *oddychanie* i *odnawianie krwi*, a przez krew wszystkich części organizmu. Ztąd dwojakiego rodzaju pokarmy konieczne potrzebne są do życia: jedne dostarczające oddechowi potrzebnego materiału palnego czyli *ciepłodajne* (krochmal, cukier, tłuszcze), drugie odnawiające części ciała naszego czyli *krwiodajne*, pożywne. W pierwszym procesie odgrywa rolę główną *węgiel*, a w drugim *azot*. Życie przeto człowieka zależy od pewnej ilości węgla i azotu, dostarczanych mu przez pokarm. Oczywiście, że jest pewna miara, niżej której pożywienie spaść nie może bez szkody organizmu. *Dr. Smith* po długoletnich spostrzeżeniach oznaczył tę miarę niezbędną dzienną na

3.900 granów węgla i 180 granów azotu dla kobiety, a
4.300 „ „ 200 „ „ dla mężczyzny,

czyli mówiąc językiem prostym, kobieta musi dziennie spożyć dwa funty dobrego chleba pszennego, a mężczyzna jedną dziesiątą więcej. Z podwójnej tej ilości pożywienia kobiety i mężczyzny, można ułożyć średnicę najniższą pokarmu potrzebnego dla człowieka. Wynosi ona na tydzień

28.700 granów węgla i 1380 granów azotu.

Gdy w r. 1862 dla wojny amerykańskiej wybuchła w Anglii po fabrykach wyrobów bawełnianych nędza ogromna, rada przybożna królowej (*Privy Council*) poleciła *Drowi Smith'owi* zbadać położenie robotników. I ku swemu zdziwieniu wielkiemu znalazł on, że w grudniu 1872 robotnicy w *Lancashire* mieli na tydzień

29.211 granów węgla, a 1295 granów azotu,

czyli innymi słowy: *funkcja oddychania była w nich podtrzymywana cokolwiek wyżej od minimum potrzeby, a karmienie właściwie nie dochodziło do minimum.*

W roku następnym też rada postanowiła zbadać położenie robotników *najgorzej karmionych*. I znowu udała się do *Dra Smitha*. Ten osobno śledził robotników wiejskich, a osobno miejskich, z których wybrał pięć rzemiosł: tkaczy jedwabia, szwaczki, rękawiczników, pończoszników i szewców; szósty nareszcie

oddział zajęli przedki rękawiczek bawełnianych, którzy w części na wsi mieszkają. Po zbadaniu dokładnem *rodzin najlepiej się mających i najzdrowszych*, pokazało się, że z pomiędzy pięciu rzemiosł miejskich jedno miało na tydzień nieco więcej azotu, aniżeli potrzeba koniecznie, a inne nie miały ani węglika, ani azotu w ilości potrzebnej. Z robotników wiejskich jedna piąta miała mniej węglika, a jedna trzecia część mniej azotu, niż potrzeba było. W całych trzech hrabstwach nie znaleziono nigdzie potrzebnej ilości azotu w ich pokarmach, a najgorzej karnieni byli w prowincyi najbogatszej, w Anglii właściwej. I tak doszedł sprawozdawca do smutnego wniosku ogólnego, że robotnicy miejscy znajdują się w niedostatku najokropniejszym, podkopującym zdrowie, a odbierającym siły.

Łatwo zgadnąć, że w rodzinie zwolna umierającej z głodu, cierpienia przeważnie spadają na żonę i dzieci, gdyż odejmują sobie stawy lichej, by tylko przedłużyć życie ojca, na nich pracującego. Ztąd w rodzinach roboczych śmiertelność dzieci doszła do rozmiarów przerażających. Podczas gdy w warunkach pomyślnych w Anglii na 100.000 niemowląt nie mających roku, umiera 7.000 do 9.000, są okolice fabryczne, gdzie ich umiera *dwadzieścia, dwadzieścia trzy, dwadzieścia pięć tysięcy*, a w Manchester nawet 26.125. Sprawdzono to w roku 1861. W latach zaś wielkich niepowodzeń fabrycznych, śmiertelność musi być daleko większa. *Villermé* obliczył na podstawie spostrzeżeń robionych w Mulhouse od r. 1823 do 1834, że w przecięciu ze 100 dzieci właścicieli fabryk po latach 29, żyje jeszcze 50, a ze 100 dzieci robotników już *po latach dwóch* żyje tylko 50.

A nie tylko dzieci wymierają tak przerażająco — ich rodzice zstępują niedługo po nich do grobu. To znaczy: *umierają zwolna z głodu*. Widać to w przeciętni życia ludzkiego, która wzrasta na wsi, a zmniejsza się w miastach fabrycznych. W Anglii przeciętnia życia ludzkiego wynosi:

	34 lat 3 miesiące, ale
w Manchester spada do	21 lat
w Leeds „ „	20 „
w Liwerpool nawet „	17 „

Te liczby są wymowne i nie potrzebują komentarza. Żeby jednak nie zdawało się, że wynikają z niezdrowych warunków miast fabrycznych, zarówno dotyczących klas wszystkich, warto przypatrzeć się śmiertelności nie według miast, lecz według stanów:

W Preston umiera rocznie	1 na 47 ludzi bogatych,
	1 „ 31 rzemieślników,
	1 „ 18 wyrobników,
W Brukselli „ „	1 „ 50 ludzi zamożnych,
	1 „ 27 rzemieślników,
	1 „ 14 wyrobników.

Sprawdził te liczby *Ducpetiaux*, główny inspektor więzień belgijskich. To samo widać według dzielnic miejskich:

W Paryżu w drugiej dzielnicy (najbogatszej) umiera 1 na 71,
w dwunastej „ (najbiedniejszej) „ 1 „ 44.

W Manchester lekarz pewien podzielił ulice na trzy kategorie według położenia mniej lub bardziej zdrowego, a każdą kategorię na trzy poddziały według dobroci mieszkań, i przekonał się, że:

w kategorii pierwszej umiera 1 na 51
„ „ trzeciej „ 1 „ 25.

W r. 1842 *Dr. Chadwick* podzielił ludność angielską według majątków na trzy działy, z których trzeci obejmował robotników; poczem znalazł w przecięciu następującą:

długość życia	w pierwszym dziale	w trzecim dziale
w Manchester	38 lat	17 lat.
„ Leeds	44 „	19 „
„ Liverpool	35 „	15 „
„ Londynie	45 „	16 „

Tu trzeba powtórzyć z *Lassallem*, że uczeni drżącą ręką muszą zapisywać tak okropne fakta!

A godna uwagi, że pokarm lichy jest tylko jednym z czynników nędzy, niszczącej pokolenie robocze. Bo zanim kto podda się powolnej śmierci głodowej, przejdzie przez wiele innych wyrzeczeń, które najczęściej usuwają się z pola badań statystycznych a jednak przedziurawiają istnienie człowieka z rzeczywistością nieubłaganą. Któż je obliczy wszystkie? Któż oznaczy wielkość goryczy, którą przez lat kilkanaście życia prawie roślinnego nasycały one w duszę ludzką, stworzoną do miłości?

„Wer nie sein Brod mit Thraenen ass,
Wer nie die kummervollen Nächte,
Auf seinem bette weinend sass,
Der kennt euch nicht, ihr himmlischen Mächte!“

Zanim chwila straszna nastąpi, kiedy rodzice nie mają czem nakarmić dzieci płaczących, już wyniesiono z mieszkania biednego wszystko, co tylko miało jaką taką wartość; nawet cień sprzętów nie pozostał, a snopek zmiętej, na pół zgniłej słomy i para dzbanków wyszczerbionych, których zastawić ani sprzedać niemożna, stanowi całą ozdobę jamy, za którą biedna rodzina, ślaniająca się na nogach, płaci może szóstą a czasem i czwartą część zarobku dziennego. Szczęśliwa, gdy przynajmniej sama posiada tę jamę; ale niestety pozbawiona jest najczęściej i tej nawet pociechy, bo nie mogąc płacić komornego wygórowanego, musi przyjąć do siebie podobnych sobie innych męczenników i z nimi dzielić się odrobiną powietrza wilgotnego, zatrutego. Słońce nie zagląda tam nigdy, bo za nie trzeba płacić, czystość wygnana zupełnie, bo i ona kosztuje, a prócz pieniędzy wymaga wielkiego hartu duszy, którego nadaremnie szukałbyś w nędzarzach; ubiór sprowadzony do okrycia najniezbędniejszego, do bluzy kitajkowej dla ojca, do łachmanów dla żony i dzieci. Otóż stan, w którym żyje niezmierną większość rodzaju ludzkiego — ubóstwo zupełne. „*A to ubóstwo; woła Dr. Simon, nie jest karą zasłużoną lenistwa, to jest ubóstwo robotników*“.

I niechaj nikt nie sądzi, że to jest położenie wyjątkowe, co najwięcej znachodzące się we wielkich miastach fabrycznych! Nie, to jest zwyczajne położenie robotników angielskich tak w mieście, jak na wsi. W naszych stosunkach rolniczych, mimo

poduszczeń rządów u chłopów a wzrastającego egoizmu u właścicieli, zachowało się Bogu dzięki jeszcze wiele patryarchalnej opieki pana nad chłopami, przynajmniej w niektórych prowincjach, a zatem nędza społeczna nie doszła tu jeszcze do granic ostatnich. Trudno nam przeto wyobrazić sobie, że na wsi mogą być robotnicy, którzy pracowawszy dzień cały na gruntach pańskich, nigdy nie najedzą się do syta, ani nawet nie mają gdzie przemocować. — To wydaje się niepodobnem, co w Anglii jest stanem zwyczajnym, który zapewne z postępem gospodarstwa wiejskiego przeniesie się na ląd stały. — Jak niegdyś panowie rzymscy, tak dzisiaj niektórzy lordowie zwolna wykupują gospodarstwa chłopskie i podzieliwszy ogromne majątki swoje, na małe dzierżawy, uniemożliwiają wszelkie osiedlanie się ludzi obcych w ich granicach. Wiedząc, że robotnik wiejski, gdy choroba przeszkodzi mu do zarobku i sam i z rodziną swoją powiększy liczbę ubogich, utrzymywanych kosztem wspólnym gminy, starają się nie mieć u siebie żadnych ubogich, a środkiem do tego najpewniejszym jest zabronić im mieszkania, bo gminy wspierają tylko ubogich osiadłych. W tym celu wiele właściciele, zostawiwszy parę domów dla swoich sług, owczarzy, ogrodników, leśniczych, resztę domostw starannie burzą lub nie naprawiając, skazują je na zniszczenie. Dopóki chata nie zawaliła się, wolno w niej mieszkać wyrobnikom, ale za pieniądze; z czasem jednak staje się tak dziurawą, że chcąc niechcąc, wynoszą się do wsi sąsiedniej. W końcu chata się zawali, a z nią ubyłoby *niebezpieczne gniazdo ubóstwa*.

Księżniczka Sutherland od r. 1811 — 1820 wypędziła 3.000 małych dzierżawców, a na ich gruntach upasła milion owiec, bo to intrata większa, a owce nigdy nie żebrzą.

Ludność gwałtownie rugowana przechodzi do pobliskich miasteczek lub wiosek, gdzie spekulanci wynajmują im nory obrzydliwe po cenach bajecznych*), z których rano wychodzą do pracy, czasem milę polską a czasem i dwie, aby wieczorem powrócić z nadmiarem fatygi i niesłychaną stratą czasu; nazajutrz zaś rozpoczynają ten sam pochód i pracę tę samą, bez nadziei, że kiedykolwiek ich położenie poprawi się, a zostają w ciągłej i słusznej obawie, że może każdej chwili zmienić się na gorsze. Sąto ludzie mogący powiedzieć o sobie bez przesady: *nihil habemus, nihil curamus*. Ludzie, dla których termometr na-

dziei pokazuje wieczne zero, jeżeli w skali potrzeb ludzkich oznaczymy przez zero początek głodu. Bo jak wykazało śledztwo, każdy z nich ma w przecięciu na tydzień

	139·08 uncyj pokarmu lichego,
podczas gdy więzień ma	183·69 „ pokarmu znośnego,
a majtek królewski	187·06 „ pokarmu dobrego.

Nie sądźmy jednak, że tylko w Anglii jest nędza tak przerażająca; nie jest ona mniejsza w innych krajach. Ta tylko różnica zachodzi, że w innych krajach mniej, jak powiedzieliśmy, dokładnie ją zbadano, a ztąd mamy o niej mniej szczegółów. Mimo to mamy wystarczające dane, aby z pewnem prawdopodobieństwem wyobrazić sobie położenie klas roboczych w Europie. Wiemy, że w r. 1860 było we Francji mieszkań wiejskich 346.000 bez okien, a 1,817.328 o jednym oknie. Licząc pięć dusz na jedno mieszkanie, otrzymamy trzecią część narodu francuzkiego, t. j. przeszło *dziesięć* milionów żyjących pod względem mieszkań w nędzy niesłychanej. A żołądki ich nie były skazane na niedostatek lżejszy, skoro baron *Morogues* obliczył, że w jego ojczyźnie siedm i pół miliona ludzi ma tylko po 91 fr. utrzymania *rocznego*, t. j. około 36 złr.

Gdyby nam zarzucono, że Anglia i Francya zostają w stosunkach wyjątkowych dla zbyt nierównego podziału majątku społecznego, a więc cieszą się nędzą większą od krajów innych, zwrócimy uwagę czytelnika na Prusy, nie dzisiejsze, spieszące

*) A jak te nawet nory poszukiwane są w Anglii, wnosić można z jednego faktu. Od 1851 do 1861 w 821 obwodach liczba mieszkańców wzrosła z każdego 1000 na 1053, podczas gdy przestrzeń zamieszkiwana zmniejszyła się na każde 1000 stóp kubicznych o 45 czyli w ciągu lat 10 liczba mieszkańców wzrosła o $5\frac{1}{3}\%$, a przestrzeń zamieszkiwana zmniejszyła się o $4\frac{1}{2}\%$, któryto nieszczęsny stosunek można uwydatnić jeszcze sposobem następującym: Gdy wyznaczymy mieszkańcomi każdemu 125 stóp kub., widzimy, że w r. 1851 zajmowało 1000 mieszkańców jeszcze 125.000 stóp. kub., a dziesięć lat później 1053 zajmowało tylko 119.375 stóp kub. Nie można wymowniej objaśnić nędzy klas roboczych.

do tegoż rozstroju finansowego, do którego dawno już zaszły Anglia i Francya, lecz na Prusy z r. 1850, z owych czasów patryarchalnych, kiedy fortuny jeszcze były mierne, ich podział dosyć równy, a wymagania skromne. Fryderyk Wilhelm IV był królem dobrym, przezornym, pragnącym polepszyć dolę poddanych swoich. Gdy więc w r. 1848 demokraci bezustannie rozprawiali o ludzie i jego nędzy, król polecił zbadać dokładnie stan roboczej ludności wiejskiej we wszystkich prowincjach. W tym celu berlińskie kolegium ekonomiczne przesłało szereg pytań towarzystwom rolniczym całej monarchii, a te złożyły rezultat spostrzeżeń swoich w 185 dokładnych i sumiennych sprawozdaniach. Z nich to na polecenie ministerstwa prof. *Lengereke* ogłosił wyciąg treściwy w Berlinie 1849 pod tytułem: *kwestya robotników wiejskich* (die ländliche Arbeiterfrage). Podzielił ludność robotniczą wiejską na trzy działy wielkie:

- a) *parobków i sług*, tak po dworach szlacheckich, jak po gospodarstwach chłopskich;
- b) *chałupników*, mających chatę bez gruntów;
- c) *komorników*, nie mających ani chaty nawet, a żyjących z dziennego zarobku.

Obliczył potem, że utrzymanie roczne famili wyrobniczej, złożonej z pięciu głów, kosztowało na rok:

w obwodzie królewieckim	najmniej 109 tal. 29 sgr.
„ „ gąbińskim	„ 85 „ 12 „
„ „ gdańskim	„ 94 „ 18 „
„ „ malborskim	„ 105 „ 12 „
„ „ poznańskim	„ 76 „ 19 „
„ „ bydgoskim	„ 80 „ —
„ „ poczdamskim	„ 94 „ 14 „
„ „ i t. d.	i t. d. i t. d.

Ztąd wypadła przeciętnia utrzymania rocznego na 105 tal. 2 sgr. 9 fen. Ale bardzo mylili się, ktoby przypuszczał, że każda familia z trzech kategoryj wspomnianych miała tę nieodzownie potrzebną sumkę. W istocie mieli ją tylko parobcy i służba, t. j. ludzie pierwszej kategoryi, bynajmniej zaś chałupni-

cy i komornicy. Sprawozdanie bowiem urzędowe wyznaje otwarcie, że nie mają utrzymania całkowitego, a wyznanie to zasługuje tembardziej na uwagę, że mieści się w pracy, obliczonej na ucieszenie krzyków przeciwnych. Dowiadujemy się, że np. w Opolskiem głód i nędza są stałymi gośćmi wśród ludności wiejskiej; komornicy nawet przy niskich cenach zbożowych *nie mogą się wyżywić*, czyli mniej eufemicznie mówiąc: umierają z głodu; chałupnicy zaś są mniej więcej w tem samym położeniu, z wyjątkiem jedynego obwodu lignickiego, gdzie się mają nieco lepiej. O robotnikach nadreńskich czytamy, że *nie mają utrzymania dostatecznego*; o komornikach i chałupnikach powiatu królewieckiego, że *upadają z każdym rokiem bardziej na siłach* przez jedzenie kartofli i nieumiarkowane picie gorzałki. Ogólny zaś rezultat, do którego dochodzi autor, jest następujący: *położenie komorników w monarchii pruskiej jest nędzne i bez podstawy, a położenie chałupników nie jest o wiele lepsze*. Żeby przekonać się, do jak wielkiej liczby odnosi się to wypowiedzenie, trzeba zestawić liczby trzech kategorii:

a) parobków i służby stałej było wraz z rodzinami	903.181
b) chałupników	7.337.200
c) komorników	3.745.865

Z czego pokazuje się, że z wiejskiej ludności robotniczej *nie spełna milion* miał utrzymanie zabezpieczone i wystarczające, *a przeszło jedenaście milionów*, wedle sprawozdania, „*nie dochodziło do późnej starości dla pracy nad miarę, dla stawy niedostatecznej i dla trósk o utrzymanie; przeszło jedenaście milionów ludzi nie mogło przy ciągłej pracy zarobić tyle, aby siebie i swoich nakarmić dostatecznie; przeszło jedenaście milionów ludzi wiodło życie nędzne, bez podstawy materialnej.*“

Dopóki trwać będą stosunki takie, nie można się dziwić, że powstawać będą przywódcy i agitatorowie, nieraz ambitni to prawda, ale nieraz także szlachetni, którzy nie mogąc dłużej zatamować w piersiach oburzenia swego, wołają, jak niegdyś Grachowie: „*trzody mają obory swoje i każdy zwierz domowy ma legowisko swoje, a ludzie, którzy walczą i umierają za ojczyznę, nic nie mają, nic zgola, prócz światła i powietrza; walczą i umierają za zbytek obcy i za bogactwa obce.*“

I czyż dalej można się dziwić, że słowa podobne znajdują zawsze chętnych słuchaczy i że głodni wszyscy staną za tym, który im przyrzecze stół dobrze zastawiony? Tak być musi, owszem dziwiłoby się należało, gdyby było inaczej. Gdzie przyczyzna, tam muszą być skutki. Nie chcemyż skutków? odsuńmy przyczynę! Dopóki będzie nędza, będą socjaliści i agitacye robotników. Nie chcemyż jednych ni drugich? usuńmy nędzę, a zwolna znikną i skutki, będące tej nędzy nierozłącznym towarzystwem!

Ale powie tu niejeden: *co za utopia, chcieć usunąć nędzę!* Wszak nędza będzie zawsze, nikt jej nie potrafi usunąć, a przewrotność socjalistów pokazuje się w tem właśnie, że wiedząc o tem niepodobieństwie, mimo to łudzą adeptów łatwowiernych obietnicą kłamliwą. Ta uwaga jest w części słuszną, bo w istocie nawet przy najszlachetniejszych wysileniach klas zamożnych zostanie dosyć nędzy i większość ludzi będzie zawsze pożywała chleb swój w pocie czoła. „*Ubogie zawsze z sobą macie,*“ powiedział Chrystus Pan uczniom swoim. Czyż jednak ztąd wynika, że nie można zmniejszyć nędzy lub sprowadzić jej do rozmiarów drobnych i znośnych? czyż wolno utrzymywać, że socjaliści znajdują przystęp również łatwy, jak teraz, do mas robotniczych, gdy te przekonają się, że tak rządy jak klasy majątne pracują usilnie nad poprawą ich doli? Czyż nareszcie rządy nowożytne zrobiły coś poważnego w tej kwestyi, a jeżeli nie nie zrobiły, czyż tem samem nie odstąpiły przywileju tego socjalistom? Wszak same uczucie ludzkości wymaga, aby się ktoś zajął tą sprawą. — Wracam przeto do założenia i przyznaję, że zupełne usunięcie nędzy jest utopią, ale też zrealizowania tej utopii nie potrzeba wcale dla usunięcia socjalizmu; dosyć jest zając się szczerze polepszeniem bytu klas uboższych, a to jest w mocy państwa i nie jest utopią żadną. Państwa jednak nowożytne nietylko nie nie robią dla klas roboczych, lecz przeciwnie, z wiedzą lub bezwiednie, z każdym rokiem pogarszając ich położenie, dostarczają nowych adherentów socjalistom. Bo i czyż system podatkowy, przyjęty przez te państwa, *nie dąży mimowolnie do zupełnej ruiny klas mniej zamożnych* i do utworzenia pauperyzmu? Ażeby zarzut ten nie wydawał się przesadzonym lub niesłusznym, muszę nad nim zatrzymać się dłużej.

VI. Socjalizm i podatki.

Trudno uwierzyć na spojrzanie pierwsze, że państwo, dane ludzom przez Opatrzność jako narzędzie do spełnienia myśle Bożej tu na ziemi i jako środek pomocniczy do osiągnięcia celów nadziemskich, w nowszych czasach przeniewierzyło się zadaniu swemu do tego stopnia, że zamiast służyć wszystkim, służy tylko małej liczbie, i zamiast dać wszystkim zaopatrzenie, potrzebne do pielgrzymki ziemskiej, poświęca niezmierną a niezamozną większość podwładnych swoich małej liczbie kapitalistów. Wskutek tego tamci są wyzyskiwani niemiłosiernie, a ci tuezają się kosztem tamtych. I tak musiało przyjść koniecznie. Odkąd we wszystkich prawie krajach Europy majestat królewski, odarty z powagi nietykalnej musiał najprzedniejszych atrybucyj swoich odstąpić parlamentom wybieranym czy wedle podatków płaconych, czy głosowaniem wszystkich „obywateli,” dostaliśmy się pod panowanie *Plutosa*, a trudno nie widzieć, że plutokracja jest najgorszą z wszystkich form rządu, bo najmniej ma serca. Interes kupiecki jest jej bodźcem głównym, a strata lub zysk jedyne pobudki jej działania. Ludzie są dla niej liczbami wyrażającymi ich majątek lub siłę przedsiębiorczą; gdy nie mają ani pierwszego ani drugiej, spadają niżej zera i nie wchodzą w rachubę. Ztąd w budżecie wojskowym koń znaczy więcej od żołnierza, bo pierwszy kosztuje, a drugiego można mieć zadarmo. To też oszczędzają konie bardziej od ludzi, w czem minister parlamentarny, zmuszony rachować się z komisją budżetową, postępuje logicznie. I nie jest to wszystko satyra na rządy nowoczesne, ale prawda rzeczywista. Rozumie się, że głośno się tego nie mówi, nie wyznaje, niemniej przeto robi się powszechnie pocichu.

Nie dziwny się zatem, że kapitaliści, przemysłowcy, bankierowie, gdy opanują władzę, rozkładają dochody i rozchody państwa w sposób dla siebie najkorzystniejszy, a najuczciwszy dla innych. Jak reszta śmiertelników, tak i oni mówią: *prima caritas ab ego*. Biorąc więc korzyść własną za punkt wyjścia, ułożyli system podatkowy, prawie wcale nieznany we wiekach średnich, a dzisiaj rozwinięty z bezprzykładną, rzekłbym nawet

cyniczną obojętnością na losy bliźniego. Charakter tego systemu zamyka się w dwóch słowach: *podatki pośrednie*. Można powiedzieć bez przesady, że one są jednym z głównych źródeł socjalizmu nowożytnego. Dostyc bowiem przypatrzeć się rozwojowi państw europejskich, aby odrazu spostrzedz fenomen zadziwiający, że im bardziej warstwy finansowe dostawały się do władzy, tem szybciej rosły w narodach z jednej strony podatki pośrednie a z drugiej nędza społeczna.

W wiekach średnich państwa pobierały znaczniejszą część stałych dochodów swoich z dóbr ziemskich i tylko w razie potrzeby naglącej rozpisywały coś podobnego do podatków naszych, jakieś ofiary lub składki czy pieniądze, czy *in natura*, ale i te nawet podatki były prawie zawsze *bezpośrednie, dochodowe*. Jeżeli zaś w razach wyjątkowych spadały na przedmioty potrzebne do życia, na towary niezbędne, nakładano je na czas krótki, a że mimo to obudzały wnet niechęć powszechną, przeto nie zdołały nigdzie zamienić się w system stały i kompletny. I tak, że z wielu przykładów choć parę przytoczę, w roku 1147 król francuzki *Ludwik Młody* potrzebuje pieniędzy. Cóż na to stany? Czyż nakładają podatek na chleb lub wino, lub sól lub mięso, lub inne tego rodzaju przedmioty niezbędne, które dzisiaj przynoszą sumy bajeczne, bo obciążone akcyzą, z krzywdą ubogich? Nikt nawet o tem nie myślał, lecz wychodząc ze zasady chrześcijańskiej, że należy się królowi dań tylko z mienia, stany zezwalają na pobór dwudziestego grosza, czyli, co na jedno wychodzi, na pięcioprocentowy podatek majątkowy. W roku 1302 *Filip Piękny* potrzebuje pieniędzy, a stany przychyliwszy się do jego żądania, wkładają na kraj podatek dochodowy i to *dwadzieściaprocentowy*, na co żaden dzisiaj parlament liberalny nie odważy się doprawdy. Nareszcie za *Jana Dobrego* w r. 1350 znowu zjawia się podatek dochodowy czteroprocentowy, płacony przez wszystkich mieszkańców, od książąt krwi aż do wyrobników. Nigdzie zaś nie widać podatków konsumcyjnych, chyba chwilowo, w pewnych miejscach, dla jakiejś potrzeby wyjątkowej.

Dopiero po westfalskim pokoju za inicjatywą Holendrów zjawiają się podatki konsumcyjne, najprzód jako próby nieśmiałe w Kolonii, Brunświku oraz innych miejscach, potem już jako całkowity system biurokratyczny w Saksonii 1707 r., gdzie nie tylko pokarmy, lecz nawet obuwie wszelkie podciągnięto pod ak-

cyzę. Niebawem zyskały one popularność wielką; bo dla niezmiernej ilości przedmiotów zużywanych dostarczały dochodów olbrzymich. Co zaś ważniejsza, to, że dla bogatych mało lub wcale nieuciążliwe, wydawały się one nawet biednym zupełnie niewinnymi w pierwszej chwili i ztąd nie obudzały wstępu towarzyszącego podatkowi bezpośredniemu, płaconym w czasach stałych gotówką brzęczącą. Jednakże widoczna, że wszystkie tego rodzaju pobory są *zamaskowanem pogłównem*, ciężącym na tych warstwach, które dla liczby swojej konsumuje najwięcej, a temi są właśnie warstwy biedne. Spostrzegł to już w r. 1760 jeden z najdawniejszych ekonomistów angielskich, *James Stewart*, kiedy różnicę między monarchią absolutną a rządem konstytucyjnym w tem właśnie upatruje, że w pierwszej płacą podatek ludzie bogaci a w drugiej ludzie ubodzy.

Gdyby ta powaga wydała się zbyt odległą a tem samem zbyt zacofaną, można przytoczyć nowszą sławnego *Saya*, profesora ekonomii politycznej za *Ludwika Filipa*, a doprawdy niepodejrzanego o sympatyje dla socjalistów. Powiada on o podatkach pośrednich, co następuje:

„Podatek włożony na konsumpcję stosuje się zawsze do ilości przedmiotów spożywanych. Jednakże ilość ta nie rośnie w miarę, jak się powiększa majątek, a ztąd wynika, że podatki tego rodzaju, mające znaczenie pierwszorzędne w państwach mocno opodatkowanych (a któreż państwo nie należy do nich dzisiaj!) ciężą tem bardziej, im większa jest niezamożność kontrybuentów. W istocie bogacz z dochodem rocznym 300.000 fr. choć jest trzysta razy bogatszy od mającego tylko 1000 fr. dochodu, nie spożywa jednak trzysta razy więcej cukru lub wina. Ztąd pochodzi, że *podatek pośredni jest na odwrót podatkiem stopniowanym dla majątków małych* t. j. im mniejsze majątki, tem większe z nich płacą się podatki.“

W jednym nareszcie z najnowszych podręczników ekonomicznych prof. *Raua* w Heidelbergu czytamy: „Podatek na przedmioty potrzebne do życia n. p. kartofle, zboże, drzewo, płótno i t. d. bardzo jest intratny i wydaje mniej więcej ten sam skutek, co *pogłowne*, bo każdy kontrybuent płaci go według liczby domowników swoich, ale przez to obraża zasadę, że podatki płacą się w miarę zamożności.“

Jeżeli tak sądzą ekonomiści najslawniejsi, czyż można socyalistom wziąć za złe, że *domagają się podatków pośrednich*? Bez wątpienia sposób, w jaki to czynią, jest niewłaściwy, jednostronny, namiętny, ale mają słuszność w rzeczy samej i zamiast na gniew, zasługują o tyle na wdzięczność szczerą. Poczytuję *Lassallowi* za prawdziwą zasługę, że występował gorąco i wytrwale przeciw opodatkowaniu nowożytnemu i gromadząc to, co nauka polityczna wyrzekła w tej sprawie, starał się ludowi odsłonić jedno z głównych źródeł jego nędzy a bogatym obowiązek zaradzenia złemu. Obrawszy za przedmiot badań swoich statystykę pruską z roku 1855, podającą dochody państwa na 108.930.000 tal., wykazał, że na tę sumę wpłynęło

z dóbr i lasów rządowych tylko	12.000.000 tal.
z podatków bezpośrednich t. j.	
klasycznego i dochodowego	
drugie	12.800.000 „
pozostałych zaś	84.000.000 „

pochodziło z podatków pośrednich, do których zaliczył także podatek gruntowy w ilości 10 milionów a profesyjny w ilości 3 milionów, i to polegając na zdaniu najslawniejszych ekonomistów, twierdzących, że dwa te podatki pozornie płacone są przez producentów a w istocie ponoszone są przez konsumentów: pierwsi zaliczają je kasom państwa a drudzy przy kupnie towarów wracają je wraz z procentem należytym.

Liczby te same w sobie nie wiele mówią, bo i cóż z tego, zawoła niejeden, że państwo ciągnie cztery piąte dochodów swoich z podatków pośrednich? Jednakże poczucie serca szlachetnego ostrzedz powinno odrazu, że tę sumę kolosalną płacą konsumenci, a ponieważ jest niezmierna większość konsumentów ubogich, przeto nie bogaci, lecz biedni ponoszą ciężar tych sum olbrzymich. Taka niesprawiedliwość czemuż nie oburza? A to poczucie niewyraźne, nieświadome zamieni się w pojęcie jasne i świadome, gdy zestawimy dochody poddanych z powyższym wykazem dochodów państwa, trzymając się wiernie *Lassalla*, bo trudno znaleźć pod tym względem przewodnika lepszego. W roku 1854 na *siedmnaście przeszło milionów* mieszkańców było w Prusiech:

	kontrybentów		rocznego dochodu
	44,407	mających nad	1000 tal.
z pomiędzy tych	11,400	„ „	2000 „
z pomiędzy tych	3,340	„ „	4000 „

Kto nie ma 1000 tal. na rok, tego trudno nazwać zamożnym, zwłaszcza w czasach naszych, gdzie pieniądz coraz bardziej traci na wartości. A więc tylko 44.407 kontrybentów, wśród których pewna liczba oczywiście jest bezżenna, zatem ledwo jakie 150,000 dusz żyje w zamożności, a ci z pewnością nie płacą owych 97 milionów podatków pośrednich i bezpośrednich. W takim bowiem razie każdy z nich musiałby płacić na rok 2186 tal., a słyszeliśmy, że tylko 11,400 z nich ma dochód większy od 2000 tal. Jestto zatem czyste niepodobieństwo. Ale nawet nie płacą dziesiątej części z tak ogromnej sumy, jak wykazać można sposobem następującym: Suma ogólna przypadająca na nich, wynosiłaby 9.705,840 tal., musiałby przeto każdy z nich płacić 218 tal. Gdy jednak ustawa pruska nie pozwala, aby podatek dochodowy przynosił 3% a na opędzenie podatków pośrednich doliczymy jeszcze jakie 7% z dochodów, co zresztą jest czysto dowolnem, a nawet przesadnem przypuszczaniem z naszej strony, każdy przeto kontrybent powinien mieć przynajmniej 2180 tal. dochodu, a już przekonaliśmy się, że z nich tylko 11,400 ma nad 2000 tal. dochodn. Bogaci więc w monarchii pruskiej nie płacili nawet dziesiątej części podatków rocznych.

Potrzebaby przejść tablice podatkowe państwa pruskiego, aby się przekonać, że biedna część narodu płaci nawet więcej podatków bezpośrednich, aniżeli część zamożna, *Lassalle* obliczył, że na sto talarów *podatku bezpośredniego* klasa zamożna płaci tylko 30 tal. a klasy ubogie 70 tal.; jednak przy rozkładzie tego podatku panuje jeszcze do pewnego stopnia sprawiedliwość. Cóż się więc stanie przy *podatkach pośrednich*, mających charakter pogłównego zdaniem ekonomistów najstawniejszych? Wszak tam już każdy składa haracz swój nie w miarę dochodów, lecz w miarę konsumeyi. Można tego dowieść za pomocą łatwego obliczenia, którego rezultat przeraża doprawdy.

Ludność Prus wynosiła w r. 1858 dusz 17,739,913; z pomiędzy nich kontrybentów, mających dochód roczny wyższy nad 650 tal., było 98,269. Dając każdemu z nich rodzinę z pięć

głów złożoną, oczywiście liczymy za wysoko, bo daleko więcej bezzennych w klasach zamożnych, a dzieci daleko mniej, aniżeli w klasach ubogich. Jednakże posuńmy przesadę do zbytku i przyjmijmy na tę klasę pół miliona dusz, to zostanie ubogich przeszło siedemnaście milionów. Skoro więc podatki pośrednie rozkładają się jakoby pogłównie, przypadnie na bogatych co najmniej trzy miliony, a na ubogich aż osmdziesiąt jeden milionów. Czyż to nie przerażająco? A z czego płaci się ten podatek? Ze zboża, mięsa, wódki, soli, słowem z przedmiotów, niezbędnych do życia.

Zanim pójdziemy dalej, wypada tu odeprzeć zarzut, niegdyś zrobiony Lassalowi przez prokuratora, a powtarzany uporczywie przez obrońców podatku pośredniego, że przecież klasy zamożne opłacają drogo przedmioty zbytkowe, których ludzie ubodzy nie mogą sobie pozwalać. Odpowiemy, że tego rodzaju podatek opłacany wyłącznie przez bogatych, tak jest homeopatycznie mały, że w budżecie dochodów rocznych ginie jak kropla w morzu. Nie mając pod ręką dat szczegółowych dla Prus, bo statystyka odnośna obejmuje cały Zollverein, znam jednak niektóre dane o konsumpcji zbytkownej klas wyższych, rzucające wiele światła na dochody ztąd wynikające. I tak n. p.:

w r. 1831 od czekolady wprowadzonej do Prus,	
zapłacono	32,500 tal.
w r. 1854 od ryb morskich i ostryg do całego	
Zollvereinu	13,000 „
w r. 1855 od szampana, sprowadzonego do Berlina	37,220 „
w r. 1855 od win zagranicznych i krajowych zapła-	
ciono cła wedle obliczeń Hübnera na Prusy	806,754 „
w r. 1855 od surowego jedwabiu i wyrobów je-	
dwabnych zapłacono w Prusiech około . . .	236,625 „
<hr/>	
Co wszystko razem czyni na karb ludzi zamożnych	
to jest owych 98,269 kontrybuentów, mają-	
cych więcej nad 650 tal.	1,088,879 „

Otóż niemal i wszystko, co państwo ciągnie z przedmiotów, używają h prawie wyłącznie przez klasy zamożne. A teraz przyjrzyjmy się dochodom z towarów, spożywanych wyłącznie lub przeważnie w klasach uboższych, n. p. wódka. Ludzie majątni nie używają jej wcale lub bardzo mało; za to lud obywa się bez niej

z trudnością choć dzień jeden. Cóż więc konsumpcya wódki przynosi państwu pruskiemu? Tajny radca *Dieterici* odpowiada, że podatek z niej w r. 1855 aż 5.809,000 tal. Odrąciwszy od tej sumy opłatę z wódki, wywożonej zagranicę, zostaje jakie 5 milionów tal. na konsumowaną w kraju. Kogóż ta dysproporcya nie uderzy? Podczas gdy ludzie majątni przez spożywanie ostryg dostarczyli państwu tylko 13,000 tal., klasa uboga za wypicie wódki zapłaciła aż *pięć milionów*.

Lub weźmy dochód z podatku gruntowego. Właściciele ponoszą go pozornie tylko, odbijając go na konsumentach, jak właściciel kamienicy odbija na lokatorach podatek z okien. Ztąd ekonomiści, przynajmniej znakomitsi, słusznie uważają podatek gruntowy za pogłówny, ciężący na wszystkich. Na takie pojmowanie podatku gruntowego nie zupełnie zgadza się *Lassalle*, bo im kto bogatszy, ten mniej potrzebuje chleba, podczas gdy biedniejsze warstwy narodu n. p. we Włoszech, prawie chlebem żyją. Podatek gruntowy jest przeto gorszy nawet od pogłównego, bo im kto biedniejszy, ten więcej go składa. Można jednak nie pójść za *Lassallem* i przestać na owym lżejszym daleko sądzie ekonomistów a i wtedy jeszcze klasy majątne płacą cząstkę do prawdy mikroskopijną. I tak w roku 1854 podatek gruntowy wynosił w Prusiech 10.084,182 tal. Uważając go za pogłówny, jak to czyni prof. *Rau*, widzimy, że ludzie mający więcej nad 650 tal. dochodu, czyli 98.269 kontrybuentów (przedstawiających *co najwięcej pół miliona dusz*) zapłaciło 279,200 tal. podczas gdy *siedemnaście milionów niezamożnych kontrybuentów* zapłaciło 9.800,000 tal.

Tak samo podatek z kawy, cukru, tytoniu, soli znaczne przynosi zyski skarbowi publicznemu, ponieważ towary te używane są przez ubogich, a zwiększyć podatki na nich jest to samo, co zabronić ich klasom ubogim. Jaka jest uderzająca różnica pomiędzy konsumpcją bogatych, a konsumpcją ubogich przy każdym z tych towarów, pokazuje przykład tytoniu. Klasy wyższe palą cygara przywiezione choćby z Bremy, klasy uboższe przestają na cygarach robionych w kraju z liści krajowych czy zagranicznych. Otóż podatek tytoniowy z r. 1854 tak się rozkłada:

cała z cygar przywiezionych	122,574 tal.
„ z liści krajowych lub zagranicznych	1,551,155 „

czyli każde sto talarów podatku z tytoniu zawiera 7,35 tal. płaconych przez bogatych, a 92,65 tal. płaconych przez ubóstwo.

To wszystko prawda, ale niczego nie dowodzi, zawoła czytelnik zniecierpliwiony, bo jest zupełnie w porządku, aby mała liczba rodzin majątnych płaciła razem mniej podatku, od bardzo wielkiej liczby rodzin ubogich, mogących wspólnym dochodem swoim przewyższać dochód bogatych. To nawet nie powinno być inaczej. Ażeby więc osądzić, czy krzywda jaka dzieje się ubogim, trzeba by wprzód wiedzieć, ile wynosi dochód ogólny klas niższych a ile klas wyższych i czy nie ma proporcji między sumą tych dochodów a sumą podatków. Bo dajmy n. p. na to, że trzy miliony rodzin ma w przecięciu po 300 talarów, to suma ich dochodów rocznych wynosi *dziewięć set milionów*, podczas gdy 90,000 rodzin z dochodem tysiąca talarów ma tylko razem *dziewięćdziesiąt milionów*. Rzecz więc prosta, że ich podatki pośrednie około dziewięć razy mniej przyniosą, i skala nie zdaje się być fałszywą; przeciwnie zdaje się nawet być ułożona ze szkodą majątnych, bo płacą daleko więcej w proporcji do wspólnej sumy dochodów, aniżeli ubodzy. W taki sposób możnaby wyrazić zarzut przeciw liczbom powyższym, ale nie jest on bardzo straszny. Bo naprzd nie chodzi wcale o to, żeby klasy uboższe (to jest niezmierna większość narodu) nie płaciły wcale podatków lub żeby koniecznie płaciły mniej od bogatych, lecz żeby podatki rozłożono według możności każdego, a nie według ogólnej sumy dochodów całej klasy. Potem zarzut ten potwierdza to, co mówią socjaliści, że państwo nie należy do bogatych, *lecz jest ogromną asocjacją ubogich*. Oni przeto powinni rządzić państwem nowożytnem, w które'n prawa polityczne nie są już przywiązane do pochodzenia, do zasług, do zdolności, lecz do *pieniędzy*. Słuszna więc, żeby ogromna większość poddanych, będąca w posiadaniu większości dochodów społecznych, radziła o sobie i stanowiła samodzielnie o wszystkim. Nareszcie wyżej przytoczone zdania znakomitszych ekonomistów są odpowiedzią dostateczną na zarzut zrobiony. Bo jeżeli każdy podatek pośredni jest co najmniej pogłównem, oczywista, że zupełnie inaczej czuje go biedak z 50 tal. dochodu, a inaczej majątny człowiek z pięćdziesięcym dochodem. Możemy to n. p. wykazać na soli, którą wszyscy potrzebują. W Prusiech w r. 1855 istniał je-

szcze monopol soli i sprzedaż jej przyniosła	8,302,924 tal.
dodawszy do tego kosztu produkeyi	1,190,583 tal.
zatem ludność pruska (17½ milion.) wydała na sól 9,493,507 tal.	

Nie powinniśmy porównać tej sumy z ogólną sumą dochodów wszystkich kontrybuentów, lecz zapytać się, ile człowiek jeden lub familia jedna potrzebuje soli na rok cały? Tym tylko sposobem potrafiemy osądzić, czy monopol soli bardziej cięży na bogatych, czy na ubogich. Na to zapytanie mamy szczęściem odpowiedź bardzo dokładną w książce p. *Lengerkego*, o której wspomniałem wyżej. Dowiedzieliśmy się z niej, że według sprawozdań urzędowych utrzymanie familii wyrobniczej z 5 głów złożonej wynosiła w r. 1849 przynajmniej w obwodach:

królewieckim	109 tal. 29 sr.	a z tych poszło na sól	3 tal. 14 sr.
gąbińskim	85 " 12 "	" " " "	3 " 21 "
gdańskim	94 " 18 "	" " " "	3 " 17 "
	i t. d.		i t. d.

Z tych liczb pokazuje się naocznie, że im mniejsze dochody, tym większy stawa się budżet soli, a łatwo da się rozumieć, dlaczego. Pokarmy bowiem im są soczystsze i pożywniejsze, tem więcej zawierają soli w stanie rozpuszczonym n. p. mięso lub mléko, przeciwnie im pokarm jaki jest grubszy, im mniej pożywny, tem więcej potrzeba im dodać soli, aby nabrał smaku i tęgości ułudnej; ztąd sól jest prawie jedyną okrasą ludzi ubogich. Zaś familie majątne, mogące pozwolić sobie tyle przypraw różnorodnych, soli potrzebują daleko mniej, tak, iż ta potrzeba w rodzinie z 5 głów złożonej nie przenosi 1½ tal. na rok. Mała ta sumka przy dochodzie 1000 tal. stanowi tylko ⅓ procentu z całego dochodu, podczas gdy familia wyrobnicza, potrzebując na rok w przecięciu 105 tal. 2 sr. 9 fen., wydaje na sól 2 tal. 22 sr. 6 fen. to jest blisko 3 procent dochodów swoich. Jakże więc nierówniejszy ciężar i prawie nad siły swoje ponosi ona? Gdyby bogata owa z tysiącem talarów wydawała tę samą kwotę na sól, co uboga, jużby ponosiła ciężar dziesięć razy lżejszy, a ta nie wydaje nawet połowy tego. Jest to przykład wymowny, przekonywujący, jak mało ciężą podatki pośrednie na bogatych, a jak bardzo na ubogich.

I nie jest to położenie wyjątkowe kraju jednego, to jest stan powszechny całej Europy, a jeżeli przed dziesięciu laty *Lassalle* słusznie nań powstawał, od tego czasu nietylko nie poprawił się, lecz pogorszył znacznie. Dwie wojny wielkie zniszczyły mnóstwo majątków prywatnych i publicznych, pomnożyły dług Europy o sporą liczbę miliardów, pociągnęły za sobą nowe zwiększenie sił zbrojnych i zasobów wojennych we wszystkich państwach Europy, a za tem poszły nowe podatki pośrednie i nowe obciążenie klas ubogich. I w istocie wszystkie budżety państw nowożytnych uderzają wielką dysproporcją między pośrednimi a bezpośrednimi podatkami. Budżet na przykład Cislitawii na rok 1872 wynosił 357,828,240 zhr. Ta suma imponująca płynie z trzech głównych źródeł:

I. podatki bezpośrednie	84,158,000 zhr.
II. podatki pośrednie	201,225,500 zhr.
III. dobra i przedsiębiorstwa rządowe przyniosły	28,026.486 zhr.
nareszcie IV. Różne dochody i zaległości . .	44,418,254 zhr.

Gdy ten rozkład urzędowy ugrupowany bardzo starannie rozważymy dokładniej, niejedno w nim zastanawia, a zwłaszcza ten szczegół, że podatki pośrednie stanowią większą połowę wszystkich dochodów. Już to samo pokazuje według powyższych dowodzeń, że budżet państwowy inaczej ciąży na małej liczbie ludzi bogatych, a inaczej na ogromnej większości ludzi ubogich. Ale niezapominajmy, że budżet ten został ułożony według metody urzędników, dbałych o wrażenie estetyczne na umysłach *Reichsratu* i tym tylko powodem uniewinnia się i tłumaczy, że pod rubryką podatków bezpośrednich czytamy dochody, które tam w żaden sposób zostać nie powinny, bo n. p. podatek gruntowy, choć nominalnie płacony przez właścicieli, jest jednak zdaniem ekonomistów najpoważniejszych niczym innym, jeno podatkiem na płody ziemskie i płacony bywa przez konsumentów, to jest przez lud; tak samo podatek domowy płaci się przez lokatorów, to jest znowu prze-ważnie przez lud, tak samo podatek od nabywania nieruchomości rzeczywiście płać lokatorowie lub konsumenci. Wskutek tego proponowałbym w budżecie powyższym odciąć cyfry następujące od podatków bezpośrednich:

a) podatek gruntowy	36,800,000 zhr.
b) „ domowy	20,000,000 zhr.
c) „ od nabywania nieruchomości	8,600,000 zhr.
razem .	<u>65,400,000 zhr.</u>

Całą tę sumę trzeba podciągnąć pod podatki pośrednie. Także pod rubryką III znajduje się dosyć znaczna niedokładność. Widzę tam

dochód z poczty w ilości .	13,510,000 zhr.
„ z telegrafów w ilości	2,600,000 zhr.
razem . .	<u>16,110,000 zhr.</u>

Jednakże i ta suma należy do podatków pośrednich, a gdyby kto zarzucił, że klasy uboższe mało piszą listów a nigdy prawie nie używają telegrafu, to mimo to w części przynajmniej do nich się przyczyniają, bo każdy kupiec, fabrykant, właściciel gruntów lub domu doliczy wydatek roczny na korespondencję do ceny swoich towarów i stara się odbić na konsumentach. Podejrzynam nareszcie, że pod ogólnym napisem *dochodów rozmaitych i zaległości* jeszcze ukrywa się mnóstwo podatków pośrednich n. p. dochody z kosztów sądowych i t. p., które najoczywiściej bywają płacone przez publiczność. Po tych uwagach sądzę, że wspomniany budżet Cislitawii powinien być ułożony jak następuje:

I. podatki bezpośrednie	18,758,000 zhr.
II. podatki pośrednie	282,735,500 „
III. dochody z dóbr rząd.	11,916,486 „
IV. dochody różne	44,418,254 „
razem	<u>357,828,240 „</u>

czyli każde 357 zhr. dochodów zawiera w sobie 282 zhr. podatków pośrednich a tylko 75 bezpośrednich, to jest, że z każdego 100 zhr. dochodów publicznych *mniej więcej 79 pochodzi z podatków pośrednich, a tylko 21 z bezpośrednich.*

Ale dosyć już mamy liczb. Choćbyśmy przytoczył jeszcze więcej, czytelnik nie dowiedziałby się i tak nic nowego, bo wszystkie rządy postępowe w systemie podatkowym podobne do siebie jak bliźnięta; wszędzie to same gospodarstwo, oparte na wyciąganiu jak najwięcej grosza z kieszeni biednych. Dokąd wiedzie nas system taki? Odpowiedź łatwa, że do zupełnego

zubożenia ogromnej większości narodu a coraz większego zubożenia małej liczby wybranych, zatem, do nieładu. Ale nieład społeczny pociąga za sobą niechybnie bujny wzrost socjalizmu, o czym nie pamiętają wcale parlamenta nowożytnie, inaczej uradziłyby jaki krok stanowczy do przywrócenia zwichniętego ładu społecznego i ulżenia ludowi. Niestety posłowie rozprawiają o doli ludu tylko w odezwach przedwyborczych a potem zapominają o nim regularnie przez cały ciąg sesyi, raczej tem zajęci, aby nakładać nań coraz nowe ciężary. Ministrowie bez litości domagają się z rokiem każdym więcej pieniędzy, a posłowie przyzwalają, jak gdyby lud nie był jeszcze dosyć opadł na siłach, ani zanurzony dość głęboko w nędzy lub nie umierał literalnie z głodu, jak tego roku we Włoszech. Nawet w nowem imperyum niemieckiem, gdzie słusznie spodziewano się redukcji podatków po kolosalnym haraczu wydartym Francyi, zmuszony będzie parlament do podwyższenia podatków, skoro tak niebaczenie zezwolił temi dniami na żądane przez cesarza 410,000 stałego żołnierza. Przyszłość doprawdy ponura!

Słusznie przeto, żebyśmy na tem miejscu naprzeciw parlamentom, ubiegającym się w uciskaniu ludu, podnieśli pamięć monarchy, który jeden może z nowożytnych troszczył się na seryo o dolę swego ludu, a tym monarchą był Fryderyk Wilhelm IV. Usiłowanie jego, aby zastąpić podatki pośrednie proporcjonalnem obciążeniem dochodów, będzie na zawsze dowodem serca szlachetnego, wyrzutem ostrym dla egoistycznych panujących z potępieniem „przedstawicieli“ narodu, których nierozum zniweczył zamiar najpiękniejszy. Nareszcie krok ten króla pruskiego i żąd inąd ważny jest, bo potwierdza w zupełności to, co mówią socjaliści o położeniu klas ubogich, a głos to najpoważniejszy, głos monarchy, znającego dobrze finansowy stan kraju, cenna instrukcja, którą każdy poseł sumienny powinien mieć w pamięci bezustannie.

W r. 1849 pod dniem 21 września przesłał król obu izbom manifest treści następującej: „Teraźniejsze stosunki społeczne powinny być wzięte pod uwagę o tyle, aby ludność uboższa została uwolnioną od ciężarów nie zostających w żadnej proporcji do jej mienia, a ubytek w dochodach państwa ztąd powstający, aby był włożony na tych, którzy w miarę korzyści ciągniętej z państwa i w miarę mienia swego nie dosyć przejęli

na siebie z ciężarów publicznych. Nareszcie potrzeba przyjąć w naszym systemie finansowym zasadę, która przekona lud o sprawiedliwym i bezstronnem rozdzieleniu podatków.“

Złote słowa! tem bardziej godne podziwienia, że król Fryderyk Wilhelm IV nie był otoczony podówczas ministrami postępowymi i przydywował *Manteuffel*, okrzyczany *Manteuffel*! Czyż jakiegokolwiek ministerstwo liberalne na lądzie stałym wystąpiło z podobnem poselstwem od panującego do narodu? — Posłuchajmy dalej!

Król uniewinnia się, że ten jego krok pierwszy zostaje daleko za nadziejami, jakie pokładano w nowej reformie społecznej, bo nie może wyrzucić odrazu systemu starodawnego. Przyrzeka jednak, że ustaną z czasem *wszystkie podatki pośrednie* a zanim to nastąpi, proponuje zniesienie akcyzy od chleba i mięsa; „*gdyż przeciąża człowieka biednego a oszczędza bogatego!*“ I dowodzi tego przykładem. Familia robotnicza z pięciu głów złożona, zjada na rok dziesięć cetnarów żyta a przynajmniej 6 funtów wieprzowiny na tydzień, jeżeli nie podupała jeszcze zupełnie. Płaci zatem rocznie

podatku od 10 cetnarów żyta mielonego	2 tal. 15 sr.
„ od 312 funtów wieprzowiny	4 „ 7 „
razem	6 „ 22 „

Podatek bardzo wysoki, gdy zważymy na szczupłe dochody wyrobnika, gdy zważymy dalej, że wydaje przynajmniej 3 tal. rocznie na sól, a prócz tego potrzebuje wódki, tytoniu i t. d., za co znowu płaci podatki. Król przeto domaga się, aby zastąpiono akcyzę uciążliwą podwyższeniem podatku dochodowego dla bogatych a umiarkowanym podatkiem klasycznym dla ubogich. Według projektu królewskiego taż rodzina płaciłaby tylko 1 tal. 15 sr. rocznie, miałyby więc ulgę znakomitą, oszczędzając 5 tal. 7 sr. I prowadzi król dalej uwagi swoje: „O ileż twardszy jest stosunek ten w rzeczywistości, o ile cięższy, gdy zważymy, że *człowiek majątny nie przyczynia się do tych podatków w miarę odpowiednią jego zamożności i że daleko mniej od ubogiego dźwiga ciężary państwa.*“

Miejmy zawsze przed oczami, że to są słowa króla do reprezentacyi narodu, oględne, życzliwe, zostawiające wiele domysłów ludziom honorowym. Czyż można dobitniej napiętnować

podatek pośredni, nie przekraczając jednak form przyzwitości, jak oświadczeniem: że *ubogi jest przeciążony, że bogaty ponosi mniej ciężarów publicznych od niego*¹⁾. Mimo prawdy tak oczywistej słowa królewskie, delikatne i szachetne, nie przekonały nikogo; w izbie niższej projekt przeszedł od biedy, w izbie wyższej upadł pod ogromną większością głosów przeciwnych. Król cofnął go ze smutkiem i wszystko zostało po dawnemu; cóżby dzisiaj powiedział, kiedy wydatki na armię pomnożono w dwójnasób a biednym nietylko nie ulżono w niczem, lecz nawet przysporzono ciężarów? Stokroć szczęśliwy, że nie dożył tego pogorszenia w położeniu dawnych poddanych swoich! Ale jak *Lassalle* raz zawołał w uniesieniu, że już słyszy w duchu pochód armii przyszłości, ciężkie stąpanie batalionów robotniczych, tak i król ten, wyjatek szczęśliwy na tronie brandenburskim (może dla tego tak smutnie skończył!) może zawołać z grobu: *exoriare aliquis ex ossibus meis ultor!* I ten mściciel znajdzie się niestety!

Niech jednak Pan Bóg nas broni od tego mściciela! Dlatego uprzedźmy go, bo jeżeli nic nie uczynimy ze strony swojej, przyjdzie on niewątpliwie. Odbierzmy mu wszelką rację bytu, usuwając główne przyczyny nieładu społecznego a wśród nich ciężary publiczne są jedną z najważniejszych w porządku materyalnym. Gdyby udało się nam jedną połowę z nich zdjąć z barków ludu, socjalizm straciłby co najmniej połowę znaczenia swego a porządek społeczny odzyskałby stałość dawną, której został pozbawiony zupełnie od lat kilkunastu. Sprawa ta leży dzisiaj przeważnie w rękach parlamentów i one mogłyby ją przeprowadzić, jeżeli znajdą potrzebną odwagę cywilną, poświęcenie, a co najważniejsza, jasne zrozumienie rzeczy. Pierw-

¹⁾ Powiedział kiedyś to samo, ale dobitniej i na swój sposób *J. J. Rousseau* w liście do *d'Alemberta*: „Podatki płacone od rzeczy potrzebnych do życia, są z gruntu niesłuszne, bo biedny płacąc tylko za rzeczy potrzebne, wydaje trzy czwarte pieniędzy swoich na podatki, podczas gdy bogaty prawie nie czuje podatku tego, bo kupowanie rzeczy potrzebnych jest tylko małą częścią jego rozchodów. Tym sposobem *kto ma mało, płaci wiele, a kto ma wiele, płaci mało, w czem nie znajduję żadnej sprawiedliwości.*“

sze i drugie może i znalazłyby się, zwłaszcza w posłach wiejskich, ale o trzecie bardzo trudno, bo uprzedzenia rozliczne nie pozwalają zobaczyć jasno gwałtownej potrzeby zniesienia podatków pośrednich. Napotykamy zwłaszcza trzy błędne mniemania w tej materii, z którymi trzeba rozprawić się koniecznie choć pokrótce:

1. *Nie ludność robocza płaci podatki pośrednie, lecz chlebowodawcy.* Mniemanie bardzo rozpowszechnione, choć ekonomiści twierdzą przeciwnie. Kto w takim trwa mniemaniu, nie widzi potrzeby zniesienia tych podatków. Paradoks ten zgubny opiera się na dowodzie osobistym *ad hominem*: „Ekonomia polityczna (mówią) a z nią także socjalizm utrzymują, iż robotnik zarabia tylko tyle, ile potrzeba koniecznie do jego utrzymania. Gdy więc utrzymanie jego zdrożeje czy to wskutek nieurodzajów, czy to podatków nowych, nie on nie traci na tem, bo przedsiębiorcy muszą podwyższyć płacę, inaczej robotnik umrze z głodu. *Nie robotnik przeto, lecz chlebowodawca płaci podatki pośrednie; onto, a nie robotnik, jest nieszczęśliwą ofiarą ciężarów publicznych*“. Ten argument jest na pozór bardzo poważny i prokuratorowie mają go często w ustach, gdy za napady na podatki pośrednie wytaczają socyalistom procesa o zakłócenie spokoju publicznego. Jednakże argument ten jest żadnym a świadczy tylko o lekkomyślności, z jaką ludzie stanów wyższych zapatrują się na tę sprawę bolesną. Bo naprzód powagi wszystkie na tem polu, począwszy od *Vaubana* a skończywszy na *p. Schäfflem*, byłym ministrze austriackim, zgadzają się na jedno, że podatki pośrednie ciążą przeważnie na ludzie, a nie na kapitalistach. I powiadają to o *podatku gruntowym*, który w oczach biurokratów uchodzi zawsze za podatek bezpośredni, ponoszony niby przez właścicieli; tem bardziej to stwierdzają o wszelkiego rodzaju akcyzach.

Nieśmiertelny *Vauban*, również wielki wojskowy, jak mąż stanu i ekonomista, tak się wyraża o podatkach pośrednich: „*Każdy podatek gruntowy spada koniecznie na płody; gdy przeto i na te włożymy jeszcze opłatę spożywczą, płody ziemskie płacą podatek dwa razy a biedni wszyscy dotykani są dwa razy niesprawiedliwie.*“—Nieinaczej odzywa się *Adam Smith*, ojciec ekonomii politycznej: „Podatki od rzeczy potrzebnych do życia wywierają tensam skutek na los mieszkańców, co grunt nieurodzajny lub klimat niezdrowy. Podatki te podnoszą cenę

wyrobów zupełnie tak samo, jak gdyby wymagały więcej pracy lub nakładów, lud zaś cierpi najbardziej nie tak z naturalnego podskoczenia cen, jak ze sztucznego ich podwyższenia wskutek podatków i t. d. — Nareszcie król pruski w manifestie wspomnianym powiada wyraźnie, że jest *nieprawda, jakoby płaca robotników podnosiła się w miarę jak podnoszą się ceny przedmiotów, niezbędnych do życia.*“

Komu zaś nie wystarczają takie powagi, może sam sobie utworzyć pojęcie samodzielnie na mocy faktu następującego. Ceny towarowe idą w górę bezustannie, podczas gdy płaca robotników lub pensye urzędników zostają na tej samej stopie przez lat wiele. W r. 1850 utrzymanie w Prusiech kosztowało dwa razy tyle, co w r. 1815; mimo to pensye urzędników były takie same, jak przed laty czterdziestu. Ta sama nieruchomości jest także wrodzonym przymiotem płacy roboczej. Można się o tem przekonać z autora, cytowanego przez *Lassalla*. Anglik *Tooke*, bogaty kupiec i ekonomista znakomity, napisał „*historję cen od r. 1793—1857*“; dzieło to, o ile sędzić mogę z wyjątków przytoczonych, wydaje się pomnikiem niepoślednim pilności ludzkiej. Rezultat, do którego doszedł p. *Tooke*, jest następujący: „W zgodzie z doświadczeniem czy to nowożytnem, czy czasów przeszłych przyjąć można za pewnik ustalony, że *w razie drożyzny lubniżenia się wartości pieniędzy płaca robotnika podnosi się ostatnia i wogóle bardzo leniwie towarzyszy podnoszącej się cenie pokarmów.*“

I tak n. p. czeladnicy krawieccy w Anglii pobierali od r. 1775—1795 tygodniowo blisko 22 szylingów, za którą to sumę dostawało się 36 bochenków chleba. Zaś w r. 1801 ciż czeladnicy pobierali 27 szylingów tygodniowo, za które jednak dostawało się 18½ bochenków. Widzimy na tym pouczającym przykładzie, jak płaca może nominalnie pójść nawet w górę a w istocie spaść o 50% dla drożyzny panującej. Z innego przykładu dowiadujemy się, że płacono

w r. 1780		a w r. 1801
cieślom	2 ⁶ / ₁₂ szyl.	3 ² / ₁₂ szyl.
murarzom	2 ⁴ / ₁₂ „	3 „
rzeźbiarzom	2 ⁸ / ₁₂ „	2 ¹⁰ / ₁₂ „
pokrywaczom dachów	3 „	3 ³ / ₁₂ „

Przeciwnie ceny zboża podniosły się w tymże czasie jak następuje:

	1780		1801
pszenica	49 ⁶ / ₂₂ szyl.		134 ⁵ / ₁₂ szyl.
jęczmień	29 ¹ / ₁₂ „		69 ¹ / ₂₂ „

czyli w ciągu ostatnich 20 latach przeszłego stulecia ceny zboża podniosły się w trójnasób, a *płaca robotników w tymże przeciągu czasu powiększyła się tylko o kilka groszy*, z czego pokazuje się, że zarobek dzienny dawał w r. 1801 trzy razy mniejszą ilość pokarmu, jak w r. 1780, to jest *robotnicy morzyli się głodem*.

Liczby te przekonywają dostatecznie, że podatki pożywcze nie ciążą na kapitalistach, lecz na lichej płacy dziennej robotników i że każdy nowy przyrost podatków oraz pochodząca ztąd drożyzna niekoniecznie pociągają za sobą wzrostu płacy. Łatwo więc odpowiedzieć na zarzut, że gdyby podatki pośrednie ciążyły na robotnikach, *musieliby wszyscy pomrzeć z głodu*, w braku utrzymania wystarczającego. *Co innego jest umrzeć z głodu, a znowu co innego umierać!* Ceny podnoszą się zwolna a żołądek przywyka zwolna do biedy. Można dziesięć, można nawet piętnaście lat opadać z sił, to jest *umierać z głodu*, a w końcu umrzeć na tyfus, na suchoty, na zapalenie mózgu. Wtedy nikt nie mówi, że chory umarł z głodu. W istocie umarł na tyfus, na suchoty. Mimo to prawda, że nie byłby umarł na suchoty gdyby nie był poprzednio umierał z głodu przez długie lata. Tutaj w Rzymie płacą czeladników zagranicznych 2½ fr. dziennie, tak jak przed rokiem 1870. Ale za tę płacę mężczyzna przywykły do pokarmu zdrowego, odzienia ciepłego i czystego noclegu nie może się w żaden sposób utrzymać, bo pokarm, odzież, komorne podrożały niesłychanie; to też czeladnik cudzoziemski przyjeżdża coraz rzadziej, a przyjechawszy po kilku tygodniach wynosi się, dolożywszy tego, co zaoszczędził w Wiedniu lub Paryżu. Gdy jednak nieubłaganym zbiegiem okoliczności który musi pozostać w Rzymie (wiadomo, że przypadek po ludziach chodzi) to cóż pocnie nieszczęśliwy? Najmie sobie nocleg gorszy, kupi odzienie lichsze, przestanie na strawie niedostatecznej. Przed rokiem 1870 funt mięsa kosztował 40 cent., dzisiaj kosztuje 65 cent. Zmniejszy więc biedak porcyę mięsa,

a razem z nią także ilość chleba i wina, bo i te poszły w górę niestety. Ale zmniejszać ciągle porcyę, jest to właśnie morzyć się głodem. Zrazu dawny zapas zdrowia nie da uczuć różnicy; niebawem jednak sił ubędzie, a w końcu śmierć przedwczesna przerwie istnienie nędzne. Podałem wyżej przeciętnię życia ludzi zamożnych i robotników: w Liverpool pierwsi żyją lat 35, a drudzy tylko 15. Zkąd ta różnica? Pierwsi karmieni są dostatecznie, drudzy prawie od kolebki morzeni są głodem. Naturalnie wszyscy nie wymrą, bo gdy przez choroby lub emigracyę szyki ich przerzedzą się znacznie, zarobek pójdzie nieco w górę, ale zanim to nastąpi, przez ileż trzeba było przechodzić cierpień? przez ileż niedostatków?

Dosyć już zastanowiliśmy się nad pierwszym zarzutem przeciwników naszych: zobaczymy drugi. Powtarzają wciąż, że

2. *Podatki pośrednie są dogodne.* Prawda! nie przeczę! płacą się w sumkach małych, codziennie, a to daleko wygodniej, niżeli kilka razy na rok płacić sumy znaczniejsze. A co więcej, że nawet nie myśli się o opłaceniu podatków, bo każdy jest przekonany, że płaci tylko za towar. Zjadając bułkę lub pijąc szklanke piwa nikt nie wie, że równocześnie składa kilka centów podatku do kas rządowych, a to wielkie szczęście, bo nieustające przypominanie podatków zatrzymałoby nam dnie i noce. Czyż jednak lud na tem zyskuje? Dajmy na to, że familia wyrobnicza płaci dziennie pięć centów akcyzy i podatku solnego. Gdyby miała co miesiąc zanosić *półtora reńskiego* do kasy powiatowej, oczywiście krzyczałaby w niebogłoso, a nawet Niemcy powstawałoby na niesprawiedliwość tak rażącą. Że jednak płaci centami i to kupcowi, nie poborcy, nikt się nie oburza, nikt nawet nie myśli o tej bagateli. Stan jednak rzeczy przez to wcale się nie zmienia i nie umiem pogodzić z moralnością sztucznego wyciągania 18 zlr. centami pod pretekstem, że to *dogodnie*. — Kto tak rozumuje, nie ma serca ani rozumu: *nie ma serca*, bo dopuszcza się ucisku wielkiego pod formą legalną, *a rozumu nie ma*, bo przypuszcza, że mniej szkodliwym jest wyciskanie z kraju miliarda centów, jak dziesięciu milionów reńskich. Rzecz niemoralna przez to samo, że jest dogodną, nie staje się moralną, a któż śmiałby wątpić o tem, że *podatek pośredni jest niemoralny*, skoro obraża sprawiedliwość, wkładając na ubogiego

ciężary większe, aniżeli na bogatego, a jeżeli niemoralny, to istnieć nie powinien, choćby był stokroć dogodniejszy.

Ci, co chwalą ustawicznie jego dogodność, nie wspominają nigdy o tem, że pobieranie jego pociąga za sobą koszta znaczne, spadając wcale niepotrzebnie na karb kontrybuentów. — Dosyć jest spojrzeć na budżet ministerstwa finansów w krajach rozmaitych, aby przekonać się, że koszta ogromne towarzyszą wszystkiemu podatkowi pośredniemu. W *Cislitawii* wynosiły koszta percepcyi w r. 1872 około 56,330.000 zhr., czyli czwartą część podatków pośrednich. Budżet pruski z tegoż roku ma 18,532.000 tal. z podatków pośrednich, z których przeszło trzecią część t. j. 6,384.000 pochłonęły koszta percepcyi, podczas gdy ściąganie 44,000.000 talarów podatków bezpośrednich kosztowało tylko 2,157.000 czyli $\frac{1}{22}$ sumy całej. Zarówno przeto moralność jak zmysł finansowy potępiają ten rodzaj podatków i tem tylko tłumaczą sobie nieograniczone zamiłowanie w nich, że obok wido- cznej chęci zwalania ciężarów publicznych na klasy uboższe, chodzi państwu nowożytnym bardzo o pomnożenie urzędników, t. j. ludzi od nich zależnych. A to jest tendencya wręcz przeciwna wolności. Bo jak *dobrobyt kraju wymaga, aby płacono jak najmniej podatków*, tak wolność i szczęście obywateli tylko wtedy będą zabezpieczone należycie, gdy władza centralna będzie miała jak najmniej urzędników pod naczelnictwem swoim, a gmina każda jak najwięcej samodzielności, rozumie się bez narażania jedności i bezpieczeństwa państwa.

Przechodzę do trzeciego zarzutu, który dzisiaj jest najbardziej rozpowszechniony.

3. *Podatki pośrednie są konieczne.* Dobrze wam, mówią, rozprawiać w teorii, ale dopóki nie wskażecie źródeł innych, a również obfitych, mówicie na wiatr; bo jak na śmierć, tak i na konieczność nie masz lekarstwa. Konieczność nieubłagana, *dira necessitas*, zmusza nas do coraz nowych wydatków. Nie ma się co spierać; trzeba ukorzyć się i płacić. I mają rację niewątpliwie ze swego stanowiska. Pytanie jednak, czy to ich stanowisko słuszne i czy je mamy zachować. Jeżeli budżety nowożytnie są nieodzownie potrzebne, to nie masz innej rady, jak trzymać się i nadal systemu podatków pośrednich. One jedne dostarczyć potrafią nam sum olbrzymich wymaganych przez budżety. Ale czyż budżety te są potrzebne? Odpowiedź na to niełatwa, bo

inna jest potrzeba chwilowa, inna znowu bezwzględna. Trudno zaprzeczyć, że w obecnem położeniu Europy budżety wielkie są konieczne. Groźna postawa cezaryzmu pruskiego, który niedawno temu oświadczył w parlamencie przez usta *Moltkego*, że stać będzie lat 50 z bronią nabitą, bo ma wielu nieprzyjaciół a żadnych przyjaciół, nie dozwala żadnemu mocarstwu zmniejszać wydatki na armię, i ztąd trzeba dźwigać dalej ciężary niewymowne. W Austrii armia z obroną krajową, honwedami i flotą kosztowała razem 120 milionów w r. 1872, t.j. prawie czwartą część wszystkich dochodów. A Niemcy wydali w tymże roku i na ten sam cel przeszło 168 milionów zlr., chociaż wspólne dochody cesarstwa przyniosły tylko 141 milionów; państwa więc różne musiały dołożyć przeszło 36 milionów i z każdym rokiem będą musiały podwyższać tę sumę. Ta niezwykła rozrzutność niemiecka zmusza inne państwa do zwiększenia wydatków swoich i żadne z nich nie zatrzyma się w tych obrzydliwych a szalonych wyścigach, choćby nawet niejednemu z nich, np. Włochom, przyszło legnąć pod sromotą bankructwa zupełnego. Bacząc więc na ten stan rzeczy, obrońcy budżetów wielkich mają rację, że dzisiaj ani zatrzymać się, ani cofnąć nie można, zatem wypada koniecznie utrzymać podatki pośrednie. Wychodząc z takiego punktu widzenia, mogą oni umyć ręce i powiedzieć: *my niewinni!* I mają słuszość poczęści. Wina bowiem główna spada na tych, którzy przez długi szereg lat, ciągnący się od upadku *pierwszego Napoleona* aż do wstąpienia na tron *trzeciego*, pozwolili rządowi, zwłaszcza pruskiemu, zatrzymać wielkie armie, niegdyś niezbędne do obrony od Napoleona, a po jego upadku nierównie mniej potrzebne. Oni to dostarczając funduszków na budżet wojskowy, stworzyli ową sztuczną nędzę, bez której słowa socyalistów nie znalazłyby odgłosu żadnego, a nie spłaciwszy długów dawnych, lecz dodawszy do nich nowe, sprowadzili na ogromną większość ludności europejskiej niewolę, podobną do owej, w której Egipcyanie jęczeli pod Faraonem, gdy zmuszeni głodem sprzedali mu grunta swoje. Europa przed ostatnią wojną płaciła rocznie 1000 milionów zlr. procentów a drugie 1000 milionów wydawała na armie. Po wojnie dług Europy przybrał rozmiary prawie potworne: w samym roku 1871 przybyło 3064 milionów, a w następnym roku wielka dwu miliardowa pożyczka francuzka i szereg pożyczek mniejszych. I tak każda

generacya dalej się zadłuży, bez nadziei wydostania się z tego jarzma, bo jak kolosalnych potrzeba sum, aby spłacić te długi! Słusznie więc ekonomiści zwracają uwagę, że dostaliśmy się w gorsze poddaństwo, aniżeli chłopci średniowieczni, bo ci za swoją pracę mieli od panów swoich utrzymanie, podczas gdy my dzisiaj płacimy procenta, nie doznając w zamian korzyści żadnej. Tamei mieli grunt i chatę i za to odrabiali pańszczyznę, a my dzisiaj płacimy pańszczyznę nieustającą, nie mając nic za to od wierzycieli, nawet wdzięczności.

Takie jest dzisiaj położenie wszystkich ludów Europy, smutne, nawet rozpaczliwe. Bo nie tak nie zwiększa cierpienia, jak widzieć przyczynę, a nie móżd jej usunąć. Każdy widzi źródła nędzy społecznej, ale nikt ich nie potrafi przeciąć, każdy wie, że za nędzą idzie socjalizm, ale nie umiając się uwolnić od pierwszej, musi drugiemu zostawić ręce swobodne. Społeczność europejska podobną jest do człowieka, widzącego we śnie niebezpieczeństwo straszliwe, a nie mogącego zrobić ani kroku naprzód, bo śmiertelne odrętwienie opanowało wszystkie członki jego. Widzi potwór nadbiegający, widzi paszczę otwartą, a mimo wysiłki najgwałtowniejszych nie może ruszyć z miejsca. Każdy z czytelników przypomni sobie z przeszłości takie położenie senne: jakie ono było okropne i z jaką rozkoszą przebudził się z niego! Taki sen męczy dzisiaj starą Europę: socjalizm tuż przy niej, a ona jakby paraliżem tknięta, nie potrafi zrobić poruszenia najmniejszego, aby uwolnić się od niebezpieczeństwa. I po ludzku mówiąc, nie widać znikąd dla niej ratunku w tej chwili; bo nowożytne pogaństwo musi zakończyć się, jak starożytne: *bankructwem społecznem*. I byłaby przyszłość bez nadziei wszelkiej, gdybyśmy nie mieli Kościoła, który już tyle społeczeństw ginących wyrwał z toni i powołał do życia nowego.

VII. Niebezpieczeństwo społeczne i giełdy.

Podatki ogromne nie są źródłem jedynym ani największym społecznego rozstroju, bo jakkolwiek jarzmo ich uciążliwem jest, skoro nie pozwalają robotnikowi zebrać choć skromnego fundusiku na przypadek choroby lub kalectwa, niczem jednak nie są, przyrównane do nędzy materialnej i moralnej, którą spekulacya

dzisiejsza szerzy po narodach, zwłaszcza ich warstwach najuboższych. Kapitały oswobodzone z więzów, jakie wkładały na nie dawniej troskliwość Kościoła i przezorność przodków naszych, puszczane w zawody szalone, w imię konkurencyi bez granic, opanowały już wszystkie targi Europy i nie się nie dzieje bez ich przyzwolenia. Nie myślę rzucać kondemnaty bezwzględnej na ten rozwój stosunków społecznych, owszem wspominałem już dawniej, że plutokracja zbliżywszy narody do siebie i spotęgowałszy bogactwo socyalne do miary przedtem nie widzianej, zaspokoila niejedną potrzebę bieżącą, otworzyła niejedno dzieło pożyteczne i to w czasie krótszym i z mniejszym nakładem, aniżeli dawniej umiano. Trzeba więc uznać, że plutokracja ma swoje zasługi rzeczywiste. Ale zasługi te ustępują przed stratami niezmiernymi, które to pyszne złotowładztwo zadało narodom wszystkim, tak na polu materyalnym, jak moralnym; i powiedziec się godzi, że pieniądz, to potężne narzędzie, odkąd zapomniano, że jest narzędziem a zamieniono je w bożyszcze, w Molocha, nietylko nie oddaje już usług czcicielom swoim, lecz pożera ich bez litości, a w miarę przybywania ofiar, apetyt jego straszliwie się wzmaga.

Żeśmy wstąpili na tę drogę i zaszli po niej tak daleko, że prawie nie ma już nadziei powrotu, stało się nie odrazu, ani fatalnym zbiegiem okoliczności, lecz świadomie i z planem naprzód obmyślonym. Ułożona teoria dobrobytu ziemskiego, zowią ją ekonomią polityczną, a chociaż założyciele jej, *Quesnay* i *Smith*, wychodząc z różnych punktów widzenia doszli do rezultatów wielce odmiennych, główna treść ich nauki tasama jest, a zasada moralna w obu także tasama. *Pozwolić każdemu bogacić się*, jak kto chce, byle z kodeksem kryminalnym otwarcie nie zadarł, oto wyraz ostatni ich mądrości, *mieć jaknajwięcej złota*, oto kwintesencja ich szczęśliwości. *Smith* wyrzekł, że *naród właściwie jest spółką kupiecką* (is properly a commercial society), co jeżeli prawdą jest, zadanie panujących zamykałoby się w czuwaniu, aby nikt nie przeszkadzał tej spółce w zarobkowaniu. Dotąd ekonomia polityczna, wstyd powiedziec, nie wyrobiła sobie pojęcia idealniejszego w państwie ani nie umiała rządóm nakreślić zadania wyższego, w praktyce zaś większość ministrów oswoiła się już zupełnie z płaską rolą protektorów spółek kupieckich. Odtąd pozostało tylko zrobić krok ostatni, konieczny, do zupełnej kon-

kurencyi, bo kupcy i konkurencyja są to dwa pojęcia blisko ze sobą spowinowaczone. I uczyniono krok ten ostatni. Wszystkie państwa albo już doszły, albo z wolna dojdą do wolności nieograniczonej w zarobkowaniu, w czem mieści się różnica kardynalna między wiekiem naszym a dawnymi. Dzisiaj konkurencyja bez granic, dawniej miała swe granice prawem nakreślone. Ale każda ostateczność rodzi drugą, gorszą od niej, ztąd nie dziwny się, że bezwzględna konkurencyja wywołała socjalizm, żądający zupełnego jej zniesienia. Lekarstwo radykalne, nawet nie podobne do użycia, bo wyrывa razem z chorobą i życie, ale groźność ta właśnie lekarstwa tłomaczy wielkość cierpienia, a śmiałość chirurgów społecznych stwierdza rozpaczliwe położenie chorego.

Podczas gdy socjalizm nie ma słów dosyć gwałtownych na wykrycie wszystkich stron ujemnych konkurencyi bez granic, ekonomiści mianowicie przez usta *Bastiata* i jemu podobnych, widzących wszystko w świetle różowem, nuca hymny wspaniałe na cześć bogini, która wedle nich jest dawczynią pomyślności, matką postępu, tajemniczą szafarką, nie pozwalającą jednostkom przywłaszczać sobie na zawsze dobra przyrody, bo rozdziela je bezustannie między całą społeczność.

Gdy dwie strony bronią tak namiętnie zasad sobie przeciwnych, można być przekonanym z góry, że żadna strona nie ma prawdy zupełnej, że każda z nich jest tylko na ostatnim krańcu prawdy. Socjalizm niewątpliwie usiłując znieść konkurencyę wszelką, wpada w ostateczność krzyczącą, która sprzeciwia się prawom przyrodzonym człowieka, a zatem nie prawdą jest, ale skrzywieniem prawdy. Wolność osobista, ten najdroższy skarb naszej duchowej istoty, wymaga wielkiej swobody spółzawodnictwa. Tej swobody nie było dawniej, gwałcono ją przez niezliczone przywileje korporacyjne. Były miasta, gdzie piekarz nie mógł brać w termin chłopców, nie rodzących się z ojca piekarza, gdzie szewcy musieli się zaopatrywać w skóry u garbarzy miejscowych, choć zamiejscowi dawali nieraz i lepsze i tańsze, gdzie każdy musiał się posługiwać chirurgiem lub aptekarzem miejskim, choćby to był nawet największy niedołęga pod słońcem. Nie można było kroku zrobić bez spotkania się z jakimś przywilejem, ani podnieść ręki bez zwracania na się uwagi burmistrza, panów radnych, cechmistrzów i całej starszyny miasteczka, w którem się mieszkało. To wszystko było niepraktyczne i wstrę-

ne, i niedziw wcale, że przy wzrastającej oświacie, łagodniejących obyczajach, zacieraniu się przedziałów towarzyskich, a ułatwianiu stosunków międzynarodowych, owe przywileje i względy rozliczne, ciężące na wszystkich czynnościach życia ludzkiego, wydały się w końcu niesłychaną niewolą i wielkiem bezprawiem. Gdy przeto Quesnay, Mirabeau (ojciec), Turgot we Francyi, a za ich przykładem później w Anglii Smith, Malthus, Ricardo, stworzyli nową teorię gospodarstwa społecznego, która dotąd panuje przeważnie, uzyskali odrazu wielką popularność w części oświecenijszej narodu i wpływ rozległy na osoby rządzące. Reformatorom zawsze się powodzi, dopóki mają co naprawiać i dopóki nie przeniewierzą się misji swojej. Wszyscy ludzie rozumni i szlachetni będą zawsze z nimi, dopóki w naprawianiu złego nie popadną w nową ostateczność i nie stworzą zarodku nowych nieszczęść. Niestety, ekonomiści nie umieli ochronić się od tej ostateczności. Pragnąc zerwać gruntownie z wszelką protekcyjnością, odjęli rządowi wszelki wpływ skuteczny na gospodarstwo krajowe i znieśli wszelkie przeszkody, na jakie napotykała przedtem konkurencya handlowa. Nie spostrzegli, że ujemne strony dawnego gospodarstwa społecznego, pomimo, że nie dozwalały rozwoju wszystkich zasobów racjonalnych i wielką ich część wskazywały na ugór nieustający, miały jednak skutek pożyteczny, którego nowa teoria dotąd nie umiała osiągnąć: naznaczyły wyzyskiwaniu klas uboższych pewne granice rozumne.

Oczywiście producenci niemniej wyzyskiwali kupujących pod panowaniem dawnego systemu; to leży w naszej naturze zepsutej i tego zmienić nie można. Ale można zmiejszyć złe i w tem właśnie okazuje się rozum rządu. Rząd dawny nie był jeszcze w rękach kapitalistów; stojąc nad nimi, protegował ich w przedsiębiorstwach, zasłaniał jednych od drugich, a za opiekę udzieloną miał prawo najwyższego dozoru. Mówią, że w owych czasach, kiedy wszystkie korporacje i fabryki miały przywilejem zapewnione miejsca zbytu, zwykłą koleją rzeczy producenci musieli być opieszali, niegrzeczni, niedbający o doskonalenie wyrobów swoich. Prawda to wszystko. Ale z drugiej strony mając zapewniony odbytek towarów nie posuwali chęciowości swojej do ostatnich granic, i między nimi a publicznością kupującą wytworzył się stosunek podobny, jaki istniał dawniej w monarchiach dziedzicznych, gdzie panujący przestawali na dochodach skromnych, pomnając, że

i prawnuki ich będą zbierali jabłka na temsamem drzewie. Przeciwnie w państwach liberalnych bywa, że ci, co stoją u steru rządu, starają się bogacić siebie i przyjaciół swoich jaknajprędzej, bo przyszłość niepewna, a temsamem nic ich nie obchodzi. Ich hasłem: *après nous le deluge*.

Nikt nie myśli przywracać systemu dawnego, bo miał on wielkie niedostatki, ale przypatrzmy się, czy konkurencyja bezwzględna, która zajęła jego miejsce, nie ma ich więcej jeszcze i nie jest daleko niebezpieczniejszą dla porządku społecznego. Namamprzód ta konkurencyja, jak dzisiaj się praktykuje, jest namacalną kontradycją i mieści w sobie zaród blizkiego rozkładu. Jest antinomią, która może czas jakiś utrzymać się kosztem istniejącej rzeczywistości, ale potem jak każda antynomia obróci się w swoje przeciwieństwo i jak absolutna chęć używania, gdy jej się pofolguje, wyrodzi zupełną prostracę sił, a więc niemożebność używania, tak i konkurencyja nieograniczona wydaje ze siebie socyalizm czyli przeczenie wszelkiej konkurencyi. Człowiek bowiem tak w istocie jak w zasobach swoich jest ograniczony, konkurencyja więc musi mieć granice, inaczej zniszczy go niewątpliwie. Pytanie jednak, jakiego rodzaju mają być te granice? Mogą być albo fizyczne, albo moralne. Jeżeli pierwsze, to konkurencyja bezwzględna zatrzyma się tylko przed niepodobieństwem materyalnym; jeżeli drugie, to przestaje być bezwzględną, i owszem poddaje się pod wszystkie względy moralności. Odpowiedź więc na pytanie nie może być wątpliwą: konkurencyja bezwzględna, cofająca się tylko przed niepodobieństwem materyalnym, do której spieszą narody pod impulsem ekonomistów, jest niegodną człowieka, bo oswabadzając go ze zdrowego hamulca moralności, robi go niewolnikiem namiętności i przeszkód materyalnych.

Jedno spojrzenie na istotę kupieckiej rywalizacji pokazuje, że inaczej być nie może i że wypuszczenie konkurencyi z pod wszelkiej kontroli moralności uprawnia koniecznie występki. Bo i jakież są sposoby współubiegania się skutecznego? albo dawać towary lepsze za tęsamę cenę, co przeciwnik, albo tańsze a gorsze. Pierwsze nie zawsze jest podobnem, bo mechanika ma swoje przyrodzone granice; drugie jest bardzo łatwe, jeżeli się umie zachować pozór należyty. Gdy zaś kilku kupców uda się tą drogą ślizką, reszta także za nimi pójdzie, inaczej zbankrutują. Stawiają

sobie wtedy wszyscy to wspólne zadanie, dawać towary jaknajtańsze, a to zadanie już w sobie jest zupełnie niemoralne, jeżeli się niedba równocześnie o to, aby były jaknajlepsze. Mówią, że publiczność sama rozsądzi między dobrym a złym wyrobem i że na tem nie ona nie traci, jeno przedsiębiorcy, że zatem wolność konkurencyi naprawia same złe wszelkie, którego stawia się mimowolną sprawczynią. W teoryi może takie rozumowanie wydawać się podobnem do prawdy, w praktyce jednak ma się rzecz przeciwnie, bo zanim towar jaki będzie osławiony do tego stopnia, że go nikt nie zechce, wiele wody upłynie, a i później jeszcze miejsce jego zajmą inne wyroby nie lepsze, a może nawet gorsze, choć w ponętniejszej formie. Zresztą nie prawda jest, aby publiczność przekładała zawsze towary lepsze, choć droższe, nad lichsze a tańsze. Ogół woli kupować często a tanio, aniżeli rzadko a drogo. Zmysł konserwatywny i pod tym względem znacznie już się zatarł, i coraz bardziej staje się regułą życia, z dnia na dzień.

Niemozna zatem twierdzić, że praktyczny zmysł publiczności lub jej poczucie moralne położą tamę konkurencyi i zmuszą ją do należytych względów na moralność; przeciwnie publiczność padnie pierwszą ofiarą niesumiennej eksploatacyi i jest wobec niej prawie bezbronną, bo opinia publiczna w większej części przez swoje organa nie służy kupującym lecz sprzedającym. A drugą ofiarą niemoralnego ubiegania się o zyski padną sami kapitaliści niechcąc żadnej opieki ani dozoru, czy to ze strony państwa; czy Kościoła, wskazani są na własne siły swoje i na prawo mocniejszego. *Wszyscy przeciw wszystkim*, oto stan normalny, codzienny biednych spekulantów. Wszyscy biegną do mety, ale mało kto do niej dopędzi; większość pada w drodze stratowana, a zwycięzca także nie jest pewien jutra, bo może jutro silniejszy wydrze mu krwawo zapracowaną nagrodę. *Bellum omnium contra omnes*. I stawa się wojna ta tem bezwzględniejszą, im bardziej ustępują ludzie z wielkich targów międzynarodowych, a miejsce ich zapełniają kapitały. Ludzie się znają, szanują, mają swoje skrupuły, a dusze ich, nawet zamknięte w worach złota, nalegają, skarżą się, proszą, niepokoją swoich właścicieli. Współubieganie się ludzi zachowuje jeszcze resztki ludzkiego poczucia. Ale kapitały wolne są od wszelkich względów. Ich panowie najczęściej nie znają się, nie słyszeli nawet o sobie, mieszkając w różnych stronach świata, w Nowym

Jorku i Konstantynopolu, w Rio Janeiro i Londynie; taka dopiero konkurencya wyzuwa się z wszelkich względów, pozbawia się wszelkich uczuć, nawet wstydu.

Oh! gdyby tylko ubiegały się kapitały! Niestety kapitał nie nie znaczy, dopóki nie zmieni się w pracę ludzką; praca więc ludzka jest towarem pierwotnym!, poszukiwanym na wszystkich giełdach świata, a robotnicy sami pracę swoją na targ wystawiają. Optymistyczni a płytey ekonomiści przez niepojętą ironię, której nie czują wcale, nazywają robotnika przedsiębiorcą, mniejszym lub nawet kapitalistą, jak gdyby na równi z milionowym przemysłowcem ubiegał się on o lepsze. Któż jednak nie widzi, że robotnik nie jest przedsiębiorcą, lecz najemnikiem, nie mającym żadnych składów towarowych, i że ani dzień jeden czekać nie może, lecz oddać musi muskuły swoje i zdrowie za bylejaką zapłatę, bo głód ciśnie. Tak więc owa rywalizacya kapitałów, zawzięta i okrutna, staje się tem ohydniejszą, że w gruncie jest rywalizacyą robotników, ofiarujących pracę swoją najwięcej dającymemu, a wydzierających sobie nawzajem kawałek chleba z ust spiekłych gorączką nędzy. Tam już darwinizm panuje samowładnie, tam nikt niezwołni kroku, nie zatrzyma się na chwilę, aby drugiemu dopomódz, lecz wszyscy spieszą naprzód, ku kupcom wyciągając ręce wychudłe, wołając; Chleba! chleba! i bezustannie jedne tłumy idą w dół a drugie w górę, a kto na dole, ten już niepodniesie się więcej. A miejscem tych wyścigów, areną tych walk gladiatorских jest giełda, świątynia kapitalistów, opasująca niby amfiteatr olbrzymi wszystkie narody świata.

Jak każde złe nowożytne, tak i giełdowa plutokracya powstała i wzmożła się w Paryżu pod rządem Napoleona III, a zaprząwszy giełdy stałego ładu a poniekąd i Nowego Świata w rydwan swój złocisty, narzuciła wszystkim narodom swoje prawa i zwyczaje. Napoleon podtrzymując system ten potężnym wpływem swoim przez lat ośmnaście, był przekonany, iż mu się udało szczęśliwie rozwiązać groźną socyalizmu sprawę i że bogaci naród cały, kiedy on tymczasem bogacił mniejszą nierównie liczbę kupców, bankierów i przedsiębiorców. Tak mniemał, ale stało się przeciwnie. Nędza wzmagala się z rokiem każdym, rozdział między zamożną klasą a ubóstwem stawał się coraz większy, nienawisć, robotników do kapitalistów rosła dziennie a nareszcie wrzód obrzydliwy, pielęgnowany przez lat wiele, wylał tyle jadu

i zepsucia za komuny paryzkiej, że rok czterdziesty ósmy wydaje się przy nim sielanką niewinną. Spodziewano się wtedy, że po takim wstrząśnieniu Paryż nareszcie się upamięta, a czterdziestomiliardowy stos papierów publicznych runie choć w części i dozwoli tak prowincyi jak targom zagranicznym usunąć się z pod nacisku giełdy paryzkiej. Nadzieje tem słuszniejsze, że po przeniesieniu się przewagi politycznej z nad Sekwany do Berlina, znana oszczędność północno-niemiecka i trzeźwy umysł Berlinczyków zapowiadały nową, uczciwszą erę w spekulacjach handlowych, a przez nią odroczenie lub nawet uchylenie kataklizmu społecznego. Te nadzieje zostały niestety srodze zawiedzione.

Jak niegdyś Grecya wraz z oświatą swoją przekazała Rzymianom zwyciężkim całe także zepsucie swoje, tak i cezaryzm francuzki zemścił się okropnie pod Sedanem, przekazując rubasznym Teutonom ponętną zasadę swoją: *Niech każdy bogaci się i używa wedle upodobania*. Już widzieliśmy, że zasada ta jest wyrokiem śmierci na każde państwo, bo rozkiełznany przez nią egoizm rozkłada społeczeństwo na mnóstwo jednostek, nie mających do siebie ni miłości, ni ufności, owszem za daną okazją stających z sobą do boju. Może przytem pozostać jakiś pozór ładu, karność, dzielności nawet, ale to już skorupa malowana nie mieszcząca nic w sobie, jeno cokolwiek próchna. Francya w r. 1870 wyglądała bardzo potężnie; gdy jednak po kilku silnych uderzeniach odpadła powłoka marmurowa, pokazał się za nią nie mur silny, ale sypki piasek. Taki był skutek ośmnaścieletniego panowania cezaryzmu. W Niemczech, gdy także zapępuje przez lat ośmnaście, wyda skutek podobny, a gdyby nawet silny, zdrowy organizm tego ludu oparł się dłużej, to w końcu i na niego kreska przyjdzie, jak mówi przysłowie, bo namiętności wyuzdane i chęć używania są taranem zbyt silnym i pancierz najtwardszy razów jego nie wytrzyma.

Same miliardy francuzkie, nad któremi Europa słusznie się dumiała, były darem złowrogim, bo korzyść, którą przyniosły przez wynagrodzenie kosztów wojennych, nie przeważała wcale szkód niepowetowanych, jakie zrzędziły one w społeczeństwie niemieckiem. O ile bowiem poszły na wynagrodzenie ofiar poniesionych, nie powiększyły majątku narodowego, a nawet nie zakryły wszystkich wyłomów w nim zrobionych, o ile zaś użyte zostały na warownie i sporządzenie nowej broni, także krajowi nie przy-

sporzyły nowego dobrobytu. I w istocie już niewiele z nich zostało, bo złoto w skarbcu rządowym może być kapitałem w przyszłości, ale na razie nie przynosi żadnej ulgi, żadnych owoców. Za to straty moralne i pieniężne, spowodowane przez kontrubucję francuską, są dotąd nieobliczone: *moralne*, bo naród niemiecki w pierwszej chwili mniemał się bogatszym o pięć miliardów, a ta suma ogromna zniżyła wartość pieniędzy i wartość pracy; *pieniężne*, bo licząc na te miliardy i nieograniczony kredyt państwa zawiazano nieprzejrzane mnóstwo przedsięwzięć akcyjnych, które gdy rząd nie chciał pożyczyć ani szeląga, albo runęły, albo w zyskach zawiodły, zadając w każdym razie dotkliwie rany prywatnemu mieniu. Straty te chciano pokryć spekulacjami nieuczciwymi, i tak stało się, że Berlin, niegdyś jeżeli nie uczciwszy to skromniejszy, zaczyna się ubiegać o lepsze z Paryżem i Wiedniem i puszcza się w transakcye, które chyba dla tego nie są karane kryminałem, że są zbyt kolosalne i że osoby zbyt wysoko postawione maczają w nich swe ręce.

Zanim jednak przejdę do szczegółów rzucających światło na towarzystwa akcyjne i giełdy wielkich stolic europejskich, muszę wprzód kilkoma zawarować się uwagami. Daleki jestem od myśli potępiania wszelkich wogóle spółek finansowych; któż nie widzi, że ani Suezu przekopać, ani Mont-Cenis przewiercić, ani tyłu kolei żelaznych niebyłoby można zbudować bez siły zbiorowej? Nie dokazałyby tego rządy ogromem długów przywołane, tem mniej mogłyby się na to zerwać choćby najbogatsze indywiduala. Są spółki finansowe konieczne, są w naturze rzeczy odpowiadają one potrzebom publicznej; odpowiadają przeważającemu w naszej epoce prądowi demokratycznemu, który i na polu finansowem jak na każdym innym wielością wielkości chce zastąpić. *Gromada wielki człowiek!* Nie użycie więc spółek i akcji, ale ich niesumienne nadużycie potępić należy. A to rozróżnienie sprawiedliwe i konieczne jeszcze potrzebniejszym się okaże, jeżeli zwrócimy uwagę naszą do stosunków krajowych. Na polskiej ziemi nie może być mowy o kolosalnych przedsięwzięciach, o łączeniu oceanów, o podkopywaniu się pod morza: nasze żądania o wiele skromniejsze. Nam chodzi o zaspokojenie niezbędnych potrzeb społeczności, o wydobywanie nowych najprzystępniejszych źródeł bogactwa narodowego, o wyrwanie kraju z wiekowego zastoju i gnuśności, o stworzenie własnych, choć-

by też drobnych sił finansowych, bez których naród ani przewagi zagranicznych bankierów nie odepchnie, ani nie oczyści się z trądu lichwy miejscowej. W dzisiejszym stanie cywilizacji istnienie na ziemi polskiej własnych, rodzimych instytucyj finansowych jest dla narodu, można powiedzieć, kwestją życia lub śmierci. Albo zdobędziemy sobie na tem polu jakąś niezawisłość, albo też chociaż pańszczyzna oddawna zniesiona, pójdziemy wszyscy na pańszczyznę do bankierów niemieckich lub żydowskich arendarzy. Mieliśmy dotąd właściwą nam buchhalterję, która rozchodów z dochodami nigdy pogodzić nie umiała, i która zawsze bilans swój na tem zamykała, że nadwyżkę rozchodów pokrywała pożyczką od żyda! I skutkiem to tej szlacheckiej arytmetyki połowa ziemi polskiej lub ruskiej w niejednej miejscowości jest już w ręku żydowskiem! Czy ona wróci kiedyś do rąk polskich, niewiemy; dziś i to byłoby znacznym zyskiem, by resztę obronić. I to jest właśnie wielkie zadanie polskich instytucyj finansowych, polskich stowarzyszeń akcyjnych. Walka o polską ziemię z nieprzyjaznym bądź obcym, bądź swoim żywiołem, to ich główny cel i główna będzie da Bóg kiedyś względem ojczyzny zasługa.

Mamy wszelkie powody do mniemania, że tak swoje obowiązki pojmują założyciele i kierownicy tych kilku zakładów finansowych, które na ziemi polskiej, a zwłaszcza w Galicyi istnieją. Praca to obywatelska kierowana zacie, umiejętnie, przezornie, a umiejętności swojej i przezorności niepospolitej zdały one egzamin, kiedy pomimo tylu bankructw wiedeńskich żaden z banków polskich w Galicyi nie zachwiał się. Praca to obywatelska na wdzięczność i na poparcie zasługująca, i z prawdziwą rozkoszą w tem piśmie moje słabe uznanie jej przynoszę; a tej cechy obywatelskiej i to także między innymi dowodzi, że porównano ją jak inne polskie przedsięwzięcia, szlachetne i rozumne, na główną przeszkodę natrafia ona u swoich. Owe znane słowa Woltera, że zawsze na coś potwarz się przyda, bo *zawsze coś z niej zostanie, szczególnież też do instytucyj finansowych ma swoje zastosowanie, i na to właśnie liczą u nas pewne indywidua nieuczciwe i równie nieuczciwe dziennikarstwo. Walka to podstępna, niktzemna, w wysokim stopniu oburzająca; zasługuje na to, by ją opinia publiczna napiętnowała surowo, pierwej jeszcze, nim jej kres położy jakiś wyrok sądu karnego.

Ale jeżeli z szacunkiem i życzliwością odezwać się można

i należy o założycielach i kierownikach polskich instytucyj finansowych, to uznania takiego odmówić musimy niejednemu z banków zagranicznych, gdzie ani moralnej, ani ekonomicznej wartości dopatrzeć się niepodobna; kilka faktów wystarczy na poparcie tego twierdzenia. Jeszcze przed wojną francuzką dostał się giełdzie berlińskiej nabytek niekonięcznie pożądany, tak zwane *akcje rumuńskie*; kwalifikują się one tembardziej pod rozbiór krytyczny, że wiele szczegółów o tej sprawie doszło do publiczności drogą rządową. Zaraz po wstąpieniu X. Karola na tron rumuński niejaki *Dr. Strousberg* otrzymał koncesyę na koleje rumuńskie. Wszedłszy w spółkę z kilkoma magnatami szlązkimi puścił w obieg akcje na 245 milionów franków, przyrzekając nabywcom co najmniej 8 procent dywidendy. Oczywiście tylko ludzie mało oświeceni mogli uwierzyć, że w kraju na pół dzikim, bez handlu, bez gęstej ludności, koleje, których budowa przy małej liczbie robotników musi być kosztowna, przyniosą aż 8 procentów dywidendy! Ale czegoż nie wmówi w siebie *auri sacra fames*, tembardziej, gdy gazety na żołądźce bankierskim tak zręcznie jej potrafią podpowiadać, tak wszechstronnie ubezpieczać! Przyczyniły się też do mniemanej pewności nazwiska wielkich panów za szyld wywieszone. Bądź co bądź bez wahania złożono sumę żadaną. Co z niej wydano na koleje, niewiadomo; tyle pewna, że nikt nie myślał o płaceniu kuponów. Akcyonaryusze zaniepokojeni zaczęli się zgłaszać do *Dra Strousberga* a ten stałe oświadczył, że nie ma ochoty wypłacać kuponów. Nie pozostało nic innego, jak zawezwać pomocy rządowej. Powstało kilka tysięcy procesów, w których *Strousberg* dowodził, że ajenci jego w Londynie, Paryżu, Brukseli już zapłacili te same kupony. Oczywiście z dwóch *kuponów-bliźniąt* jeden tylko był prawdziwy, ale który, tego nie umiano powiedzieć. I nie było widać końca tej sprawy, aż nareszcie dziennikarstwo liberalne, prawie zawsze gotowe gardłować za lepiej płacącym, wzmówiło w akcyonaryuszów, że pono będzie dla nich najlepiej, gdy pokwitują *Strousberga* i *Spółkę* a dopełniwszy sumy wykończą koleje na własny rachunek. Tak się stało w istocie. Wspomniałomyślny *Strousberg* zapłacił nawet jedną ratę procentów za ległych, a potem on i spółka cała pożegnali grzecznie akcyonaryuszów. On, który przed dziewięcioma laty nie miał, jest obecnie jednym z największych bogaczy w Europie, a jego spółnicy

ks. z *Ujestu*, ks. *Raciborski*, hr. *Lehdorf* i kilku innych zarobili (o ile to godzi się nazwać zarobkiem) bajeczne sumy. Był to wysmienity *interes*, mówiąc językiem giełdy, bo nie ryzykując *wygrali* kilkanaście milionów. A nie jest to wcale najbrudniejsza sprawa; wiele jej podobnych, a nawet bezczelnych robiono w Berlinie i po za Berlinem w latach ostatnich, ale nie widziano przedtem imion tak głośnych wpłatanych w sprawę nie tylko podejrzaną, lecz poprostu brudną. I w tem jest oznaka smutna, przerażająca, że upadek zmysłu moralnego posunął się już bardzo daleko. Bo że żyd jakiś bez fortuny, bez przeszłości, bez sumienia, robi się rzezimieszkiem giełdowym, by taką drogą dobić się majątku, znaczenia, sławy, to się rozumie, wszak to plemienia jego celem starodawnym. Ale gdy właściciele rozległych majoratów, potomki rodzin dziejowych na takie puszcza się manowce, trudno wyrazić zgubność przykładu ztąd płynącego na ludzi średniej lub niższej kondycji, którzy kierują się chętnie w zasadach swoich tem, co widzą w kołach wyższych. Gdy w górze zaciera się, nie mówię surowość obyczajów, bo ta już dawno zniknęła, ale zwykłe poczucie honoru i obowiązku, u dołu rozkład społeczny przybierze niewątpliwie rozmiary olbrzymie.

Już przykład powyższy dowodzi, że Berlin jakby wstydząc się, że pozostał daleko za Wiedniem i Paryżem, teraz usiłuje ich osiągnąć z pośpiechem gwałtownym. Któż uwierzy, że w ciągu dwóch lat 1871 i 1872 powstało tam trzydzieści banków nowych, z których ani jeden nie jest zupełnie w porządku z moralnością, ani koniecznie potrzebny dla interesów handlowych. Zwykle założyciele banków podobnych oświadczają publiczności, że odstępują tylko małe części akcyi, prawdziwe bagatele, n. p. miliona talarów publiczności, sami zaś przejmują trzy lub cztery razy większą sumę, której jednak w rzeczywistości nigdy nieskładają. Publiczność zawsze łatwowierna spieszy z pieniędzmi, w obawie, aby jej nie wyprzedzono. Lokal banku zajmuje zwykle całe piętro pierwsze „*pod lipami*“ a napis wspaniały w literach złotych zaprasza już zdaleka. Zaledwie rozebrano akcyę, znika szyld karmazynowy, apartamenta przestronne, wystawne zmieniają się w ciasne izdebki, a kurs spada o wiele niżej sta. Bank naturalnie nie prowadzi interesów żadnych lub bardzo liche, ale założyciele nie wiele o to dbają, bo będąc dyrektorami spółki i członkami nadzoru, ciągną zyski znakomite z kieszeni akcyona-

ryuszów. Kupują kamienice, grunta, kopalnie, a nazajutrz sprzedają je bankowi za cenę podwójną, czego akcyonaryusze nie domyślają się nawet, a przecież nie są to wypadki pojedyncze, ukryte, lecz dzieją się jawnie a zmysł moralny stępił się tak daleko, że nikt się tego nie wstydzi, nikt na to nie oburza. I jakże oburzać się, kiedy każdy przystępuje do zakładania banku z nietajnym zamiarem jaknajprędszego z bogacenia się! Gdy nie można dokazać tego sposobem uczciwym, trzeba robić, jak można, bo jakże pomyśleć, aby w Wrocławiu, Dreźnie lub Frankfurcie mogło w ciągu dwóch lub trzech lat dziesięć lub dwanaście banków nowych znaleźć pożyteczny zakres działania, kiedy tamże istniała już znaczna ilość banków dawnych i poważnych. W pierwszych latach banki takie płacą wysokie dywidendy, ale nie z dochodów, jeno z kapitału, aż gdy założyciele i administracya potężnie się obłowili, przedsiębiorstwo osiada na piasku jak statek rozbity. Obraz dokładny tych przedsiębiorstw można znaleźć między innymi w dzienniku dobrze znającym te sprawy, w *Nowej Berl. Gazecie Giełdowej*. Jeden z jej artykułów pozwolił sobie podać w streszczeniu. Opisuje on dzieje przedwstępne przedsiębiorstwa, będące najczęściej także jego końcem. Są w Berlinie ajenci, ułatwiający właścicielom zadłużonym sprzedaż korzystną własności. Za fatygę dostają kilka, kilkanaście, nawet kilkadziesiąt tysięcy talarów a niemniejszą nagrodę od przyszłych nabywców. Gdy właściciel przyjął ich pośrednictwo, udają się do bankiera a ten zapłaciwszy cenę własności i nagrodę ajenta, odstępuje interesu tak zwanej „spółce“, rozumie się, za wynagrodzeniem sowitem. *Spółka* wypuszcza akcyje zazwyczaj po 60, bo im niższa wstawka, tem większe później zyski a przez grę ukartowaną podniosłszy je do 75 przekazuje drugiej spółce, a tą sprzedaje je trzeciej po 90. Tym sposobem kapitał wpadłszy w mętny staw giełdowy zakreśla po nim koła coraz szersze, dopóki nareszcie akcyje doszedłszy do 100 lub 110 nie dostaną się od bankierów do publiczności. Ta najczęściej akcyje drogo zapłacone chowa sobie za szkłem na pamiątkę, bo jak Berlińczycy mówią „ostatnich psy kłusają.“ Bankierowie wygrywają, a publiczność płaci. Gazeta wspomniona powinna była dodać, bo to już tajemnica nie zbyt ukrywana, że pierwsza spółka bankierów, pozbywszy się świetnie wszystkich akcyj, ofiaruje potem akcyonaryuszom usługi swoje administracyjne i każe sobie płacić pensye

dosyć wysokie. W ten sposób odnoszą zysk podwójny bez żadnej odpowiedzialności, bo przestali być właścicielami.

Mimo sprzyśnięcia gazet liberalnych, rozgłaszających rzadko szczegóły mogące szkodzić bankierom, tyle już dostało się do wiadomości powszechnej, że faktów powyższych niemożna brać za wyjątkowe zjawiska, lecz są raczej stanem normalnym. W Hamburgu słynny *Lauenstein* odstąpił swojej fabryki wozów spółce, która wnet zbankrutowała. Okazało się z rozpraw sądowych, że rada administracyjna dostała od pierwszego właściciela nagrody 600,000 talarów a on sam za odstąpienie klienteli swojej wziął 200,000; Dyrektor zaś techniczny pan *Stahl* wyznał przed sądem, że nie było żadnych dochodów czystych, choć wypłacono 500,000 marek dywidendy. W górnym Szlązku kupiec *Kadura* nabył folwarczek Burg-Branitz za 45,000 tal., poczem odstąpił go spółce za 280,000 tal. Spółka wypuściła akcyje za 330,000 tal., aby założyć tamże browar kolosalny; jednakże zbankrutowała przed pierwszym wywarem piwa a wtedy pokazało się, że jej interesa ograniczyły się na sprzedaży kilku beczek zgniłych jabłek i starego żelaziwa, wartości 9 tal. 15 sr. Berlińska „*Unionsbank*“ oddała spółce akcyjnej fabryki płótna p. *Kramsty* na Szlązku. Oznaczono zrazu kapitał na 2½ milionów talarów, gdy jednak publiczność nadspodziewanie dobijała się akcyj, podwyższono kapitał na 3,600,000 tal., choć oczywiście wartość fabryk pozostała tasama. Tenże bank odprzedał *Hôtel du Nord* w Kolonii innej spółce za 900,000 tal. Przypadkiem odkrył jeden z akcyonaryuszów, że zapisana jest na hotelu hipoteka 250,000 tal., o której bank nie wspomniał. Szczęśliwe odkrycie uchroniło wsameczas akcyonaryuszów od straty. W prowincyi nadreńskiej nabywca pokładów węgla odstąpił ich spółce za 170,000 zhr., ta odstąpiła ich drugiej za 600,000 zhr., która nareszcie sprzedała je akcyonaryuszom za 2,250,000 zhr. W Berlinie zaraz po wojnie wszystkie browary wielkie, a było ich piętnaście, przeszły w posiadanie spółek. Uczciwość tych spółek była taka, że na jednym z nich zapisano milion talarów w akcyjach, w skutek czego przynajmniej trzy piąte kapitału utonęły bezpowrotnie w kieszeniach spółki. A gdy żaden browar nie przynosił spodziewanej dywidendy, akcyonaryusze wszystkich browarów zobowiązali się uroczystym sojuszem do podniesienia ceny piwa z 7 tal. do 9 tal. za beczkę. Był to zamach otwarty na kieszeń publiczno-

ści, który jednak nie udał się, bo zaczęto sprowadzać piwo z prowincyi, czem przerażeni akcyonaryusze poprzestali na cenach dawnych i na dywidendzie szczupłej. Gdyby przeciwnie akcyonaryusze byli utrzymali podwyższoną cenę piwa, byłiby niewątpliwie znaczną zyskali dywidendę, ale kosztem publiczności, zmuszonej płacić o czwartą część więcej za każdy kufel tego napoju Niemcom tak drogiego. A działo się to w jesieni 1871, kiedy hmiel i jęczmień były daleko tańsze, niż w latach poprzednich. Trafnie zauważa czasopismo znakomite (*Historisch-politische Blätter* 3 zeszyt r. 1873), z którego wyjęliśmy kilka tych szczegółów, że to się stało w czasie, kiedy główny organ kapitalistów liberalnych „*Gazeta Narodowa*“ w Berlinie dowodziła w artykułach sążnistych, że przedsiębiorstwa akcyjne są szczytem rozwoju ekonomicznego, dostarczają towarów lepszych i tańszych, *umożliwiają nawet robotnikom częstsze picie lepszego piwa.*

Jeżeli kto, to właśnie Berlińczycy powinni być przejęci nieufnością do spółek akcyjnych, oni, co z każdym rokiem skarżą się bardziej na brak mieszkań, dla którego proletaryat buduje sobie miasteczka szałasowe naokoło metropoli. Brak ten mieszkań w małej tylko części wynika ze wzrostu ludności; w większej nierównie pochodzi z niesumienności akcyjnych spekulacji. Odkąd domy stały się towarem giełdowym, zdarza się często, że tasama własność zmienia dziesięć razy właściciela w ciągu roku, który nie znając wcale lokatorów jedynie marzy o podwyższeniu komornego i sprzedaniu jaknajkorzystniejszym własności codopiero nabytej. Niepotrzeba nawet na to pieniędzy, można dom kupić na kredyt a nazajutrz sprzedać go z zarobkiem. Lokatorowie nie mogący przyjmować ciągłej podwyżki wyprowadzają się do odległych ulic, gdzie naturalnie daje się uczuć *brak mieszkań.* Wtedy dopiero dla spekulacyi czas żniwa nadchodzi. Zawijają się spółki, w Berlinie powstało ich trzydzieści w jednym roku, a wszystkie wypuszczają akcyje z ogromną sperandą a większą jeszcze chęcią przyniesienia usług przez dostarczanie nowych mieszkań. W rzeczywistości spółki najczęściej ani myślą o budowaniu domów: kupują grunta, dzielą i sprzedają je nanowo, a te w kurs giełdowy puszczone kawałki ziemi, rosnąc wciąż w cenie, tak nareszcie podrożeją, że gdy stanie na nich kamienica, chyba bardzo majątni ludzie w niej mieszkać mogą. Tak więc te spółki zamiast ułatwiać, utrudniają tylko budowanie

domów, podbijając ciągle cenę ziemi. Spółka *Königsstadt* zakupiwszy 22 gruntów za 127,396 tal. wnet je sprzedała za 225,311 tal., przez co cena gruntów podniosła się o 85 proc., z niesłychaną szkodą przyszłych lokatorów, a spółka zarobiła 97,915 tal. poświęcając się na usługi publiczności. Na tem polu poświęceń rywalizuje z nią inna spółka *Lichterfeld*, która nabywszy grunta rozległe za 431,306 tal. odstąpiła ich za 930,037 tal. podwoiwszy ich cenę. — Kamienicę przy *Kreutzbergu* posiada pewien spekulant za 22,000 tal. i sprzedał ją spółce za 250,000 tal. Przy *Lipskiej ulicy* sprzedano starą kamienicę, którą miano rozebrać, 3 razy w ciągu czterech miesięcy: pierwszy nabywca dał 116,000 tal. a trzeci 170,000 tal. Jeden ze szląskich magnatów zyskał w krótkim czasie 600,000 tal. na kupnie i sprzedaży domów. Nie dziw, że wskutek tych niesumiennych spekulacyj ostatni nabywcy zmuszeni są bezustannie podwyższać komorne, a jeżeli tak rzeczy pójdą dalej, ludzie z dochodem miernym albo nie znajdą mieszkań, albo będą musieli nie jak dawniej piątą lub czwartą część dochodów obrócić na mieszkanie, lecz może połowę lub nawet dwie trzecie i taka przyszłość wywołuje coraz głośniejsze oburzenie, nawet z piersi liberalistów. Jaki ztąd przyrost nędzy! ile zarzewia dla socjalizmu! A wszystko to owocem spekulacji giełdowej! Ale niczem ona jeszcze w porównaniu ze zgnilizną moralną, którą szerzy dokoła siebie giełdowa gra.

Już o loteryach państwowych oddawna powiedziano, że nie powinny być tolerowane, bo łudząc grających kłamliwą obietnicą łatwego z bogacenia się, zabijają w nich energię do pracy i skromność wymagań, a wzbudzają żądze, których najśmielsza wyobraźnia zaspokoić nie zdoła. Czemże jednak gra loteryjna wobec spekulacyj giełdowych, gdzie nieraz w jednym dniu więcej milionów przepada, aniżeli w loteryi krajowej przez rok cały? Na berlińskiej giełdzie wynosiły „*dyferencye*“ 1 stycznia 1872 r. przeszło sto milionów talarów — ileż walorów było w samej grze! A uważać trzeba, że Berlin nie jest wcale giełdą największą, że to wszystko powtarza się i na większe rozmiary gdzieindziej. Można bez przesady powiedzieć, że wszelki zmysł moralności tam znika i że sukces uniewinnia wszystko. Zdaje się nawet, że giełda tembardziej idzie w górę, im niżej kraj upada, i że tem świetniejsze robią interesa, im cięższe ciosy spadają

na społeczeństwo. W Paryżu pożyczki miliardowe utworzyły pole spekulacyjne przedtem wcale nieznanne; mimo stosunków niepewnych i przyszłości ciemnej szła przedsiębiorstw akcyjnych dalej wre, jak za pogodnych dni cesarstwa. Jeżeli ostatnie kłęski polityczne zadały Francji ciężkie, niepowetowane straty, to giełda paryska niewątpliwie nic nie ucierpiała, nawet rozwinęła działanie pełniejsze, niż przedtem. Tosamo i w Austrii. Zaraz po r. 1866 gorączka towarzystw akcyjnych opanowała stolicę i powstało ich tyle, że nie mogąc się pomieścić razem, zaczęły się nawzajem spychać i dławić i większość ich w końcu utonęła w pamiętnym „*Krachu*” lub jeszcze utonie. Nie myślimy bynajmniej twierdzić, żeby wszystkich kłesk finansowych, które ostatnimi czasy tyle majątków pochłonęły, sama niesumienność była przyczyną; owszem chcemy wierzyć, że częściej wywołała je nieprzezorność, gorączka spekulacyjna, nieraz i prosty przypadek, brak uczucia; niemniej przecież jest pewnem, że ruch giełdowy był i jest sztucznym, że brak mu naturalnej podstawy, mogącej próbę wytrzymać. Tymczasem publiczność łatwowierna, podtrzymująca wszystkie te przedsiębiorstwa swym groszem, trwa mimo to w przekonaniu, że akcje i banki są oznaką „postępowego gospodarstwa społecznego”, bo wyczytała to w gazetach, a co gazety mówią, prawdą być musi. Prawdą zaś jest, że dzisiejsze „gospodarstwo giełdowe” jest chyba postępowem wyzyskiwaniem publiczności i naprowadza na myśl, że w naszych czasach wolno być wielkim oszustem, ale małym być nie wolno. Sprzedaż mleka z wodą zaprawionego prowadzi do aresztu, ale wypuszczanie akcji, o których się wie z góry, że nie przyniosą zysku, to droga do majątku i dostojenstw bez obawy kodeksu karnego i policji. Bo cóż rządy pomogą tam, gdzie opinia publiczna tak się oswoiła z polityką sukcesu, że ilekroć o pieniądzu chodzi, opinii publicznej, można powiedzieć, nie ma już wcale. „Trudno zostać milionerem nie otarłszy się rękawem o kryminał” powiedział bohater giełdowy, a publiczność znalazła to zdanie bardzo dowcipnem. Nikt się nie oburzył. Ten brak szlachetnej indygnacji dowodzi braku opinii publicznej. Nie jestto sąd ludzi „zacofanych”, którymby zarzucić można przesadę; owszem ludzie właśnie postępowi wytykają zgniliznę giełdową i jej niebezpieczeństwo ogromne dla społeczności.

W ostatnich sześciu latach nie było ani jednej powa-

żnej gazety liberalnej w Niemczech, któraby nie była podała od czasu do czasu szkiców moralności giełdowej, a szkice te, pozostające daleko za rzeczywistością, są tak przerażające, że doprawdy nie godzi się przypatrywać obojętnie tak zuchwałemu rozpościeraniu się najwyrafinowańszych zasadzek na cudzą kieszeń. Były profesor ekonomii politycznej i były minister austriacki, *Dr. Schäffle*, znający dokładnie społeczne stosunki wiedeńskie, przytem liberał bez skazy, pisze w dziele swoim „*Kapitalizm i Socjalizm*“ na str. 129 co następuje: „Przypatrzwszy się zblizka stosunkom wielkiego świata giełdowego, odstąpiłem znacznie od dawnego mniemania mego, jakoby istniała harmonia jakaś ekonomiczna w dzisiejszem społeczeństwie. Plutokracja naszych czasów jest we wielu warstwach swoich zupełnie przegniła. Kradzież kolosalna praktykuje się w Europie za dni naszych, wobec której rozboje szlachty średniowiecznej lub teokratyczne dziesięciny były bardzo uczciwym zarobkiem; a zamiast do domu poprawy, prowadzi ona do zaszczytów.“

Nie mamy co dodać do słów byłej ekscellencji, bo dokładnie maluje położenie rzeczy, które coraz groźniej się układa. Podwójne niebezpieczeństwo spiesznym krokiem nadciąga: *materiałne i moralne*; oba zwiastują zgubę porządkowi społecznemu. Materiałne jest w coraz większej absorbcyi małych majątków przez wielkie, która przybrała rozmiary zastraszające, odkąd majątki utonęły w papierach. Jak niegdyś w państwie rzymskiem całe prowincye należały do kilku wielkich panów (prowincya afrykańska do sześciu za rządów Nerona), tak dzisiaj tysiące drobnych majątków przez grę giełdową spływa w kasę jednego bankiera. Ztąd coraz większa nierówność majątków, gdy z jednej strony wzrasta proletaryat, z drugiej zmniejsza się liczba właścicieli. A wiadomo, że nic tak nie rozsadza społeczności ludzkiej, jak zbyt rażący przedział w majątkach, i co za tem idzie, w zwyczajach, zajęciach, wykształceniu. Nic tak nie pobudza niższych do nienawiści przeciw wyższym, jak owe „dysharmonie społeczne“, rozdzierające nawet chrześcijan w dwa przeciwne sobie obozy. A tem łatwiej i prędzej się to dzieje, im bardziej zmysł moralny znika, a poczucie obowiązków się zacieśnia. I tu jest drugie niebezpieczeństwo, które nam giełdy gotują, istotne, kardynalne niebezpieczeństwo moralne. Jeżeli na widok „kradzieży legalnej, praktykowanej dzisiaj w całej Europie“, jak

mówią pisarze liberalni, rządy zachowują milczenie obojętne, a publiczność nawet przyklaskuje, to gdzież podziały się zasady społecznego bytu? cóż się stanie z majątkiem prywatnym, podwaliną rodzin i narodów? Czyż potrafim obronić własność od napadów socjalizmu?

Socjalizm jest dzieckiem giełdy i tego samego chce, co ona: oba chcą zubożać swoich czcicieli i na tym punkcie panuje zgoda zupełna. Ta tylko zachodzi różnica, że co giełda robi bez planu, przypadkiem, przez grę mniej lub więcej sumienną, socjalizm przeprowadzić chce z planem niby sprawiedliwie i dla wszystkich. I w tem pokazuje się socjalizm moralniejszy i wyższy od giełdy. On chce, żeby istnienie obywateli nie zależało od kaprysu spekulantów, od rozsiewania fałszywych pogłosek, które przez noc mogą milionera zrobić żebrakiem, i o ile tego się domaga przez wymowne usta *Lassalla* (*Bastiat-Schulze* str. 210) oraz innych swoich rzeczników, ma rację i zyskuje sobie sympatye tłumów. I w tem wielkie jest niebezpieczeństwo. Nikomu nie tajno, że mimo tych obietnic wspaniałych, mimo zamiarów niby idealnych socjalizm jest w gruncie wrogiem Kościoła, antytezą chrześcijaństwa. Jego zwycięstwo w którymkolwiek kraju Europy byłoby zagładą Kościoła a temsamem i społeczeństwa przez Kościół stworzonego. Trzeba więc zwalczyć go, zniszczyć zupełnie, bo tu chodzi o ocalenie społeczeństwa. A na to nie ma rady skuteczniejszej nad odjęcie mu sprzymierzeńców. Chcąc wroga pobić, trzeba ich przedewszystkiem odciągnąć od niego, a potem odciąć mu dowóz. Otóż sprzymierzeńcami socjalizmu są właśnie giełdy a dowozem owe zastępy bankrutów, wyrzucanych przez giełdy codziennie na bruk wielkich stolic Europy. Tam korzenie złego, tam trzeba przyłożyć siekiere. Ale daremne podobne nasze wołanie, jeżeli rządy w jednym państwie sprzymierzeńcami będą, w drugim niewolnikami giełdowych kapitalistów. Rząd liberalny musi oglądać się na głos postępowych dzienników, a te prawie wszędzie tak piszą, jak im każe bankier. Mniemam, że niewola, w której dzisiaj giełdy trzymają świat cały, pomimo klęsk, jakie już przyniosły, potrwa jeszcze czas dłuższy i że przy zaślepieniu jakie powszechnie panuje, nie masz na nie lekarstwa, chyba w nadmiarze złego, które sprawią jeszcze.

VIII. Liberalizm i Socyalizm.

Zbliżając się do końca mojej rozprawy, powiem bez ogródki, że coraz większa ogarnia mnie obawa nie wywiązania się z obranego zadania, nie zaspokojenia oczekiwań przedmiotem rozprawy wznieconych. Czując niedostateczność sił moich, widząc brak wielki potrzebnych materyałów, wołałbym długie jeszcze odbyć studia na niezmiernem polu nowożytnego postępu, aniżeli już teraz pokusić się o zamknięcie bogatej treści jego w kilku rysach pobieżnych. To jedno poniekąd mnie uniewinnia i daje prawo niejaki do pobłażliwości łaskawych czytelników, że treść rozprawy mojej sama się rozwija z siebie i że choćbym ja nie potrafił jej jak należy wypowiedzieć, czyteńnik sam wpadnie sam na konkluzye. Oczywiście bowiem, że nie warto mówić o socyalizmie, [nie dotknąwszy jego prawdziwej, istotnej przyczyny, gdyż ani zrozumieć nie można rzeczy, nie znając jej powodu, ani podać lekarstwa na jej strony ujemne. Wprawdzie wymieniłem kilka przyczyn, ale były one drugorzędne; o każdej z nich da się powiedzieć, że jest piastunką złego, ale nie jego matką. Nędza robotników, uciążliwe podatki, chciwość niesumiennych akcyonaryuszów tłumaczą wiele, ale nie tłumaczą wszystkiego, bo nawet po ich usunięciu pozostanie jakieś jądro socyalizmu, zagrażające społecznemu rozwojowi. Zmniejszą się zwolennicy, ale system taki jest ciągiem niebezpieczeństwem. Wszak on nie powstał wśród nędzy, w głowach robotników, lecz twórcy jego, jak to widzieliśmy, byli ludzie majątni, dobrze wychowani, przyzwyczajeni do życia wykwiutnego. Zdawałoby się, że tego rodzaju ludzie najmniej hołdować powinni stanowi rzeczy, który, gdyby przyszedł do skutków, niewątpliwie pozbawiłby ich najdroższych pociech i najmiłszych nawyknień. Ale przedziwna jest moc idei. Im natura jest wyższa, tem bardziej ona jej podlega. Im kto szlachetniejszy, tem skorszy do poświęceń, byleby idei zapewnić zwycięstwo. Ztąd widzimy, że w krajach romańskich ludzie bogaci, z rodzin powszechnie szanowanych, fanatycznie szerzą zasady socyalizmu i nietylko dom i kasę, lecz nawet dobre imię swoje oddają na jego usługi. Mogą być wśród nich ludzie ambitni, z nieczystą intencją, mogą tam być nawet egzystencye katylinarskie, na wywrocie społecz-

nym budujące gmach własnej pomyślności, ale obok nich ileż charakterów bezinteresownych, z ofiarnością bez granic, z zapalem godnym lepszej sprawy! Widzieliśmy nawet u nas, choć Bogu dzięki wypadki te już należą do przeszłości, że młodzież obywatelska przez kilkoletni pobyt w rosyjskich uniwersytetach, zwłaszcza kijowskim, do tego stopnia przejmowała zasady nihilizmu, że powróciwszy do domu buntowała chłopów przeciw własnym rodzicom. Jeżeli podobne zjawiska napotykamy w ludach słowiańskich, którym przecież Pan Bóg nie poskąpił serca, a na szczęście wielkie odmówił zbytnej skwapliwości do zatapiania się w bezdennej metafizyce, cóż to być musi w krajach oświeconszych, np. Francji lub Niemczech, gdzie nawet ludzie praktyczni zapalają się do jakiejś teorii i jeżeli nie całą, to przynajmniej część jej usiłują wprowadzić w życie. Tam systemy rozliczne, sprawiające zamęt w umysłach, a choć odmienne w przypadłościach swoich, nucą one wszystkie tę samą piosenkę socjalizmu: „*uszcześliwienie człowieka na tonie przyrody*.“ Gdzie rzeczy zaszyły tak daleko, gdzie zasmakowano na dobre w układaniu coraz nowych reform społecznych, tam materyalne prześladowanie socjalistów na mało się przyda, gdyż po rozpędzeniu nawet szyków pozostaną kadry, mogące wkrótce napełnić się nowym rekrutem. Ztąd też rządy, od trzydziestu lat zajęte ściganiem socjalizmu, nie mogą się pochwalić żadnym poważnym rezultatem; mimo procesów, kajdan, baniej, rzuconych na przedstawicieli nowego ruchu, ruch ten nietylko nie ustał, lecz wzmacnia się z każdym rokiem, a naczelnicy jego dowodzą dzisiaj zastępami ogromnymi. Sekret ciągłych tych niepowodzeń rządów jest w starej tylekrotnie przypominanej prawdzie, o której jednak ludzie stojący u władzy najczęściej zapominają: że idea nie da się przebić bagnietem ani osadzić w więzieniu; przebita, niebawem zmartwychwstanie, wtrącona do więzienia, potężnym głosem swoim nawet dalekie poruszy prowincye na odsiecz sobie.

Przeciw idei nie siła materyalna, lecz koniecznie idea druga do walki wystąpić powinna; przeciw systemowi musi stanąć system i rozpocząć z nim walkę duchową. Powie to niejeden, że taka walka w istocie się toczy, i że socjalizm nowożytny, ledwo zjawił się na widnokręgu społecznym Europy, zaraz ujrzał przeciw sobie sprzymierzone wszystkie dawne systemy. Zarówno dzienniki wszystkich opinij politycznych jak katedry wszystkich

szkół wyższych ogłosiły formalną krucyatę przeciw powstającemu nieprzyjacielowi a zwycięstwo liberalizmu wydawało się tem niewątpliwyszem, że wszystkie stronnictwa konserwatywne, zapomniawszy swoich uraz słusznych, posiłkowały go wedle możności. Mimo to niezdożył on żadnych wawrzynów, a nawet dawne potracił, bo jeżeli sprzymierzone z nim rządy odnosiły przynajmniej chwilowo materyalne korzyści nad ruchem społecznym, to liberalizm teoretyczny zapisywał same klęski w ostatnich dziesiątkach lat swego istnienia. I jakże inaczej być mogło, kiedy w szeregach swoich nie znalazł ani jednej znakomitości, któraby na seryo była mogła podjąć się walki z dowódcami ruchu społecznego. Przeciwnicy *Lassalla* lub *Marxa* z obozu liberalnego robią nam wrażenie liliputów, rzucających się na olbrzymy. Dowodzi to wielkiego wycieńczenia sił, wielkiego upadku duchów. A gorsza jeszcze, że te karły nie mają nawet broni potężnej, mogącej zastąpić brak gieniuszu, nie mają już systemu, w który wierzą. Dwa największe utwory nowożytnego liberalizmu, ekonomia polityczna i filozofia *Hegla*, wysunęły im się z rąk zupełnie i dostały się w posiadanie przeciwników, odkąd *Lassalle* dowiódł, że ekonomia polityczna musi koniecznie z wyżyn, na które zawiódł ją *Ricardo*, spaść prosto w otchłań socjalizmu; odkąd *Marx* dyalektykę *Hegla* zrobił duszą społecznego wywrotu. Wprawdzie szkoła liberalna usiłowała dowieść, że ani *Hegel*, ani *Ricardo* nie prowadzą do socjalizmu, ale nie dowiodła, nie odparła żelaznej konsekwencji *Lassallowych* argumentów. Uciekano się wtedy do broni grubszej, materyalnej. Nie mogąc socyalistom odmówić ścisłej logiki, zarzucano im śmieszność, niepraktyczność, karykaturę. Ale zarzuty takie są zbyt grube, aby mogły dosięgnąć, a tem mniej zalać teorię. Bo co śmiesznem jest dla materyalisty, jest nieraz bardzo poważnem dla filozofa, a co niepraktycznem się wydaje głowie ciasnej, jest igraszka dla głowy gienialnej. Teoria jest wyższą po nad tego rodzaju pociski, a na jej pobicie koniecznie potrzeba broni idealnej, duchowej. Innemi słowy: Kto chce skutecznie rozprawić się z jaką teorią, musi naprzeciw niej postawić teorię lepszą. Tego liberalizm uczynić nie mógł, dla prostej przyczyny, że jej nie ma. Myśl tę, na pozór nieprawdziwą, wypada uzasadnić pokrótce, a będzie to właśnie przedmiotem uwag następnych.

Świat obecny duchowy rozchodzi się coraz bardziej na dwa niepokodzone stronnictwa: liberalizm i katolicyzm; wszystkie zaś pośrednie, dwuznaczne partie coraz bardziej się rozkładając giną albo w pierwszym, albo w drugim. Jeszcze przed kilku laty nie byłoby wszyscy się zgodzili na taki podział, pod pretekstem, że tylko mała frakcja Kościoła katolickiego, tak znany ultramontanizm, jest antytezą liberalizmu; ogromna zaś większość zostaje niejako w pośrodku między skrajnym postępem a skamieniałym konserwatyzmem. Tak mówiono. Na wielkie jednak szczęście bieżące wypadki zadały kłam zupełny temu twierdzeniu i srożące się prawie po wszystkich krajach prześladowanie Kościoła dowiodło jawnie, że liberalni nie w partycję jaką godzą, lecz w całą społeczność chrześcijańską, a tak zwani ultramontani nie są małą garstką zaślepionych fanatyków, lecz są to wszyscy biskupi z wszystkimi wiernymi. Wobec dokonywanego się rozdziału i toczącej się walki określenie liberalizmu nie jest bardzo trudnem, można go nazwać ogólnie antytezą chrześcijaństwa, bo dlatego właśnie zrywa z chrześcijaństwem, że w głównych zasadach swoich jest zupełnem jego zaprzeczeniem. W istocie, od pierwszej chwili powstania swego występuje on przeciw panowaniu idei chrześcijańskiej w rodzinnem życiu i społecznem, w sztukach i naukach, w państwie i szkole. Na wszystkich polach życia duchowego skrycie lub otwarcie sprzeciwia się on chrześcijaństwu i dlatego słusznie zwać się powinien jego antytezą.

W tej walce liberaliści są między sobą w zgodzie. Myliłby się jednak, kto by mniemał, że ta ich zgoda trwająca dopóki chodzi o burzenie chrześcijaństwa, rozciąga się także do zasad dodatnich. Bynajmniej! Tam już nie ma zgody, tam się pokazuje, że obóz liberalny zupełnie sprzeczne między sobą żywiły u siebie gromadzi: *Quot capita, tot sensus*. Jednakże ta chaotyczna rozmaitość układa się w pewne grupy, inaczej byłoby zgoła niepodobnem, określić jej istotę, działanie, zamiary. A nie potrzeba przypatrywać się wszystkim frakcyom liberalizmu z osobna, charakter ich walki z socjalizmem i rezultat ich usiłowań da się oznaczyć dokładnie, gdy poznamy główne, od których zależy wypadek walki. Jest ich daleko mniej, aniżeli wydaje się na pierwsze spojrzenie, bo wszystkie owe rozliczne szkoły, sekty, partie grupują się naokoło dwóch chorągwi i walczą pod hasłem podwójnem; wszystkie w gruncie są albo *materyalistami*, albo

panteistami. A nawet te dwa systemy w praktyce w jedno się schodzą i na ten sam sposób życie ludzkie urządzają, bo nie przypuszczając różnicy między duchem a materią, między Bogiem a światem, między wiarą a objawieniem, między dobrem a złem, między państwem a Kościołem afirmują ten sam wieczność materii, bóstwo świata, nieomylność rozumu, nieodpowiedzialność sumienia, wszechmoc państwa. Taką zaś naukę nazywamy bez ogródki *materyalizmem*. Nowożytny przeto liberalizm, przynajmniej w głównych swoich rysach i w ostatnich swoich dążeniach jest poprostu materjalizmem. I onto ma pokonać socjalistów? Zobaczmy, czy to podobna.

Nasamprzód w myśleniu przedstawia on nader smutny obraz rozstroju. Wyrwawszy z duszy wszystkie główne pojęcia, na których życie ludzkie się opiera, materjalizm lub liberalizm nie ma żadnego punktu oparcia, żadnej zasady. Nie zaczepiając tu wcale o metafizykę, której on zupełnie nie zna, zatrzymam się jedynie na tych pojęciach, które mają doniosłość moralną i przechodzą po przez wszystkie nasze stosunki społeczne. Napotykamy na każdym kroku pojęcie Boga, pojęcie rodziny, ojczyzny, cnoty, wdzięczności, wierności i tyle innych, które w praktyce szanujemy, bo mamy je za prawdziwe, za dawniejsze od rodzaju ludzkiego, za wyższe nad wszelką krytykę. Liberalizm w praktyce także przypuszcza wszystkie te pojęcia, nawet do nich się stosuje, jak może, bo uważa je za wygodne, za praktyczne, ale za to w teorii odmawia im wszelkiej bezwzględnej prawdy. Nie uznając stwórcy ani objawienia, uważa on człowieka za zwierzę udoskonalone a stosunki społeczne i moralne za pewne formy konwencyonalne, których niegdyś nie było i może znowu kiedyś nie będzie. Własność n. p. Niegdyś jej nie znano, bo któreż zwierzę coś na własność posiada? Nerozwiązalność małżeństwa! oczywista ugoda dobrowolna, bo zwierzęta jej nie znają! Nieprzerwalność rodziny! także nawyknięcie, którego większość zwierząt nie nabyła jeszcze. Cnota! wyraz niejasny, który już u zwierząt wyższych napotkać można! Inne pojęcia, jak Bóg, dusza, nieśmiertelność, życie przyszłe są to abstrakcje, którym żadna lub bardzo wątpliwa wtórjuje rzeczywistość. W praktyce naturalnie usiłuje liberalizm choć część tych pojęć zatrzymać, dowodząc, że są niezbędne dla szczęścia ludzkości, że są prawdziwym postępem nad stanem zwierzęcym, że są podstawą przyszłego,

wyższego jeszcze rozwoju. Któż jednak nie czuje, że podobna obrona za pomocą względów praktycznych jest właściwie żadna i że nic nie ma równie wstępnego dla ducha ludzkiego, jak uważać coś za konieczne w porządku fizycznym, kiedy niem wcale nie jest w porządku logicznym? To właśnie usunąć chcą socjaliści i w tem ich wyższość nad liberalizmem; oni nie chcą być chodzącą kontrydyką, lecz wprowadzać w czyn to, co uważają za prawdę. Wychodząc z tych samych zasad, co liberalizm, jak on, dowodzą, że wszystkie owe abstrakcyje są to bardzo późne nabytki, bez których ludzie żyli zrazu i znowu żyć mogą. „Prawda! zgoda! odpowiada liberalizm, ale szajnujmy to, co jest, bo nam z tem dobrze, a każdej zmianie towarzyszą klęski niechybne. Byłoby szaleństwem, poświęcić terazniejszość ubezpieczoną dla niepewnej przyszłości, tem niepewniejszej, im bardziej pomysł nasz pozbawiony są zdrowego rozsądku i praktyczności.“ — „Tak się tobie zdaje, odpowiadają socjaliści; my lepiej tuszym o dziele naszym i w imię postępu zabieramy się do roboty. Czy się uda, to przyszłość niedaleka okaże; zresztą, niejedną rzecz wprowadziliśmy w życie, która się dziadom naszym wydawała niemożliwą. Wystarczy, że mamy prawdę za sobą; jak ją wykonać, to już rzecz nasza.“ I na to liberalizm nie ma nic do odpowiedzenia. Poważne dzieło *Lassalla* o nabytych prawach człowieka dotąd wygląda repliki, ale pono nadaremnie. Bo replika ta byłaby samobójstwem liberalizmu, a ludziom liberalnym wcale nie chce się umierać. Na prawdę oba systemy urodziły się w głowie *Russa*. oba do tegoż zmierzają celu. Różnica cała w tem, że liberalizm znużony został w drodze i opiera się iść dalej, a socjalizm, mający silniejsze piersi, pragnie dotrzeć do końca. Oba od tegoż samego zaczęły, od zerwania z przeszłością, oba tę samą windykują sobie jakoby Boską niezależność, trudno więc pojąć, z kąd starszemu z nich przychodzą nieszczęsne skrupuły i zachcianki konserwatywne, kiedy całe życie jego właśnie w tem, że nic nie konserwuje. Jeżeli wolno mu było zburzyć przeszłość, obcych rąk pracę, w którą nic nie włożył, to daleko łatwiej zniweczyć własne jego dzieło, nie opierające się na żadnym prawie dziejowem, na żadnej zasadzie Bożej. I dziwną tu widzę analogię między najnowszym ruchem społecznym a współczesnym rozkładem zborów protestanckich. W Niemczech z każdym rokiem więcej gmin wylamuje się z pod powagi synodów, coraz więcej jednostek

z pod władzy swoich pasterzy. Konserwatyści protestanci krzyczą w niebogłose, jak gdyby ten rozkład nie był konieczny i jak gdyby już dawno nie był się on dokonał bez żelaznej protekcji rządów, udzielonej zborom rządowym. Gdy *Luter* w imię *wolności* wystąpił z Kościoła, dowodząc, że każdy wierny może być sobie sam nauczycielem i kapłanem, nikt nie spodziewał się, że swoją liberalną naukę i swoich kapłanów narzucać będzie gwałtem stronnikom czy naśladowcom swoim. Chłopi, którzy zwykle więcej mają zdrowego rozsądku od ludzi książkowych, tak w istocie mniemali i nie chcieli przyjmować nadsyłanych im pastorów. Jeżeli wszyscy mają prawo nauczać i udzielać Sakramentów, tem samem nikt nie ma władzy nad innymi, a najmniej państwo podobną władzę posiada. Chłopi to zrozumieli, wzbraniłi się opłacać niepotrzebnych pastorów; rządy jednak, w imię złotej wolności i żeby uwolnić ich od *jarzma rzymskiego* narzuciły im gwałtem jakichś superintendentów, jakieś tam synody, szkoły i nabożeństwa, które przeszło trzy wieki ciężły na wyzwolonych z pod ucisku gminach. Dzisiaj jednak, kiedy wystąpienie z rządowych zborów nie jest już karane ani więzieniem ani konfiskatą, ani utratą urzędów lub praw obywatelskich, zasada protestantyzmu odżyła w dawnej świeżości i byleby rządy nie przeszkadzały jej więcej, przez lat kilkanaście rozbije zupełnie tak zwane synody lub przynajmniej zabierze im wszystkich adherentów. Bo logika przedewszystkiem: Albo Kościół, albo samopas chodzące jednostki, nie można nie posadzić w środku, bez zgwałcenia praw myślenia. Kościół protestancki jest kontradycją, która w świecie materyalnym może czas niejaki być utrzymana przy życiu sztucznem, gwałtownym sposobem, ale w krainie myśli dla niej miejsca nie masz. Protestantyzm to bunt przeciw Kościołowi. Otóż zbuntować się przeciw Kościołowi, aby założyć Kościół nowy, jest równą niedorzecznością, jak podnoszenie rokосу przeciw legitymizmowi na to, aby założyć nową dynastję. Podobnież się rzecz ma z nowożytnym liberalizmem. Przed nastaniem jego społeczeństwo chrześcijańskie długą, męczącą pracą wieków utworzyło sobie wspaniały system życia, oparty na szeregu prawd niewzruszonych. Ciało i dusza, mąż i żona, ojciec i dzieci, pan i sługi, książę i poddani, cesarz i książęta, Kościół i państwa miały tam swoje miejsce określone, swoje przywileje, swoje prawa uświęcone. Przeciw temu porządkowi

pół ludzkemu, pół boskiemu (o jego ułomnościach nie ma tu co mówić, bo każda sprawa doczesna ma swoje strony ujemne, które jednak nigdy nie uprawniają *buntu*) tak zwany liberalizm, pod temsamem hasłem, a *Luter* i niewątpliwie jego przykładem zachęcony, podniósł rokosz i przemazał odrazu całą tę przeszłość wspaniałą, tę drogą pracę wieków minionych. W praktyce musiał nie jedno zostawić, ale w zasadzie wyrzekł bez ogródki, że człowiek jest niezależny, nawet od przeszłości, i że może wedle woli swojej urządzić życie swoje, tak jak ów człowiek fikcyjny, który ze zwierzęcia przedzierzgnął się w istotę myślącą i los swój jedynie zawdzięcza własnemu przemysłowi. Czemże więc liberalizm, jeżeli nie buntem przeciw całej przeszłości rodzajów, przeciw wszystkim prawom dziejowym. A jeżeli buntem, to jakim prawem chciałby coś zatrzymać z naszej przeszłości? Rodzina, własność, państwo mają swoje formy, uświęcone przez chrześcijaństwo. Nie można ich zachować po odrzuceniu chrześcijaństwa. Ztąd socjalizm pragnący zniszczyć i te ostatnie zabytki, słusznie obwinia rządy liberalne o faryzeizm, o wyrzeczenie się swoich zasad, o stagnację w postępie. Nie może być wątpliwem, po której stronie jest logika. Mogą rządy czas dłuższy lub krótszy utrzymać się siłą bagnatów i przewagą kapitałów; w umysłach sprawa ich już przegrana, a jak w świecie religijnym coraz stanowczej odzywają się głosy: *albo Kościół prawdziwy, albo żaden Kościół* — tak w świecie filozoficznym coraz energiczniejsze daje się słyszeć wołanie: *albo chrześcijańska wiedza, albo naturalizm*. A naturalizm to samo co socjalizm.

Przypatrzmy się liberalizmowi z innej strony; zobaczymy, jak urządza życie swoich stronników i jaką zasadę moralną poleca im jako mądrość najwyższą. Tu już żadnych cytat nie potrzeba; dosyć jest mieszkać w wielkiem mieście kilka tygodni, aby się przekonać, że hasłem nowego prądu, unoszącego dzisiaj warstwy liberalne, jest używanie życia bądź co bądź. Najpospolitszy epikureizm, a ten znowu niczem innym tylko materyalizmem. Byli zawsze ludzie, używający życia, ale nie śmieli tego ogłaszać za cel i zadanie najwyższe człowieka. Dwa razy tylko odważano się na to: za czasów pogańskich i dzisiaj. Jakakolwiek książkę liberalną otworzymy, gdy będziemy w niej szukali celu naszego, znajdziemy tęsamą odpowiedź: *używaj*. W tem zgadzają się pisarze wszystkich odcieni z małemi wyjątkami.

Heine i *Büchner*, *Schäffle* i *Proudhon*, *Mill* i *Littre*, *Buckle* i *Darwin*, wszyscy zamykają etykę swoją w jednym słowie: „używaj“, a niechęć swoją do chrześcijaństwa w dwóch słowach: „precz z abnegacją“. Stwarzać sobie coraz nowe potrzeby, a potem zaspakajać je w używaniu, oto wedle nich najwyższa doskonałość i najwyższe szczęście ludzkości. Im mniej potrzeb ma naród jaki, tem nędzniejszy; im więcej potrzeb, tem oświeceniwszy i doskonalszy. Cała nowożytna oświata zdaje się tem jednem zadaniem zajęta, aby wynajdywaniem coraz nowych potrzeb dostarczać ludziom coraz nowych środków używania. Każda wielka stolica stara się być rajem, w którym pracuje się mało, a używa się wiele. Miasta prowincjonalne rywalizują ze stolicami i zamiast coraz więcej pracować a coraz mniej używać, przy wzrastającej nędzy a mnożącej się ludności, każdy przeciwnie chce używać jak najwięcej, a pracować najmniej. I zasada ta nietylko na polu pracy materialnej dzisiaj panuje, gdzie ją łatwiej zrozumieć i usprawiedliwić, lecz nawet tam, gdzie używanie równa się zabójstwu na polu duchowem. W naukach, gdzie rozkosz używania tylko wtedy dozwoloną jest, gdy jest owocem wielkich trudów, starają się wszyscy pierwszą uzyskać, a drugie pominąć. Za tą chęcią używania idzie coraz zaciętsze usuwanie pierwiastku nadprzyrodzonego z ludzkiego życia. Jeżeli tu i owdzie liberalni uważają za praktyczne, o niem jeszcze wspominać lub mu zostawić jakieś miejsce w porządku społecznym, to w zamian usiłują go czempredzej sprowadzić do nic nieznaczących rozmiarów. Jakieś oficjalne nabożeństwo, parę świąt państwowych, suchy wykład ogólnej moralności, oto wszystko, na co zezwalają. Kiedy w wiekach średnich obrzędy religijne przeplatały całe życie rodzinne i obywatelskie, a wszystkie warstwy zarówno praktykowały zasady umartwienia, dzisiaj wszystko, co choć zdaleka przypomina abnegację, śmierć, życie przeszłe, zostało z świata liberalnego wygnane. Nic tak nie gniewa naczelników ruchu liberalnego, jak gorętszy wybuch nadprzyrodzonych pragnień; wtedy tracą zupełnie głowę i w imię wolności ciała prześladują ducha. Jakaś procesya, pielgrzymka, bractwo religijne, misya lub konferencye duchowne wydają im się ciężkiem przewinieniem, a wszystkich zasobów władzy, które łatwowierne ludy złożyły w ich ręce, używają na stłumienie najszlachetniejszych objawów chrześcijańskiego życia; więc prawa konfe-

syjne, więc trybunały, grzywny i więzienia: wszystko dobre, aby tylko zdusić bunt ducha przeciw ciału! Bo liberalizm w gruncie jest materyalizmem, a w materyalizmie dla ducha miejsca nie masz: rozkosz ciała, to cały jego katechizm.

A socjalizm czyli chce czego innego? I on pragnie zapewnić każdemu najwyższą ilość używania. Znowu więc i przedewszystkiem potrzeba mieć wiele potrzeb, bo używanie jest zaspokojeniem potrzeb. Kto nie ma potrzeb, ten nie dojrzał jeszcze dla socjalizmu, bo go zrozumieć nie może. Ztąd na nic socjaliści tak nie powstają, jak na brak potrzeb. W jednej z mów frankfurckich zawołał *Lassalle* z wielkim gniewem: „Wy robotnicy niemieccy, jesteście dziwnymi ludźmi. Francuskim lub angielskim robotnikom trzeba mówić o najskuteczniejszych środkach wydostania się z biedy, a wam dopiero trzeba dowieść, że jesteście w biedzie. Dopóki macie kawał lichej kiełbasy i szklanę piwa, nie czujecie biedy waszej. Pochodzi to ztąd, że nie macie potrzeb. Ale, powiecie mi, czyż to nie cnota, nie mieć żadnej potrzeby? Zapewne, w oczach chrześcijańskiego moralisty, ale historyk lub ekonomista przynoszą inną cnotę. Zapytajcie wszystkich ekonomistów: jakie jest największe nieszczęście, które naród spotkać może? Odpowiedzą: brak potrzeb! . . . Mieć jak najwięcej potrzeb, a zaspakajać je sposobem uczciwym a godziwym — oto cnota ekonomii politycznej, cnota naszych czasów.“ Zdawałoby się, że po takim oświadczeniu socjalizmu, liberalizm powinien go popierać wszystkimi siłami; mimo to walczy przeciw niemu na zabój. Bo chociaż obaj chcą tejsamej rzeczy, nie chcą jej na tensam sposób. *Hinc illae irae!* Oba chcą używania: liberalizm dla małej liczby, socjalizm dla wszystkich. I tu nastęrcza się sposobność powiedzieć słów kilka o książce niedawno zmarłego autora, która była jakoby manifestem liberalizmu. Ona rzuca światło dostateczne na sympaty liberalizmu dla klas roboczych. Mówię o książce Dr. *Straussa*: „*Moje wyznanie.*“ Wydana w jesieni r. 1872 wywołała niesłychane oburzenie w kołach liberalnych, bo nie zawsze nam miło, gdy nasze najtajniejsze myśli i zamiary niedyskretny powiernik ogłosi publicznie. Gniew nasz nie dowodzi wtedy, że nieprawdę mówi, jeno, że nam mowa jego nie na rękę. Tak się stało i z książką *Straussa*. Wychodząc ze słusznej zasady, że między teorią a praktyką powinna w życiu człowieka zupełna zgoda panować, zapytał autor

liberalnych protestantów, (bo ich przeważnie miał na oku pisząc swoją książkę), czy ich teoria zostaje w zgodzie z praktyką? Szukając odpowiedzi, przechodzi najprzód ich wiarę, a tam nie trudno było mu wykazać, że ani w Chrystusa, ani w Boga już nie wierzą. Pozostał jednak kult jakiś, płaszcz królewski, niegdyś zarzucony na barki Boga-człowieka, który odkąd Bóg zniknął z serc ludzkich, wisi na tyczce, jak stary łachman w prosię na postrach wróbli. Takim dziurawym i poszarganym łachmanem jest kult postępowych protestantów. Podobny faryzeizm jest niegodny ludzi myślących, czas przeto, aby wielkie odrodzenie się polityczne Niemiec skończyło z tym dyssonansem i zastosowało praktykę życia codziennego do wiary teoretycznej. Tego jednak nie można dokazać, nie wypowiedziawszy jasno, w co właściwie wierzą Niemcy liberalni. Dr. *Strauss* w ich imieniu, wprawdzie nieproszony, ale bardzo szczerze oświadcza: Wierzymy tylko w jedną rzecz: w materję, a całą religiją naszą używanie materji. Powiedzmy to sobie raz bez ogródki i urządzmy wedle tej zasady nasze życie. — Taka jest pobieżna analiza wspomnianej książki, której szczegóły zresztą nie tu nas nie obchodzą. Nie są nowe; nowem jest tylko ich systematyczne zestawienie. Nas tu jedynie obchodzi pogląd liberalnego *Straussa* na kwestyę socyalną.

Państwo *Straussa* jest wybornie urządzone: mieszczanie są wszystkiem, pracują, to prawda, ale też używają wszystkiego. Jest tam jakiś król konstytucyjny i nawet jakaś szlachta, bo ta błyszcząca wystawa zarazem praktyczna i przyjemna. Kościoła w tem państwie nie ma, ani religii; za to są odczyty literackie wieczorki muzykalne, opera i dramat, a na wsi czytanie poetów zastępuje religiję najkompletniej. Mieszczanom przyjemnie i słodko, jak pszczołom w ulu, a elegancki tomik filozofii Dr. *Straussa* u każdego na stoliku. Jednakże na tem niebie pogodnem, na uśmiechniętem widnokregu szczęśliwego rajy piętrzą się czarne chmury i coraz groźniej nadciągają. *Strauss* je widzi i przerażony: *to robotnicy!* Oni także chcą używać, a tu nie ma miejsca dla nich. Oni także chcą przeczytać wielkich poetów narodu swego, ale nie mają kiedy; wieczorem wróciwszy z fabryki ledwo sił mają dosyć, aby się powlec na twarde łoże, a ledwo dzień zaświta, głód ich znowu do roboty pędzi. Jakże tu czytać i kiedy? Za co zresztą książki kupić? za co fortepian, nie mó-

więc już o szlafroku i pantoflach i tysiącnych innych wygodkach, bez których ludzie na wzór *Straussa* życia nie pojmują. Tymczasem tegożsamego domagają się robotnicy i to właśnie *Straussa* oburza. Jakże, woła, dzisiaj, kiedy człowiek wykształcony musi dzień cały siedzieć przy stoliku, żeby mózdz isć naprzód z olbrzymim ruchem wieku, ludzie ci nawet dziesięć godzin nie chcą pracować i chcą koniecznie urwać godzinę! Jeżeli na to przystaniem, to urosną w zuchwalstwo i będą się domagali jeszcze krótszego czasu do pracy. To mówi mieszczański filozof, wiedząc dobrze, że w tym Edenie, w którym jemu tak miło, miejsca dla wszystkich niema. A na to robotnicy odpowiadają, że się miejsce znajdzie, że je znaleźć, to ich rzecz.

Widzimy z tego pobieżnego przeglądu dwóch przeciwnych sobie partyj, że jak na polu filozofii i nauki, tak i w konkluzjach praktycznej moralności i życia codziennego liberalizm grzeszy połowicznością, niekonsekwencyą, chwiejną ciasnotą; nie może przeto powstrzymać socjalizmu, lecz przeciwnie samem istnieniem do życia go powołuje, tak jak walcząc z nim, nowych sił mu dodaje. Nieinaczej ma się rzecz na polu najważniejszym w dziedzinie politycznej. Tam już dzisiaj na dobre ubiegają się wszystkie partye o berło, bo od opanowania tegoż zawisło zwycięztwo programu polityczno-społecznego. I słusznie! bo państwo, najidealniejszy wyrób ludzkiej pracy na ziemi, albo zwichniąć może przeznaczenie jednostek, jak na Wschodzie, lub dopuścić do najwyższego rozkwitu osobistej godności, jak niegdyś w rzeczachpospolitych włoskich albo w chrześcijańskich monarchiach średnio-wiecznej Europy. Ten jednak rezultat chwalebny wtedy tylko osiągnięty zostanie, jeżeli państwo zostawi poddanym wolność zupełną (przez to nie rozumiem samowoli) we wszystkich dziedzinach życia osobistego. A ponieważ życie osobiste przeważnie w trzech tętnicach obiega: w życiu rodzinnem, w szkole i w Kościele, państwo nie powinno stawać pomiędzy duszą a Bogiem, uczniami a nauczycielem, rodzicami a dziećmi. Innemi słowy: państwu liberalnemu nie powinno być nic do tego, jak kto modli się do Boga swego, jak kto dochodzi do prawdy, jak się kto urządza w domu własnym, z żoną i dziećmi. W razie przeciwnym, jeżeli państwo w tych trzech najwyższych dziedzinach życia osobistego narzuci swoją teorię lub widzimisię panującego, niebawem życie obumrze, wszelka zieloność pozniknie a owe trzy

tętnice powloką się leniwie po przez nieprzejrane piaski despotyzmu. Zwracam uwagę, że to wszystko mówię w imię zasad liberalnych, których hasłem i dążeniem ma być rozdział państwa od Kościoła. A czy liberalizm dotrzymał choć jednej obietnicy na którejkolwiek z trzech dziedzin wyliczonych? W istocie do czego on zmierza? W religii do utworzenia Kościoła narodowego pod dyrekcją ministra wyznań; w szkole, do wpajania nauki ateistycznej w dusze młodociane; w rodzinie, do rozrządzania dziećmi wedle upodobania swego. Innemi słowy: człowiek każdy ma się modlić, jak mu państwo każe; uczyć i myśleć, co państwo aprobuje; chować dzieci swoje według intencji państwa, dopóki ich państwo nie weźmie pod karabin. Ztąd niewola rosnąca w Kościele, w szkole, w domu nawet własnym. A wszystko to, gwoli fałszywej teorii, że jednostki są dla państwa i tylko tyle mają rozumu, cnoty, znaczenia, ile im państwo nadać raczy. Taka jest teoria liberalizmu, coraz śmielej i coraz wyraźniej wprowadzana w praktykę, jak to każdy widzi.

A socjalizm, czy ma inny cel przed oczami? On także chce jednostki wychować i prowadzić wedle teorii swojej; on także państwu przyznaje do tego prawo, nawet obowiązek. W zasadzie nie różni się od liberalizmu. O co więc spierają się te dwie szkoły zawistne? Znowu o koniec drogi, do której liberalizm nie chce dotrzeć, bo mu to niedogodnie a socjalizm słusznie się porywa, bo widzi w tem swoją korzyść niezmierną. Bo zważmy. Państwo przywłaszczyło sobie prymat nad Kościołem i rozstrzyga o tem, kto należy do Kościoła lub kto nie należy, a nawet jak w Szwajcaryi i Niemczech, mianuje ludzi nie należących do kościoła proboszczami i biskupami. Wszystko to na heglowskiej zasadzie, że religia będąc niższym objawem ducha ludzkiego, powinna się poddać pod dozór i przewodnictwo wyższej organizacji państwowej. Kościół dla ludzi ciemnych, dla dzieci, dla kobiet, a państwo i jego naukowe zakłady dla ludzi dojrzałych. W takim stanie rzeczy nauka przewodniczyć musi ciemnocie, dojrzały rozum chorobliwym sentymentom. Ale na Boga! po co tu się zatrzymać? Czyż państwo nie może znieść religii zupełnie? a gdy to uzna za korzystne, czyż kto mu powie, że się omyliło? Wszak nie masz rozumu wyższego nad rozum państwowy. Uczynmy ten krok ostatni, woła socjalizm, a ludzkość będzie

szcześliwą. Jego wołanie staje się coraz głośniejszem i państwo liberalne niczem go nie zagłuszy ani nie uspokoi. Socjalizm ma za sobą konsekwencję, ma nawet prawo, w żadnym zaś razie liberalni nie mogą mu tego prawa odmówić. Jeżeli państwo jest samodzielną jakoby Boską potęgą, pochłaniającą w sobie wszystkie uczucia, myśli, dzieła i majątki poddanych, socjalizm, byleby miał zawsze większość głosów za sobą, może największe niedorzeczności, najokropniejsze zbrodnie nawet dekretować — one będą wszystkie również legalne jak banicje duchownych w Szwajcaryi, grabież dóbr kościelnych we Włoszech lub nareszcie owe krzyczące bezprawia berlińskie, ochrzczone przez tamtejszych profesorów mianem praw kościelnych.

Mógłbym te refleksye rozciągnąć do innych dziedzin; mógłbym wykazać, że owe niczem nieuzasadnione pretensye państwa do szkoły, do chowania dzieci, do legalizowania małżeństw, do ciągłego nadzoru nad każdym objawem życia gminnego, prowincjonalnego lub społecznego są tylko wypływami tejsamej zasady, w imię której socjalizm wprowadza wspólność majątków, wspólne chowanie dzieci od lat niemowlęcych, wspólne mieszkanie całej gminy w olbrzymich koszarach, wreszcie wspólność kobiet, jeżeli te na to się zgodzą. Liberalizm wzdryga się na te konsekwencje, nazywa je szalonymi, wzywa pomocy państwa, aby przeszkodzić dalszemu szerzeniu tak zgubnych nauk, a nie chce zrozumieć, że to jego dzieci, że to wyniki jego zasad, ścisłe prowadzenie jego teoryi i że socjalizm ma takiesamo prawo istnienia, co on sam, a żywotności więcej, bo tam większe życie gdzie logika *większa*.

Jakaż potęga uwolni ludzkość od grożącego socjalizmu? Odpowiedź ani trudna, ani wątpliwa. Zanim jednak wypowiem imię tej potęgi, wypada określić jej zadanie, oznaczyć wroga właściwego, przeciw któremu powinna zwrócić swe ciosy. Czyż zostaje tu jeszcze jaka niepewność? Jeżeli socjalizm jest konieczną latoroślą liberalizmu, jeżeli w niczem od niego się nie różni, tylko ścisłością wyników, jeżeli oba zjawiska są to dwie nierozłączne chwile tego chorobliwego przebiegu, doprawdy proste rozumowanie każe ugodzić w liberalizm, aby przez to socjalizm

zniweczyć. Kosić chwast na niewiele się przyda, jeśli się zostawia korzenie. Chwastem społecznym jest socjalizm; na to powszechna panuje zgoda nawet w liberalnym obozie. Zamiast kosić, trzeba go wykopać z korzeniem, a wtedy praca skończona na zawsze. Gdzież korzeń jego? Jakkolwiek dla braku miejsca i czasu bardzo ograniczyłem moje wywody, one jednak dostatecznie wykazują, że korzeniem socjalizmu jest sam liberalizm. Walka z pierwszym zamienia się w walkę z drugim; od obydwóch jedna nas tylko oswobodzić może siła. Gdzież jest ta siła, jak się nazywa?

Wprzód jednak nazwijmy liberalizm po jego imieniu, bo imię, skoro prawdziwe, samą istotę rzeczy wyraża. Dlaczego mamy używać tu wyrazu cudzoziemskiego, niezbyt dawno do nas przywiezionego, kiedy mamy doskonałe miano swojskie, a przynajmniej od wielu wieków przyswojone, które wybornie treść liberalizmu wyraża. Nazwijmy go prosto *pogaństwem*. Wtedy już nie zdoła on nas okłamać, jakoby przynosił nam wolność, bo i jakże pogaństwo dać może wolność, kiedy ono niewolą ducha pod ciałem, niewolą jednostki pod rządem, niewolą Kościoła pod państwem. Z podanej już wyżej charakterystyki liberalizmu przekonał się czytelnik, że nazwa zupełnie do niego przypada. A nawet on sam już dzisiaj jej się nie wypiera, bo widać już czuje się dosyć na siłach, odrzucił skórę baranią, pod którą dotąd chował wilczą naturę. Głośno ubolewa nad upadkiem starożytnego pogaństwa i upatruje szczęście ludzkości w zupełnym do niego powrocie. Abnegacya chrześcijańska wydaje mu się chorobą, a zatwierdzenie cielesnej naszej natury najwyższym objawem życia. Nad jednym szczególnie ubolewa, że „młode“ ludy germańskie zostały nadpsute przez chrześcijaństwo; coby się to było stało, gdyby na starym pniu pogańskim zaszczerpiono nowe pogańskie latorośle! Wtedy nowa krew byłaby zatętniła w zgrzybiałych Grekach i Rzymianach i byłyby się wróciły dni szczęśliwej młodości, wiek *Homera* i *Eneasza*. . . . Dziwne złudzenie, jak gdyby na pniu zgniłym można zaszczerpić młodą latorośl! Pogaństwo sobie zostawione musiało tak skończyć, jak skończył Rzym lub Grecya i jakby skończyła dzisiejsza materialna cywilizacya, gdyby przeciw niej nie oddziaływały zdrowe żywioły.

A ta siła zawsze uzdrawiająca zowie się chrześcijaństwem. Tylko ewangelią, jako zaprzeczenie pogaństwa, wyleczyć może z choroby, bo aby złe wyrzucić, trzeba mu naprzód zaprzeczyć. To czyni chrześcijaństwo ciągle, ono jest nieustającym protestem przeciw każdej zachciance pogańskiej. Bo chrześcijaństwo daje wolność, a pogaństwo niewolę: dwa stany, które się nawzajem wykluczają. To jednak nie wszyscy wiedzą. Smutno doprawdy pomyśleć, że są ludzie, którym porządek chrześcijański wydaje się nieznośnem jarzmem, a czasy greckie lub rzymskie Edenem wolności. Mniejsza już o to, że nie czują, iż rozkiełznanie namiętności jest najgorszą niewolą ducha; ale to przecież byłoby powinno im znane, że nigdy jednostka nie była tak ujarzmioną, jak w świecie starożytnym. Boją się socjalizmu, a jednak socjalizm czyni zupełnie to samo, co prawie wszystkie rzeczypospolite greckie przez długie wieki czyniły. Czyż koniecznie doczekać się trzeba, jak za owych czasów, rozbicia życia rodzinnego, podbicia ducha pod teorię państwa, zgniecenia wszystkich porywów wyższych, aby uczuć całą zgrozę takiego stanu, w którym ciało jest wszystkim, duch niczem, państwo Bogiem a człowiek niewolnikiem? Póki jeszcze czas, cofnijmy się przed tą zgnilizną. A jeszcze jest czas, bo jeszcze prawie nietknięta ta właśnie potęga, która jedna przemódcz ją zdoła — Kościół.

Walka z liberalizmem, oto jedyny środek do wstrzymania postępków socjalizmu, do zwyciężenia go z czasem; walka w imię Kościoła, za jego prawa, za jego i wszystkich wolność, prowadzona przez ludzi dobrej woli, popartych przez masy wierzące — taka walka oto jedyny jeszcze ratunek! Lecz jeżeli takich ludzi zabraknie, albo jeżeli masy zubożętniałe odmówią im poparcia, i Kościół opuszczony wpadnie w niewolę rządów liberalnych, jak już dzisiaj wpada, jeżeli wypchną go ze wszystkich sfer życia politycznego i społecznego, jeżeli zwiążą mu ręce, zakneblują usta, i zamkną go i otoczą dozorem tak szczelnym, że ni mówić, ni działać nie będzie mógł — to cóż wtedy? . . . wtedy przyjdzie mściciel: już nadchodzi. Czarne zastępy robotników, z nową, bezwyznaniową w ustach *marsylianką*, precisną się tym razem spokojnie i bezpiecznie wyłomem liberalnego systemu i w moc głosowania powszechnego a własnej organizacji zapanują nad światem. Krótkie to będą ale straszne rządy, przeczyły je widzenia naszych wieszczów. Socjalizm ugodzi naprzód w liberalne

mieszczanstwo jak już godził wszędzie i zgładzi je odrazu, zaliczy je w proletaryat; ugodzi dalej w Kościół i — zdziwiony — stworzy męczenników! I znowu, jak dawniej, krew męczeńska stanie się zasiewem życia. I znowu Kościół, Matka wiekuista, mocą i miłością od Chrystusa mu daną, tłumiąc walkę, lecząc rany i gasząc pożary, w pośród ruin dzisiejszej cywilizacji, uczyć będzie, chrzcic i wychowywać na nowo społeczeństwo zdziczałe...

Ks. *Stefan Pawlicki*,
ze Zgromadzenia Zmartw. Pańskiego.

